

# Szaleństwa panny Ewy



KORNEL MAKUSZYŃSKI

## Szaleństwa panny Ewy

### ROZDZIAŁ PIERWSZY, W KTÓRYM AUTOR JEST ZDUMIONY I PRZERAŻONY, ALBOWIEM STAŁ SIĘ WSPÓLNIKIEM NIEZLICZONYCH ZBRODNI

Ja, Kornel Makuszyński, nieszczęsny autor *Panny z mokrą głową*<sup>1</sup> i posępny autor *Awanturny o Basię*<sup>2</sup>, siedziałem spokojnie w zacisznej komnacie, rozmyślając nad jedną jeszcze powieścią dla „dorastających panienek”. Jest to sprawa wymagająca niezmiernego wysiłku ducha. Uczeni wiedzą, co się dzieje na Marsie, jakie minerały znajdują się na Księżycu, jaka jest temperatura Słońca i ile waży Ziemia. Wiedzą filozofowie, co się odbywa w ludzkiej duszy i dlaczego człowiekowi śni się właśnie kobieta z długą brodą, a nie piec grający na harfie. Największy jednak uczony, najsłynniejszy nawet filozof nigdy nie wiedział, nie wie i nie będzie wiedzieć do skończenia świata, co się dzieje w kolorowej duszy „dorastającej panny”. Jest to niezgłębiona tajemnica.

Miałem przeto<sup>3</sup> głowę w chmurach zadumy i od czasu do czasu wydawałem siedmioletnie westchnienia. Na biurku leżały białe, niezapisane karty papieru, a potężny kałamarz, nalany po brzegi, czekał cierpliwie i czarnym okiem spoglądał, czy pióro jak bocian zanurzy w nim dziób. Czekałem na tę wspaniałą chwilę, w której z udreżonej mojej głowy wyskoczy „dorastająca panienska” jak Pallas Atene<sup>4</sup> z dostojnej, kędzierzawej i brodatej głowy Zeusa<sup>5</sup>.

Zamiast dorastającej panienki wtoczyła się do mojej komnaty niewiasta służebna, nosząca przedziwnie wonne imię Narcyza. Powiedziałem „wtoczyła się” i nie cofnę tego słowa. Narcyza tym tylko różniła się od armaty, że sama zajeżdżała na pozycję, bez pomocy trzech par tegich, artyleryjskich rumaków. Poza tym miała wygląd burzącego działa, głos potężnej kolubryny<sup>6</sup> i jej straszliwe zwyczaje. Na jej widok uleciały myśli, krążące nad moją biedną głową jak złote pszczoły, a cisza skuliła się w kącie jak przerażony pies. Nigdy imię złożone z pięciu śnieżystych płatków i złotego oka nie zostało nadane z większą lekkomyślnością. Kobieta ta powinna nosić imię wulkanu, a nie kwiatka.

Spojrzała na mnie z wysoka i rzekła głosem tak czarnym, że smoła kapłała z niego ciężkimi kroplami na prawie perski dywan:

— Przyszła jakaś taka i takie coś...

Każdy inny człowiek, nieznający przedziwnych obyczajów tej armaty, niecierpliwymi pytaniami otworzyłby bramę piekła i wyzwoliłby najmniej siedmiu ogoniastych szatanów. Z tą lubą istotą należało postępować oględnie, ze wzniosłym spokojem, z beznamiętną cierpliwością i z wyrozumiałością mędrca, albowiem luba istota czekała pożądliwie okazji do piekielnej awantury. Należy wiedzieć o tym, że jej wroga i zuchwała postawa wobec

Literat

<sup>1</sup>*Panna z mokrą głową* — powieść Kornela Makuszyńskiego (1884–1953), opublikowana w 1932 r. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*Awanturna o Basię* — powieść Kornela Makuszyńskiego (1884–1953), opublikowana w 1937 r. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*przeto* — zatem, więc. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*Pallas Atene* a. *Atena* — grecka bogini mądrości, sztuki i sprawiedliwości, opiekunka miast; *Pallas* (Panna) to jeden z jej przydomków. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*Zeus* — najważniejszy z bogów greckich, ojciec m.in. Ateny. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*kolubryna* — ciężkie działo oblężnicze, pot. ciężka, niezgrabna osoba lub rzecz. [przypis edytorski]

świata i wszystkiego co żywe pochodziła z bolesnej udręki i ciężkiego zawodu. Od owego dnia gniewu i klęski, w którym wierna przyjaciółka odbiła jej narzeczonego, dusza rzewnej i tkliwej Narcyzy obrosła kolcami jak jeż. Szczególną nienawiść poczęła żywić do wszelkiego stworzenia rodzaju żeńskiego. Znając te piekielne tajemnice, wiodłem z nią dialog nie jak z ciężką armatą, lecz jak z niewinnym ptaszkiem. Usłyszawszy przeto przedziwną, czarną i niechętną wieść o tym, że „Przyszła jakaś taka z takim czymś!”, pojąłem w lot, iż mowa jest o rodzaju żeńskim. Pan Bóg — na szczęście — nie odmówił mi bystrości.

— Ach! — rzekłem dobrotliwie. — Jakaś taka?

— Przecież mówię po polsku! — odrzekła hardo armata i spojrzała na mnie posepnie.

— Tak, tak, rozumiem... Jakaś pani?

Osoba, którą w niezrozumiałym szaleństwie nazwano Narcyzą, wzruszyła ramionami, dając mi tym ruchem pogardliwie do zrozumienia, że bystrość moja niewiele się różni od zdumiewającej bystrości pieca albo szafy.

— Aha, więc nie pani — mówiłem szybko, ze słodkim akcentem pojednania. — Któż to mógł przyjść? Skoro nie pani...

— Pannica! — zawołała ona rozdzierającym głosem.

— Patrzcie, patrzcie! — mówiłem w wybornie udanym zdumieniu.

Mąż niecierpliwy i nieznający zawilych zagadek życia byłby chwycił strzelbę i dwoma strzałami próbował zakatrupić lubą Narcyzę, tym by się to jednakże skończyło, że obie kule odbiłyby się od niej jak od hipopotama, ona zaś zabiłaby niedoświadczonego człowieka jednym potężnym spojrzeniem.

Rzekłem przeto z uśmiechem należycie tkliwym:

— Narcyza była łaskawa wspomnieć coś o tym, że ta panna przyszła z kimś jeszcze...

— Z nikim nie przyszła — odrzekła ponuro.

— Ej, a mnie się coś zdaje, wedle tego, co słyszałem, że z tą panną ktoś przyszedł...

— Bo przyszedł!

Wzniosłem spojrzenie ku niebu i wezwałem je na świadka mojej niewinnej męczarni. Zdawało mi się, że ujrzę anioła, dającego mi rozpaczliwe znaki, abym cierpiał, bo jeśli wdam się w bój z Narcyzą, sam przed wyznaczonym mi czasem znajdę się pośród aniołów. Zazgrzytałem przeto łagodnie zębami, lecz roztropnie uciszyłem serce, które chciało zawyć rozszroczonym głosem tygrysa.

— Więc któż to przyszedł? — zapytałem takim głosem, jakim płacze wiolonczela. — Jakiś pan?

— Żaden pan! — zakrzyknęła armata.

Coś w niej jednak musiało zelżeć albo też moja przebrana słodycz musnęła jej twarde i zapiekłe serce, bo w przepaścistych oczach tej rzewnej kobiety dojrzałem cień litości. Pytałem przeto czym prędzej:

— Skoro nie pan, więc kto?

— Pies! — odrzekła z niezmierną męką; i aby mnie nie włóczyć wśród mgieł niepewności, dodała ze śmiertelną powagą: — Pannica czupiradło, a pies pokraka!

Widać było, że jej ulżyło cokolwiek po tym okrzyku, ale nie na długo. Odważyłem się na ciche pytanie:

— Czy Narcyza nie wie przypadkiem, czego chce ta panienka z psem?

Ona spojrzała na mnie z politowaniem i zagrzmiała głucho:

— A skąd ja mam o tym wiedzieć?!

Tak uderzyła w słówko „ja”, jak właśnie piorun uderza w uschłe drzewo.

— Dobrze, już dobrze! — powiedziałem szybko. — Istotnie, skąd Narcyza mogłaby o tym wiedzieć... Ludzie sami czasem nie wiedzą, po co przychodzą. A gdzie jest ta panienka?

— Siedzi w przedpokoju i gwizdże! — ogłosiła Narcyza z boleścią.

— Gwizdże? Dlaczegoż ona gwizdże?

— Teraz wszystkie takie! — rzekła ona głosem zwęglonym. — Co z nią zrobić? Może by tak na łeb ze schodów!

— Ależ, Narcyzo! Jakżeż można?! Dowiemy się, czego chce...

Powiedziałem z szatańską chytryością, że „dowiemy się”, niebezpieczne bowiem byłoby użycie liczby pojedynczej. Straszliwa ryba połknęła przynętę z wrodzonej ciekawości,

którą i tak zresztą zaspokoi w sposób należyty i niewymyślny, gdyż będzie podsłuchiwała z czujną wprawą.

Powiedziała jednak z rezygnacją:

— Jak pan chce! Ja bym z taką osobą nie gadała...

Obróciła się wokół swej osi i powoli zjechała z pozycji. Przed nią szła groza, za nią — przerażenie. Moja komnata stała się po jej wyjściu obszerniejsza i bardziej widna.

Z przedpokojów słychać było dwa splątane głosy: jeden cienki jak jedwabna nitka i drugi gruby jak lina okrętowa. Jeden był śpiewaniem słowika, drugi — głuchym pomrukiem rozszalonego wulkanu. Potem drzwi otworzyły się gwałtownie i oblakany pędem wpadł przez nie pies. Nie, to zbyt wiele powiedziane! To nie był pies... Można było za Słowackim<sup>7</sup> i Odyńcem<sup>8</sup> zakrzyknąć w zdumieniu: „Czy to pies czy to bies?!”. Był to przedziwny stwór przyrody, której coś musiało uderzyć na rozum w chwili stwarzania tej kreatury. Miał on cztery krótkie, krzywe łapy i haniebnie kosmaty ogon, z czego można było sądzić, że to jednak pies. Gdyby posiadał urzędowy rodowód, napisano by w nim: „Syn jamnika i kanapy”. Kreatura pokryta była ostrą sierścią dobrze urodzonej kozy, a oczy jej — mądre, sprytne, małe i wesołe — pożyczone zostały od świni. Posiadała tylko jedno ucho całe i obwisłe, drugie bowiem było marną pozostałością po jakiejś krwawej walce. Zwierzak ten na pierwszy rzut oka, pomimo swej diabelskiej urody, wyglądał sympatycznie. Długi, niski, śmiesznie kosmaty, a tak zablocony, jak gdyby brzuchem czyścił ulicę, śmignął przez drzwi, obiegł pokój i zwinny susem wskoczył na fotel. Wybrał oczywiście stary, stylowy fotel, przepiękny pokryty materiałem. Gwałtowne oburzenie tak mną zatrzęsło, jak czasem urwipoleć<sup>10</sup> trzęsie jabłonią obsypaną jabłkami. Chwyciłem nożyk do rozcinania kartek i grożąc nim zuchwałemu psu, krzyknąłem z należyłą pasją:

— Kundlu, precz z tego fotela!

Kundel ani drgnął, łypnął jedynie lewym, świńskim okiem i wyraźnie był ubawiony. Równocześnie ozwał się cienki, gniewem powleczonego głos:

— Czemu się pan znęca nad moim psem?

Mordercze narzędzie wypadło z mej ręki. Pomiędzy moim słusznym gniewem i tą lichą imitacją psa stanęła osoba rodzaju żeńskiego i rozkrzyżowała żeńskie ramiona. Miała piętnaście albo szesnaście lat, płowe włosy, roziskrzzone oczy, po których latały złote błyski, i zadarty nosek, po którym nic nie latało. Ani brzydka, ani ładna, ale smukła, gibka, zgrabna i zapewne silna. Na gołych nogach — tak opalonych, jak gdyby były posmarowane czekoladą — widniały liczne ślady zadrapań i stłuczeń. Przebiegła mi przez zdumioną głowę myśl, że ta pannica chodzi po ziemi jedynie w niedzielę i wielkie święta, w dniu zaś powszednie łązi po drzewach albo przedziera się przez ciernie. Nie mogłem zajrzeć jej do ust, mógłbym jednak przysiąc, że jej brak kilku zębów, wybitych w nagłym zetknięciu się z jakimś plotem. Bynajmniej by mnie nie zdziwiło, gdyby osoba wjechała była do mojego domu konno, siedząc na oklep. Jaki pies, taka pani... Dobrana para... Pannica zuchwała, a pies opryszek. A nad tym psem — ja się znęcam!

Powiedziałem twardo:

— Niech pani powie swojemu psu, aby natychmiast zszedł z fotela!

— Dobrze, dobrze, proszę pana! — odrzekła wesoło. — Nic się takiego nie stało. Rolly! Bądź łaskaw zejść...

Kreatura zwie się Rolly!

Kreatura zsunęła się niechętnie i wrogo na mnie spojrzawszy, ułożyła się na dywanie.

Sprawa z psem była jako tako załatwiona, czekało mnie jednak gorsze przejście z „zadartym nosem”. Jestem człowiekiem niepospolicie spokojnym i opanowanym, jak gdyby mnie w młodości trzymano w lodzie, z trwogą przeto myślałem o tym, że zostałem osaczony i że będę się musiał bronić jak dzik w leśnym ostępie. Spojrzałem na pannicę spode łba i w tejże chwili poczułem gniew: patrzyła na tragiczną moją dostojałość ze ślicznym

<sup>7</sup>Słowacki, Juliusz (1809–1849) — polski poeta romantyczny, dramaturg i epistolograf. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>Odyńiec, Antoni Edward (1804–1885) — polski poeta romantyczny i neoklasyk, pamiętnikarz i tłumacz. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>Czy to pies czy to bies?! — fragment wiersza *Nie wiadomo co, czyli Romantyczność. Epilog do „Ballad”* Juliusza Słowackiego (1809–1849); żartobliwe nawiązanie do przechadzki Antoniego Odyńca (1804–1885) i Adama Mickiewicza (1798–1855), podczas której spotkali czarnego psa. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>urwipoleć (pot.) — urwis, psotnik. [przypis edytorski]

uśmiechem, który wyrastał z dwóch dołeczków na zuchwałym jej obliczu. Pannica raczej brzydka, a uśmiech naprawdę prześlizchny i jakiś taki miękki, tkliwy i czuły, jakim się poranne, wiosenne uśmiecha słońce. Niemądre moje serce już się chciało uśmiechnąć do tego uśmiechu, lecz w sam czas powstrzymałem je groźnym napomnieniem. Ja nie dam się oszukać tak łatwo... Za stary wróbel jestem na takie złoście plewy. Nie, moja panienko! Znam te zgoła diabelskie sztuki, którymi osoba rodzaju żeńskiego, mająca choćby tylko lat szesnaście (i psa), umie zwieść nawet mędrca. Za takim uśmiechem kryć się może przemyślny podstęp i misterne szalbierstwo<sup>11</sup>. Cygan nie ocygani tak Cygana, jak to snadnie<sup>12</sup> i bez najmniejszego trudu może uczynić figlarna osoba, mająca w twarzy dwa dołeczki.

Nastroszyłem się jak jeź i rzekłem głosem suchym jak pieprz:

— Czemu się pani śmieje?

— Bo mi bardzo wesoło, proszę pana! — odrzekł „zadarty nos”.

Nawet w gniewie nie mogłem odmówić słuszności tym słowom, z których każde było radosnym wykrzyknikiem. Postanowiłem jednak, że będę nieustępliwy i zamienię każde moje słowo w ostry sople lodu. Zanim jednak zdołałem je zamrozić, panienska z niebywałą i podejrzaną zręcznością zmieniła tonację i powłókszy głos warstwą smutku, powiedziała, patrząc mi prosto w oczy:

— Czy pan się na mnie gniewa?

Zacząłem się zastanawiać, czy się gniewam.

— Bo jeśli się pan gniewa, to ja sobie pójdę. Ale przedtem się rozplączę! A skoro ja beknę, to się tu zleci cały dom.

— Niech pani nie płacz! Wcale się nie gniewam. Trochę mnie ten pies wyprowadził z równowagi, ale już mi przeszło...

Otóż to! Nie mogła uśmiechem, pokonała mnie groźbą łez, a ludzkości wiadomo przecież, co w tym zakresie potrafi szesnastoletnia dama, która ma zadarty nos (i psa). Tego tylko jeszcze potrzeba, aby ten kundel pomógł jej w koncercie. Podałem się — o boleści! I pragnąc zachować pozory, rzekłem niby niefrasobliwie:

— Jak się ta psina nazywa? Rolly? Czemu tak z angielska?

Panienska wyżłobiła od razu dwa dołeczki, błysnęła oczami złościście i powiada:

— Ten ogoniasty nazywa się Rolly tylko podczas wizyt! Na co dzień zwie się Rolmops. Czy pan wie, co to takiego? Jest to śledź zwinięty w kłębek, nadziany cebulą i przekłuty patyczkiem, aby się nie rozwinął. Ogoniasty, gdy śpi, bardzo jest podobny do rolmopsa. Niech pan spojrzy!

Ogoniasty zwinął się w kłębek i zapadł w sen, czasem tylko, usłyszawszy swoje fałszywe imię, łypnął świńskim okiem.

Wyznanie to obudziło na nowo moją zasypiającą czujność. Nie podobało mi się to niewinne na pozór szalbierstwo z imieniem kosmatego indywiduum. Wprawdzie panienski mają przedziwny zwyczaj przekręcania własnych imion, wskutek czego Petronela w metryce zowie się na użytek domowy Kizia, a Magdalena — Dolly, jednakże niepojęty ten proceder nie był nigdy dotąd stosowany wobec psiego gatunku. Uczciwemu psu wystarczało jedno, niewzruszone psie imię.

Przeniosłem baczne spojrzenie z psa na panienkę, która zdołała już zapomnieć o gadaniu na temat swojego niewydarzonego kundla i z żywością muchy przeniosła się na inny temat.

— Jak tu u pana ładnie! — rzekła, patrząc na ściany zawieszzone natłokiem obrazów.

— Tak sobie — bąknąłem.

— Wcale nie „tak sobie”! — zawołał z przekonaniem „zadarty nos”. — Ślicznie jest u pana!

Nagle ją coś poderwało. Zbliżyła się szybko do ściany, na której złościł się i czerwienił, i gorzał żywą purpurą obrazek malarza, który sam był płomieniem gorejącym i zdawało się, że malował ogniem. Artysta ten od dawna już malował świty i zachody na niebie, bo od dnia jego śmierci niebo było świetniej niż zazwyczaj barwne i grało kolorami. Obraz

<sup>11</sup>szalbierstwo — oszustwo, wyłudzenie. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>snadny (daw.) — łatwy. [przypis edytorski]

nie był podpisany, panienka zaś wymówiła nazwisko głosem, w którym drżało wzruszenie i tkliwość.

Zdumiało mnie to cokolwiek.

— Widziała pani kiedyś jego obrazy?

— Tak. Widziałam dwa, a ten jest trzeci. To był cudowny malarz!

— Mój przyjaciel — rzekłem cicho. — Umarł młodo...

— Ja wiem...

— Skąd pani o tym wie?

— O, ja wiem bardzo wiele o malarzach. Wszystko panu opowiem, ale nie tak od razu. A ten obrazek... Boże miły! Przecież to Zawidzki...

— Tak, to Zawidzki. Ładny, prawda?

— Śliczny, a nie ładny. Przepraszam pana... Czy pan kupił ten obraz?

— Niestety nie. Dostałem go od malarza.

„Zadarty nos” spojrzal na mnie jak gdyby z wyrzutem i rzekł niby do siebie:

— Potem się ludzie dziwią, że malarze chodzą bez butów! Niech się pan nie gniewa — dodała głośniejsz — ja właściwie nie do pana to mówię. Malarz i literat to jedna rodzina, więc sobie robią podarunki, chociaż żaden malarz jeszcze w życiu swoim nie przeczytał książki, którą dostał od literata. Czasem nią tylko pali w piecu albo rzuci za psem... Ale innych to bym utłukła w mózdzierzcu...

— Kogo na ten przykład?

— Tych wszystkich, co umieją od niemądrego malarza wycygnąć za darmo obraz. Proszę pana! Pan nie ma pojęcia o tym, ile Zawidzki rozdał obrazów!

— Czy być może?!

— Może być, skoro ja panu o tym mówię.

— Pani go zna osobiście?

Panienka, rzuciwszy klątwę na wszystkich opryszków krzywdzących malarzy, rozpoznała się niespodzianie, uśmiechnęła lekko, a potem ciężko usiadła w fotelu.

— Czy ja go znam?! Pan skona ze śmiechu, skoro pan się dowie, jak ja go dobrze znam.

— Dlaczego mam od razu skonać? — rzekłem ponurym głosem. — Czy nie mógłbym się o tym wszystkim dowiedzieć za mniejszą cenę?

— Bardzo pana przepraszam, ale mi się tylko tak wyrwało. Ja mam gębę, że nie daj Panie Boże! Ale panu przecież też nic nie brakuje, sądząc po tym, co pan wypisuje.

Czy mnie słuch nie myli? Ponura Narcyza niezbyt zbłądziła, oznajmiając przyjście „pannicy”. Zuchwałość „zadartego nosa” zaczynała przekraczać wszelkie granice przyzwyczajenia — obrażał mnie na moim własnym terytorium, jednym tchem przypisując mi swoje własne, pyskate właściwości. Do stu tysięcy kosmatych Rolmopsów, mam tego dość! Zadzwoń na Narcyzę, dam jej niewidoczny znak, a „zadarty nos” wraz ze swym paskudnym kundlem rozwieje się we mgle, w czasie i przestrzeni. Straszliwa ta myśl musiała się odbić w moim spojrzeniu, panienka bowiem — znowu z niewypowiedzianą, zuchwałą odwagą — pogłaskała niespodzianie moją rękę i nie powiedziała, lecz zakwilila cichutko:

— O, pan się znowu gniewa!

— Bo chciałbym wreszcie wiedzieć... — zacząłem twardo i nieuprzejmie, ale nie miałem czasu, aby skończyć.

Oczy panienki zwilgotniały, pociągnęła zadartym nosem trzy razy, a po chwili, jak gdyby przypomniawszy sobie, że trzeba to uczynić do pary — po raz czwarty; złapała się ręką za zuchwałą głowę i zawołała smętnie, nawet z żalnością:

— O, ja nieszczęśliwa... Cokolwiek zrobię, wszystko źle; cokolwiek powiem, jeszcze gorzej... Ja się chyba zabiję... Niech się pan nade mną nie lituje! Ja jestem przeklęta przez los i Pan Bóg mnie się wyrzekł...

— Ależ, proszę pani...

— Nie, nie, niech mnie pan nie pociesza. Ja chcę umrzeć!

— Nie tu! — krzyknąłem przerażony.

— A gdzie mam umrzeć? — rzekła ona rozdzierającym głosem. — Nie mam ani domu, ani nikogo.

— O, biedne dziecko!

Sztuka, Pieniądz, Bieda,  
Literat

Tak najpierw zawołało moje niemądre serce, a potem dopiero ja, co się razem splotło w okrzyk tak żalony i rzewny, że panienka z wdzięczności za współczucie położyła głowę na mojej piersi i cienko pochlipywała. Kosmaty kundel, zwiedziony tym ruchem i przekonany, że mam zamiar udusić jego umiłowaną panią, począł ujadać jazgotliwie, co musiało z kolei wywołać wilka z lasu, czujnym uchem złowiłem bowiem groźne pomruki Narcyzy za drzwiami.

W gorączkowym pośpiechu szukałem rady w bystrym moim rozumie, lecz ten nie wiedział, co mi czynić należy. Zapytałem serca — było pełne przerażenia. Gdybym zawołał przenikliwie mądrą Narcyzę i ją zapytał o radę, rzekłaby niewątpliwie: „Ją niech pan zabije, a psa niech pan zastrzeli!”

Trwałem przeto w bezruchu i mimo woli gładziłem ręką głowę tej dziewczyny, która spadła na mój spokój tak właśnie, jak czasem dachówka spada na niewinną głowę przechodnia. Trwałem jak posąg w kamiennym, niewzruszonym spokoju i bezgłośnie przysięgałem niebu i ziemi, przyrodzie i żywiołom, że póki życia — nie pozwolę wpuścić panienki z zadartym nosem, ani panienki, która ma kosmatego psa, ani panienki, która się zna na obrazach, ani takiej, która ma znajomego malarza. Nie ulega wątpliwości, że malarz potrafi zwichnąć rozum najbardziej sprawny i potężny, jakżeż tedy łatwo mógł przyprawić o utratę mizernej piątej klepki nierozważną dziewczynę! Znałem dobrze tego Zawidzkiego, świszczypałę<sup>13</sup> i lekkoducha, i wiedziałem, że dobry Pan Bóg niejedną raz zakrywał ręką twarz, nie mogąc patrzeć na jego szaleństwa. Skoro Zawidzki znalazł się w jakiś nieznamy mi sposób na drodze tego dziewczęcia, z wszelką pewnością nikt inny, tylko on, pomieszał jej rozum i wobec tego dziewczę godne jest litości. Myśląc o tym, tym serdeczniej gładziłem jej głowę, co ją znacznie uspokoiło, zerknęła bowiem na mnie po chwili spojrzeniem wymytnym we łzach i rzekła cichutko:

— O, jaki pan jest dobry. A ty, Rolly, uspokój się, ciężki idioto!

Jeden wykrzyknik wyrósł jak cyprys równocześnie nade mną i nad kundlem, ale już mi było wszystko jedno. Poczęła mnie ogarniać miła i ciepła radość, że panienka łatwo i bez większego namysłu przerzuca się z nastroju w nastrój, od uśmiechu do łez i z powrotem, co jest niezmiernie zajmujące w teatrze, nigdy w domu; zrozumiałem, że nic mnie już przed nią nie ochroni i będę musiał wytrwać do epilogu tragifarsy; wiedziałem niezbitnie, że postępując łagodnie, ustępliwie i z niefrasobliwą na pozór pogodą — jest to metoda z powodzeniem stosowana wobec wariatów — dowiem się wreszcie, dlaczego dachówka spadła mi na głowę.

Wiedziałem już, jak się zowie ogoniasty, nie znałem jednak dotąd imienia i nazwiska panienki, a był już chyba czas najwyższy, abym się o tym dowiedział.

Począłem się zbliżać do tego zagadnienia ostrożnie, nie wiedząc, czy panienka, uczyniwszy takie wyznanie, nie położy znowu głowy na mojej piersi i nie załka (choć rozsądne kobiety nie mają tego zwyczaju), wymawiając swoje nazwisko. Zacząłem tedy mówić chytrze:

— Bardzo mi smutno, że się pani tak wzruszyła, panno Zosiu!

Liczyłem na to, że zwyczajem rodzimym na dziesięć osób rodzaju żeńskiego jest siedem Zofii.

— Kiedy ja wcale nie jestem Zosia! — zaśmiała się panienka.

— A wolno wiedzieć, jak pani na imię?

— Wolno! Tatuś nazywa mnie Wu, a koleżanki nazywają mnie Miki...

— A jak mama?

— Ja nie mam matki — rzekła ona cicho. — Moja matka umarła, kiedy miałam osiem lat.

— Biedactwo — szepnąłem.

Spojrzałem serdecznie i tkliwie na jej twarzyczkę, co nagle zgasła, dziewczynka zaś podziękowała mi ślicznym, smutnym uśmiechem.

— Mam na imię Ewa — powiedziała. — A nazywam się Tyszowska.

— Tyszowska? Znam to nazwisko. Jest głośny lekarz bakteriolog...

— To mój ojciec! — zawołała radośnie panna Ewa.

— W takim razie ja znam ojca pani.

<sup>13</sup>świszczypała (pot.) — lekkoduch, osoba nieodpowiedzialna. [przypis edytorski]

— Ależ tak, tak! I ja o tym wiem. Pierwszą książką, którą dostałam od ojca, była książka pana. Ojciec często mi mówił o panu. Pan o tym może wie, że mojego ojca nie ma teraz w Polsce?

— Wiem, bo to głośna sprawa...

— Tak, a teraz ojciec wraca. Wraca za dwa tygodnie.

— No to świetnie!

— To wcale nie świetnie.

— Jakże to? Pani się nie cieszy?

— Czy ja się cieszę? O, Boże drogi! Od dwóch dni, od kiedy dostałam wiadomość, zdaje mi się, że oszaleję z radości. Ale, proszę pana, ja się boję...

— Czego? Co się stało?

Panna Ewa „zrobiła ponurą twarz”.

— Stały się straszne rzeczy. Ojca nie było w kraju przez półtora roku. Pan nie może mieć nawet wyobrażenia o tym, co ja zdołałam zdziałać przez ten czas. O rany! Jeżeli ojciec nie osiwieje, to będzie cud boski. Co ja narobiłam, co ja narobiłam! I ja, i ten pies.

— Cóż pani mogła takiego zrobić? — pytałem zaniepokojony.

— Co ja zrobiłam? Gdyby pan miał włosy na głowie, to by... O, bardzo pana przepraszam...

— Nic nie szkodzi. Kobieto, mów dalej, byle prędzej!

— To się nie da tak od razu powiedzieć. Na wołowej skórze też by nie spisał. I dlatego właśnie przyszłam do pana.

— A cóż ja mam z tym wszystkim wspólnego?

— Niby nic. Pomyślałam sobie jednak tak: ja panu wszystko uczciwie opowiem, a pan mnie obroni przed tatusiem i wszystko mu pan wytłumaczy.

— Ja? Dlaczego ja?

— A któż inny? — odrzekła panienka, zdziwiona, na moje niemądre pytanie. — Przecież pan nas kocha?

— Kogo: „nas”?

— Wszystkich, co mają jeszcze kielbie we łbie, więc i mnie. Co pan myśli, że ja nie wiem, jakie rozmaite podlotki pisują do pana listy? My w szkole wszystko wiemy.

— Owszem, pisują. I cóż z tego?

— To z tego, że pan powinien nas bronić w nieszczęściu i nie pozwolić nikogo skrzywdzić.

Długo byłem spokojny. Długo byłem cierpliwy. W tej chwili jednak ogarnął mnie gniew.

— Cóż ty sobie wyobrazasz, szalona dziewczyno — urągałem nielitościwie — że ja będę z uczciwymi ludźmi toczył wojnę o sto tysięcy podlotków, którym się podobało narobić sto tysięcy głupstw? Cicho bądź, kundlu! — ta apostrofa zwrócona była w stronę Rolmopsa, który niebezpiecznie zawarczał i lypał oczami w moim kierunku. — Co sobie panienka wyobraża? Nie wiem, o co idzie, ale nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Niech pani uspokoi tego psa, bo go wyrzucę przez okno! Skoro panienka nawarzyła piwa, niech je teraz wypije. Może pani kogoś zamordowała?

— Nie miałam czym — rzekła ona zuchwale.

— To całe szczęście. Zresztą to wszystko jedno!

Panna Ewa patrzyła na mnie przenikliwie, a równocześnie z uśmiechem nieco drwiącym.

— Pan jest bardzo kochany! — rzekła wreszcie. — Pan niezbyt zręcznie udaje takiego, co się okropnie złości.

— Ja udaję? Wypraszam sobie te poufałości... Oświadczam pani stanowczo, że nie chcę słyszeć o niczym, że nie wezmę udziału w żadnej awanturze i nie zamienię z ojcem pani ani słowa...

— I nie obroni mnie pan przed ludzką złością?

— Nie obronię.

— Ha, to trudno... Rolly, chodź! Bardzo pana przepraszam za najście. Żegnam pana i niech Bóg ma pana w swojej opiece...

— Żegnam panią...

— Przepraszam, nie skończyłam jeszcze: panu będzie boska opieka bardzo potrzebna...

— Czemuż to? — spytałem drwiąco.

— Zaraz panu powiem. Otóż cała młoda Polska dowie się jutro, że pan odmówił opieki i pomocy jednej z tych, wobec których od tylu lat udaje pan miłość. My panu wierzymy, my w pana wierzymy, my pana kochamy, a kiedy się zdarzyło, że jedna z nas przyszła do pana, aby się wypłakać, pan ją wygnał na mróz...

— Na jaki mróz?! — krzyknąłem w pasji.

— Wszystko jedno. Mrozu nie ma, bo jest lato, ale tak mi się powiedziało. Najpierw jakiś potwór chciał mnie zakatrupić w przedpokoju, a teraz pan szuka, czym ciężkim mógłby we mnie rzucić. I to wszystko za to, że ja do pana jak do rodzonego ojca... Jutro wszyscy się dowiedzą, jaki pan jest naprawdę. W książkach to nie sztuka, proszę pana... Ale teraz będziemy wiedziały... Rolly, chodź, bo pan Makuszyński jeszcze nas zamorduje.

Ona spojrzała na mnie z wyrzutem, kundel — z pogardą i machnął na mnie ogonem. Czulem, że świat się ze mną zakręcił; najpierw w prawo, a gdy się zmęczył, zaczął się kręcić w lewo.

Panna Ewa skłoniła się głęboko i szła ku drzwiom.

— Potworze, stój! — wrzasnąłem przeraźliwie.

Przed oczami udręczonej mojej duszy zaczęła defilować armia stu tysięcy panienek. Jedne patrzyły na mnie ze zgrozą, inne zakrywały ręką twarz, aby mnie nie widzieć, jeszcze inne ciężko wdychały westchnieniem zawodu, a kilka tysięcy krzyczało piskliwymi głosy: „Zdrada, zdrada!”. Zrobiło mi się gorąco. Zimny pot spływał po moim czole. Będę wkopany w ziemię, będę przywalony najcięższym głazem pogardy.

— Potworze, stój! — powtórzyłem konającym głosem.

Potwór odwrócił się z uśmiechem od drzwi, błysnął białymi zębami, ozłocił głowę uśmiechem i rzekł:

— Strasznie pana kocham!

Potem siadł i zaczął opowiadać.

Przyszedł nazajutrz i znowu opowiadał. Potwór opowiadał tak długo, że Narcyza usnęła raz pod drzwiami, znudzona podsłuchiwaniami. Ja słuchałem, albowiem miałem pannę Ewę zasłonić własną piersią, gdyby jej szanowny rodzic chciał jej urządzić *kęsim*<sup>14</sup> za wszystkie zbrodnie i awantury. Od czasu do czasu przykładalem sobie lód do głowy, aby się w niej mózg nie zagotował. Czasem wydawałem nierozumne okrzyki. W ten sposób dowiedziałem się o szaleństwach panny Ewy i spisałem w tej książce.

Nie ma wprawdzie w tej chwili na świecie dwóch większych przyjaciół niżli ona i ja (Rolmops pozostał opryskiem), mam jednak do niej głuchy żal; kiedy się bowiem wybrałem do jej ojca, aby w jej obronie wygłosić taką mowę, jakiej świat dotąd nie słyszał, ten człowiek uściskał mnie i rzekł:

— Ewa opowiedziała mi o wszystkim i niech się pan już nie trudzi. To dzielna dziewczyna. Czy napije się pan wina?

— Nie! — odrzekłem. — Ale jeżeli ma pan truciznę...

## ROZDZIAŁ DRUGI, W KTÓRYM NA SCENĘ WCHODZĄ UCZCIWI LUDZIE, BAKCYLE CHOLERY I ŻŁODZIEJSKI PIES

Hieronim Tyszowski miał niewiele ponad czterdzieści lat, a już europejską cieszył się sławą. Głośne były jego badania zarazków dżumy, cholery i innych ich bliskich kuzynów, trapiących ludzkość. Prace jego na te ponure tematy tłumaczone były na wiele języków. Obok słynnych matematyków polskich, którzy zdobyli światową sławę, Tyszowski pozyskał ją w swej dziedzinie dla wspaniałej polskiej nauki. Pracował z tą namiętną, rozgorzałą zapamiętałością, równą największemu bohaterstwu, wobec której nawet posępne okrucieństwo przyrody staje się bezradne i musi zdradzić człowiekowi swoje tajemnice. W tej walce, niustępliwiej i niustającej, którą rozpoczął Prometeusz<sup>15</sup>, wykradłszy ogień dla

<sup>14</sup>*kęsim* (z tur.) — ucięcie głowy, dekapitacja. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*Prometeusz* — grecki bóg, jeden z tytanów, który według mitu stworzył człowieka i podarował mu ogień, za co został surowo ukarany przez Zeusa. [przypis edytorski]

Literat, Książka

Choroba, Walka,  
Bohaterstwo, Ofiara,  
Człowiek, Prometeusz

struchlałej w mrokach i zimnie ludzkości, padło już wielu wspaniałych ludzi. Skazywali sami siebie na męczarnie, na kalectwo i na śmierć; lecz jak miejsce poległego żołnierza natychmiast zajmuje inny, tak na stanowisku, na którym padł wielki uczony, zjawia się w tejże samej chwili ktoś nowy, młodszy, równie odważny. Tak jest nieodmiennie od wieków. Jeden z bohaterów pada, „aby poległym ciałem dać innym szczebel do sławy grodu”<sup>16</sup>. Ten, co zajmuje opróżnione stanowisko, zjawia się bez lęku: radosny, słoneczny i szczęśliwy. Rozpoczyna dzieło w tym miejscu, w którym tamten je przerwał. Zadanie musi być spełnione, choćby śmierć zabijała legiony uczonych.

Tyszowski badał najstraszliwsze drobnoustroje, ani przez chwilę nie myśląc o tym, że sto razy dziennie dotyka śmierci, zamkniętej w szkiełku. Jego jasne oczy patrzyły z usilnym natężeniem w mikroskop — czujne, mądre i bystre. Było w nim coś z dziecka, gdy wychodził z pracowni. Nikt by nie przypuścił, patrząc na tego radosnego człowieka, śmiejącego się do słońca, że przed chwilą odślaniał najbardziej posępne, najgłębiej ukryte tajemnice życia i śmierci. Uczciwe swoje serce dzielił sprawiedliwie pomiędzy naukę i córkę. Po stracie żony nie miał niczego droższego na świecie, nie dbał zaś o siebie jedynie. Było mu zupełnie obojętne, czy jadł obiad i czy jest przyzwoicie odziany. Brodaty Czas wydzierał sobie włosy z sędziwej brody, widząc, jak ten człowiek nie zdaje sobie sprawy z prawidłowego następstwa godzin i żyje bez zwracania uwagi na dowcipny przyrząd zwany czasomierzem. Tyszowski, zasiadłszy w miłym, choć głucho milczącym, towarzystwie zarazków dżumy, nie zauważał niekiedy, że minęła noc i że nowe ukazało się słońce. Zarazki były znudzone i zmęczone — on nigdy. Patrzył przez chwilę w rozjaśnione świtem okno i starał się sobie przypomnieć, czy to jeszcze wieczór czy już rano? Dopiero dobrzy ludzie w białych kitlach, zjawiający się w laboratorium, podawali mu ściśle o tym wiadomości. Powracał przeto do domu, mocno zatrwożony oczekiwaniem zgiełkowej awantury, którą mu z wszelką pewnością urządzi córka.

Panna Ewa, nieco większa od zarazka dżumy, lecz równie ruchliwa i groźna, wychowywała się pod opieką dobrej kobiety, którą z matką Ewy łączyła cienka pajęczyna jakiegoś pokrewieństwa. Pani Halicka miała wielkie serce, lecz nieco mniejszy rozsądek, który sztukowała nieprzebraną poczciwością — co miało ten nieoczekiwany skutek, że nie ona wiodła przez życie brzdąca, zwanego Ewą, lecz brzdąc, zwany Ewą, wiodł przez zasadzki żywota pulchną i wiecznie jakby zatrwożoną panią Halicką. Nie ulegało natomiast żadnej wątpliwości, że gdy ją Bóg kiedyś powoła do swojej chwały, każe jej dać w niebie najbardziej zaciszny kącik w nagrodę za niepoliczony utrapienia, które były jej udziałem w domu spokojnego pana Tyszowskiego i niespokojnej panny Ewy.

Wieczna trwoga na rumianym obliczu dobrej kobiety mogła się wywodzić z jej owczej bezbronności wobec podstępnej złości świata, nierównie więcej jednak przemawia za tym, że owego strachu napędził jej pan Hieronim Tyszowski. Wiadomo jej było, że on i cholera to jedno. O choleryce miała z dawna wyrobione zdanie, któremu trudno było odmówić słuszności; była zaś głęboko przekonana, że jeśli nawet lekkomyślny ten człowiek nie polyka cholery dla zwyczajnej igraszki, z pewnością jednak nosi ją przy sobie. Zdarzało się czasem, że siedząc w jej towarzystwie przy stole, wyjmował nagle z kieszeni kamizelki małą szklaną probówkę i pilnie się w nią wpatrywał. Wtedy uciekała z krzykiem, pytając Boga zbielełymi ustami, w jakim celu stworzył takich szaleńców. Za żadne skarby świata nie byłaby dotknęła odzienia pana Tyszowskiego, któż bowiem mógł zaręczyć, czy nie siedzi na nim dorodny bakcyl dżumy, ojciec licznej rodziny? Ze strachem patrzyła, jak Ewa rzucała się na szyję ojcu, powracającemu z pracowni pełnej „morowego powietrza”<sup>17</sup>. Kochała dziewczynkę wszystką mocą opasłej duszy i dlatego jedynie nie uciekła dotąd z tego domu śmierci, w którym wedle jej głębokiego przekonania tak latały bakcyle jak gdzie indziej mole. Potajemnie, gdy zostawała w nim sama, paliła paskudne kadzidła, tak zwane trociczki, które miały swym zapachem zakatrupić nienawistne zarazki. Zaprawdę obrany z rozumu byłby srogi bakcyl, gdyby się podczas palenia tych wonności zbliżył na odległość kilometra. Zaden się przeto na to nie ważył, największy nawet lekkoduch; za to dobra pani Halicka kładła się do łóżka na trzy dni, z głową owiniętą mokrym ręcznikiem,

<sup>16</sup>aby poległym ciałem dać innym szczebel do sławy grodu — fragment *Ody do młodości*, utworu autorstwa Adama Mickiewicza (1798–1855). [przypis edytorski]

<sup>17</sup>morowe powietrze — określenie używane dawniej dla wyjaśnienia rozprzestrzeniania się groźnych epidemii. [przypis edytorski]

i jęczała cichutko — takie bowiem potężne zapachy były od owych kadzideł. Pan Tyszowski na próżno tłumaczył zacnej kobiecie, że będzie żyła szczęśliwie sto siedem lat, jedenaście miesięcy i dwadzieścia dziewięć dni.

Pani Halicka miała bliską rodzinę gdzieś pod Krakowem<sup>18</sup> i od lat ośmiu, spędzonych w domu Tyszowskich, wybierała się do niej w każde wielkie święta; w zimie jednak było na podróż za zimno, na wiosnę zaś padał zwykle deszcz, więc odkładała wyjazd na sposobną porę. „Tymczasem” prowadziła gospodarstwo domowe i zastępowała Ewci matkę. Dziewczynka zwała ją „ciocią”, chociaż niewiele prawnych podstaw istniało do tego czcigodnego tytułu. I pan Tyszowski, nie wiedząc, jak jej wyrazić serdeczną i tkliwą wdzięczność, mianował ją też „ciocią”, tak że po kilku latach nikt nie używał ani jej imienia, ani nazwiska i dla całej ulicy — dla sklepikarza i listonosza, dla stróża i dla całego domu — była ciocią. Pamiętano jednak o jej imieniu, gdy się zacerwieniło w kalendarzu. Ewcia bowiem na ten dzień, zapewne i w niebie obchodzony uroczysto, ze śpiewami i tańcami, dziergała jakąś koroneczkę, a pan Tyszowski przynosił z cukierni tort z marcepanowymi kwiatkami na górze i z zakalcem w środku. Ciocia patrzyła na ten potężnych rozmiarów smakołyk podejrzliwie i gdyby umiała mówić po łacinie, zakrzyknęłaby niewątpliwie: „*Timeo Danaos et dona ferentes!*” — co oznacza w katolickim języku: „Boję się Greków nawet wtedy, gdy przynoszą dary!”<sup>19</sup>. Gdyby wypadło, oblałaby tort na wszelki wypadek formaliną albo innym żrącym płynem, zabijającym zarazki — ale nie wypadło. Oblewała go przeto łzami rozczulenia, co wżgórzu słodczy nadawało smak wybitnie słony. Nawet jednakże i w takim dniu promienistym, w dniu powszechnej wymiany serc, zacna ciocia nie pozwoliła nigdy na to, by ją uściskał „ojciec zadżumionych”, i uciekała z krzykiem, zauważywszy jego zuchwały gest otwierania ramion.

Z przyzwoitej odległości umiała ciocia zdobyć się na odwagę. Należy przyznać rzetelnie, że do dnia dzisiejszego nie rozległby się ani jeden strzał na świecie, gdyby cioci polecono wynalezienie prochu, lecz w sercu jej mieszkała odwaga, gdy szło o Ewcię. Pan Tyszowski umiał liczyć bakcyle na miliardy, straszliwie jednak mąciły mu się rachunki, gdy liczył pieniądze. Znał je zapewne ze słyszenia, a widywał dość rzadko. Uważał je za wynalazek tępy i nieudany. Często się dziwił niesmacznej natarczywości ludzi, żądających pieniędzy za cukier, bułki i mięso. W głębi duszy zdumiewało go zapewne i to, że czasem sam otrzymywał pieniądze za swoją ogromną pracę, sprawiającą mu niebywałą rozkosz. Brał je, przyglądał im się przez chwilę uważnie, rozmyślając nad tym, ile i jakiego gatunku snuje się po nich zarazków, po czym oddawał je Ewci, a ta oddawała je cioci, która nigdy nie byłaby ich przyjęła z rąk Tyszowskiego. Ponieważ Ewcia nie umarła w srogich mękach, był to znak, że „banknoty są zdrowe”.

Zawsze jednak było ich za mało. Ciocia mogłaby wprawdzie być ministrem skarbu w jakimś pomniejszym państewku, a najsprawniejszy marynarz nie umiał tak zawiązać liny okrętowej, jak ona potrafiła wiązać koniec z końcem; zazwyczaj jednak na nowiu księżycy ciocia stawała skamieniała, podobna do żony Lota<sup>20</sup>, zamienionej w słup soli, i spoglądała z głębokim przerażeniem na pusty skarbiec domowy. Pan Tyszowski uciekał rano z domu do swojej cholery, Ewcia biegła do szkoły, a ciocia trwała w tragicznym bezruchu. Po dłuższej chwili wydawała z siebie rozdzierający jęk, co ją przywracało do życia i zagrzewało do walki. Czekwała powrotu Tyszowskiego i wszystko jej było jedno, kiedy powrócił. Zjawiała się przed nim z kamienną twarzą i mówiła. A słowa jej były z żelaza.

— O! — wykrzykiwał Tyszowski. — Czemuż to ciocia jeszcze nie śpi?

A ona odpowiadała:

— Gdybym leżała nawet w trumnie, też bym nie mogła zasnąć!

Noc błądła z przerażenia, słysząc te okropne słowa.

— Czy się coś stało? — pytał Tyszowski zaniepokojony.

— Stało się. Ewcia wieczorem nie jadła.

— Boże drogi, chora?

<sup>18</sup> *Kraków* — miasto w pld. Polsce, stolica województwa małopolskiego. [przypis edytorski]

<sup>19</sup> *Boję się Greków nawet wtedy, gdy przynoszą dary!* — fragment rzymskiego eposu *Eneida* autorstwa Wergiliusza (70–19 p.n.e.) [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *Lot* — postać biblijna, bratanek patriarchy Abrahama; jego żona została zamieniona w słup soli za niezastosowanie się do boskiego nakazu. [przypis edytorski]

— Ewcia nie jest chora i mogłaby zjeść całe cielę. Tylko, że nie było co jeść... Pan może jeść ten bulion, którym pan żywi swoje bakcyle, bo panu jest wszystko jedno, ale dziecko trzeba nakarmić uczciwie. Czy pan słyszy?

— Słyszę, słyszę, niech ciocia nie krzyczy. A czemuż to nie ma u nas co jeść?

— Bo manna nie spadła z nieba!

— O, to źle, to źle! — mruzczał Tyszowski, z czego można było wnosić, że narzeka na niebiańskie urządzenia.

Pan Tyszowski jednak martwił się z innego powodu. Strach go chwycił, że Ewcia nie jadła. Było to wierutne kłamstwo, ciocia bowiem nie dopuściłaby przenigdy do okrutnej, głodowej ostateczności — prawdą natomiast niezbitą była ponurość najbliższej przyszłości. Ciocia z niewypowiedzianym sprytem pragnęła wzbudzić w Tyszowskim zabójczą i zdobywczą energię, więc przedstawiła jego oczom blade widmo Ewci, którą srogi głód zamieniał powoli w jasnokościsty szkielet.

— Co robić, ciociu złota, co robić? — pytał Tyszowski.

— Pieniądze! — odrzekła ciocia krótko i rozumnie.

Znakomity uczonej spojrział na nią ze strachem, przyszło mu bowiem na myśl, że go ciocia namawia do fabrykacji banknotów, co jest źle widziane przez władze, ciocia jednak nawet podczas przychylnego zgrozy miała minę tak pocziwą, że go ta myśl odbiegła.

— Do pierwszego jeszcze kilka dni — mówił zadumany. — Ale, ale! — zakrzyknął radośnie. — Przecież mi się coś należy od wydawcy. Jutro będziemy mieli pieniądze w bród.

— Od wydawcy? — zaszemrała ciocia. — To znaczy: od księgarza? Myślałam, że pan wpadnie na lepszy pomysł. Od dwóch lat wciąż ma pan coś przynieść od wydawcy, ale dotąd pan tego nie zrobił.

Machnęła ręką na znak braku nadziei, co Słowacki wyraził przy innej sposobności słowami: „Kto tam odejmie co, ten będzie mądry!”<sup>21</sup>.

— Jednak spróbować nie zawadzi...

— A jeżeli się nie uda?

— Ha! — zakrzyknął Tyszowski.

Była w tym zwartym okrzyku groźba śmierci, potępienie i szaleństwo, co jednakże najmniejszego wrażenia nie uczyniło na cioci. Znała ona zbyt dobrze zapobiegliwość i przedsiębiorczość tego najłagodniejszego z ludzi, którego każdy wydawca sprzedałby bez najmniejszego trudu do Egiptu, gdyby tam jeszcze robiono takie interesy. Wiedziała jednak, że głuchy na wszelkie rozumne perswazje, dobędzie z siebie niebywały zapas pomysowości, skoro tylko idzie o Ewcię. Razu pewnego ciocia, bez żadnych dramatycznych objaśnień, postawiła na jego nocnym stoliku bucik Ewci. Tyszowski wrócił późną nocą, spojrział wielce zdumiony i pomyślał w pierwszej chwili, że to dziwnego kształtu popielniczka. Ujrawszy jednak straszliwe w buciku rozdarcie, zasromał się<sup>22</sup> i jęknął głucho. Nazajutrz przyniósł triumfalnie nowe obuwie. Ciocia wiedziała, że teraz też dokona jakiegoś bohaterstwa, odegnawszy od genialnej głowy te mętne opary, które się snują nad ludźmi uczonymi.

Na wszelki wypadek, na tak zwaną „czarną godzinę”, chowała ciocia swój jedyny złoty skarb. Miała kiedyś dwóch mężów, których Bóg powołał do swojej chwały, uznawszy, że na ziemi nie ma z nich zbyt wielkiego pożytku. Po każdym z nich pozostała złota obrączka. W „dniu gniewu i klęski” zanosila ciocia do zakładu zastawniczego<sup>23</sup> najpierw tę, na której wyryta była data pierwszego ślubu, potem drugą, żalując czasem, że nie wyszła w za mąż po raz trzeci. Ciocia była niezmiernie chytra i przed czarnym dniem mówiła na wszelki wypadek, tak sobie, od niechcienia:

— Palce mi puchną, muszę zdjąć obrączki...

A to nie palce jej puchły, tylko głowa — od trosk i zmartwień.

Szła potem grosz do grosza i obrączki wracały na swoje prawowite miejsce, co wielce radowało w niebie obydwóch nieboszczyków.

Smętne te historie powtarzały się kilka razy do roku i gdyby nie owe dni chmurne,

Ojciec, Miłość, Pies,  
Zabawa

<sup>21</sup>Kto tam odejmie co, ten będzie mądry! — fragment poematu dygresyjnego *Beniowski*, autorstwa Juliusza Słowackiego (1809–1849). [przypis edytorski]

<sup>22</sup>zasromać się (daw.) — zawstydzić się. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>zakład zastawniczy — dawne określenie lombardu. [przypis edytorski]

radośnie byłoby w domu pana Tyszowskiego. Kochał on Ewcię tak gorąco, jak gdyby pragnął dać jej i miłość matczyną. Wiedział, że sto nawet serc, chociażby tak miękkich i tak czułych jak zacne serce cioci, nie zastąpi dziecku jednego uścisku i jednego uśmiechu matki, więc serce własne otworzył szeroko. Był nie tylko ojcem dziewczynki, lecz jej starszym bratem, przyjacielem, rówieśnikiem i kolegą. Znakomity uczony zmieniał się czasem w rozbrykanego urwipolcia, który wraz z Ewcią wywracał uczciwy dom do góry nogami. Zdumiałaby się wszelkie uniwersytety świata, widząc, jak głośny uczony siedzi na szczycie szafy i zachęca niewinne dziecko, aby się wgramoliło na tę samą przeraźliwą wysokość, albo jak czasem rzuca w swoją latorośl poduszkami, wydając przy tym obdar- te ze skóry okrzyki. Trzecim współnikiem tych zabaw był straszliwy kundel, Rolmops — indywiduum bez czci, wiary, wstydu, dobrego smaku, bez wychowania, bez poczucia odpowiedzialności, bez piątej klepki. Podrzutek, znaleziony w sieni, od najpierwszych swoich dni był jawnie opętany przez złego ducha i dotknięty nieznanego rodzaju szaleń- stwem. Ciocia błagała czasem ze łzami w oczach pana Tyszowskiego, aby tę lichą i bez- czelną imitację psa nakarmił cholerą i dżumą, w słusznym mniemaniu, że sama cholera nie da rady temu oberwańcowi. Pies najwyraźniej wszystko rozumiał, z natury zaś swojej był zawodowym złodziejem, który cioci kradł wszystko spod ręki i takie stroił miny, jak gdyby był wiecznie krzywdzonym sierotą, na którego dobrą sławę ona niesłusznie nastaje. W lot pojął, że ciocię można oszukać w żywe oczy, że z panem Tyszowskim nie trzeba żadnych robić ceremonii i że — w pewnej mierze — liczyć się należy jedynie z Ewcią. Dzieje świata nie zanotowały większego opryszka i oczajduszy<sup>24</sup> psiego pochodzenia.

Ewcia składała się z duszy, z ciała, z prochu, siarki, dynamitu i jeszcze siedmiu in- nych ingrediencji<sup>25</sup> wybuchowych, w każdej chwili grożących spokojnemu światu zagła- dą. Ciocia przypisywała tę wybuchowość temperamentu zadartemu nosowi, czego jednak sposobem naukowym dowieść się nie dało. Wiele jednak w tej hipotezie mogło tkwić słuszności. Ewci wszędzie było pełno; obejmowała przy każdej sposobności przewodnic- two w koleżeńskim gronie, bystrość jej była zdumiewająca, inteligencja dorównywała czasem szatańskiej rozumności Rolmopsa, wesołość jej była huczna, roześmiana, rozper- lona i nieustanna. Dyskusje z ojcem, który zapominał niemal zawsze, że rozmawia z małą dziewczynką, i gadał z nią jak z brodatym profesorem uniwersytetu, napełniły jej drob- ną głowinę wyborną mieszaniną, zwaną przez ludzi prostego ducha „grochem z kapustą”. Wielkim wysiłkiem bystrego rozumu poczęła Ewcia z czasem oddzielać groch od kapusty i porządkować zatłoczoną spiżarnię. W szkole budziła podziw głodem nauki i jasnością myślenia. Bardziej jednak niż zalety umysłu budziło zachwyt jej serce. Zdawało się, że posiada ono jedynie „południową stronę”, tak nagrzaną uśmiechem jak słońcem. Cudzy ból był jej bólem. Cudze nieszczęście było jej osobistym nieszczęściem. Widok katowa- nego na ulicy konia przyprawiał ją o wstrząs i rozpacz. Zdarzyło się pewnego razu, że mała dziewczynka w szkolnym mundurku rzuciła się jak młode tygrysiątko na ogromne- go draba, co drzewcem bata tłukł nieszczęsnego konia po oczach. Przyglądając się temu gromadkę nieśmiałych ludzi ogarnął wstyd. Draba przytrzymało, a ktoś rzekł do Ewci:

— Niech cię Bóg błogosławi, dzielna dziewczynko.

Dzieciarnia z całej ulicy była pod komendą Ewy — od tych najmniejszych, za któ- rymi powiewa prawie biała chorągiewka prawie białej koszuli, aż do tych, co przygryzają górną wargę, aby przyspieszyć porost wąsów. Kochało się w niej na zabój osiemnastu uczniaków, co powodowało groźne pomruki, potężne obietnice połamania kości rywalo- m, rozmowy pełne błyskawic i gromów i takie spojrzenia, po których pojawiają się sińce na obliczu wroga. Primadonna jednakże mało zwracała uwagi na wzdychania i ma- drygały<sup>26</sup>. Największą jej miłością, najwierniejszą i jedyłą, był pan Hieronim Tyszowski — arcyojciec, arcyprzyjaciół i arcytowarzysz. Tych dwoje umiało ze sobą gadać i słowami i, jeśli było trzeba, na migi jak sztubacy<sup>27</sup>, gdy było do przewidzenia, że ciocię coś oburzy.

<sup>24</sup>oczajdusza (daw.) — hulaka, hultaj. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>ingredienca — składnik. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>madrygał — miłosny sielankowy utwór poetycki, niekiedy także muzyczny. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>szhtubak (daw.) — uczniak, uczeń. [przypis edytorski]

Pan Tyszowski przychodził z rozwianymi nieporządnie włosami, z krawatem wykrzywionym ze środy na piątek i z uśmiechem tak szerokim jak brama miasta Gazy<sup>28</sup>. O tak roześmianym człowieku rzekł raz ktoś obrazowo, że „mógłby jeść szparagi w poprzek”.

Ewcia wołała potężnie:

— Witaj, witaj, Hieronimie, zimny w lecie, ciepły w zimie!

Hieronim najpierw przestawał się śmiać z nadmiernego zdumienia, po czym odpowiadał:

— Witaj, witaj, lube dziecię, głupie w zimie, głupie w lecie!

— Jak śmiesz obrażać damę, Hieronimie!

— Damo! Jak śmiesz znieważać rodzzonego ojca?

— Kobiecie wszystko wolno!

— A rodzicom wolno położyć kobietę na kolanie i...

— Nie kończ, luby Hieronimie! — wołała dama z nosem nieprzyzwoicie i niemodnie zadartym i rzuciła się ojcu na szyję.

Czasem mówiła:

— Tatusiu, czy wiesz, że poszłabym za tobą do piekła?

— O, zła i niewdzięczna córko, jak możesz mówić rzeczy tak okropne?! Skoro zapowiadasz, że pójdziesz za mną do piekła, z tego wynika, że przedtem musiałbym ja się tam znajdować. Czy ja będę w piekle? Odpowiadaj: tak czy nie?

— Słusznie! Jesteś aniołem i nie pójdziesz do piekła, wobec tego i ja nie miałabym tam nic do roboty. Za to na każde twoje wezwanie skoczyłabym w przepaść.

— To też na nic! — śmiał się Tyszowski. — Najbliższa przepaść znajduje się w Zakopanem<sup>29</sup>. Trzeba by jechać daleko, długo i za wielkie pieniądze. Rozmyślibyśmy się oboje, zanim byśmy dojechali. Pozwalam ci na moją cześć skoczyć z pieca na łeb.

— Chcesz?

— Nie chcę, nie chcę! Wierzę ci na słowo. Kochasz mnie?

— Och! — jęknęła Ewcia tak głęboko, że głębiej nie było można.

— Ewuniu moja! — mówił Tyszowski z gorącym rozczuleniem i gładził jej głowinę.

Potem rozpoczynali uroczysty taniec, do którego na trzeciego przyłączał się paskudny Rolmops, rytmicznie i wdzięcznie poszczekując.

Ewcia zauważyła jednakże, że od niewielu dni uczony Hieronim powraca do domu wcześniej niż zwykle i dziwnie zamyślony. Wprawdzie już od progu rozpoczynał obłądny dialog, lecz czynił to bez zwyczajnej werwy i na próżno starał się sklecić dwuwiersz, aby nim pognębić wyrodną córkę. Przy stole siedział zamyślony i zdarzyło mu się, że wyspał sól do herbaty.

„Coś gryzie Hieronima”, pomyślała Ewcia z niepokojem.

Zaglądała pilnie w jego oczy, zadumane i patrzące w jeden punkt, lecz nie śmiała pytać, co się z nim dzieje. Wiedziała, że powie jej sam. Odbyła natomiast naradę z panią Halicką.

— Ciociu! Tatusiowi coś dolega...

— Cóż znowu? — rzekła ciocia. — Najadł się wczoraj wieprzowiny z kapustą, więc mu dolega...

— Ale nie... Tatuś ma jakieś zmartwienie. Ja wiem, że coś go dręczy!

— Dręczy go? Skąd ja mogę wiedzieć, co go dręczy? Może zgubił pakunek z cholera albo coś? Czytałam, że się takie wypadki zdarzały. Czemu nie zapytasz ojca?

— Bo może nie chce, aby go pytać.

— W takim razie ja sama go zapytam!

— Ciociu złota! Tylko delikatnie...

Pani Halicka się obruszyła.

— Jeszcze się nikt nie skarżył na moją delikatność.

Wobec tego, chytrze okrążając pana Tyszowskiego, zagadnęła go ciocia znienacka:

— Zamordował pan kogoś czy co?

— Dobra kobieto! — odrzekł on. — Skąd takie posądzenie?

— Stąd, że pan wygląda jak siedem nieszczęść. Co pana gryzie?

<sup>28</sup>Gaza — historyczne miasto w biblijnej Palestynie, obecnie będące stolicą Strefy Gazy; znajduje się tutaj siedem zabytkowych bram. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>Zakopane — miasto w pld. Polsce, położone u podnóża Tatr. [przypis edytorski]

— Troski mnie gryzą... Ależ ciocia ma oko!  
— To nie ja, to Ewcia spostrzegła. Ja mam co innego do roboty niż patrzeć na pańskie miny.

— Ewcia? Ta dziewczyna ma tyle oczu co mucha. Cóż ona cioci nagadała?

— Nic nie nagadała. Nam kobietom starczą dwa słowa i już wszystko wiemy, a Ewcia to mądra dziewczyna!

— Aha! — mruknął Tyszowski w zamyśleniu. — Prawdę mówiąc, już czas, aby wam wszystko powiedzieć. Najpierw jednak powiem pani. Czy Ewcia już śpi? Tak? Niech się ciocia zbliży, to się z ciocią naradzę.

Ciocia spojrzała podejrzliwie i choć ciekawość tryskała z jej spojrzenia jak woda z fontanny, rzekła dobitnie:

— Nigdy do pana się nie zbliżę, bo mi życie mile. Chce pan gadać, niech pan gada głośno, a nie, to nie.

Tyszowski zaśmiał się cicho.

— Dobrze, ciotko całego świata! Niechże się ciocia dowie, że mam ogromne zmartwienie. Nie wiem, co mam uczynić... Zaproponowano mi, abym na rok albo na dłużej pojechał do Chin...

— Matko Boska! — krzyknęła zdławionym głosem ciocia. — Ja nie pojadę!

— Otóż właśnie. Ani ciocia, ani Ewcia. Musiałbym jechać sam.

— A po co? Czy panu życie niemiłe?

— Pojadę i wrócę, niech ciocia będzie spokojna. W Chinach wybuchła cholera...

— A my pijemy chińską herbatę! Świat się kończy!

— I o to niech ciocia będzie spokojna. Ta herbata, którą my pijemy, z wszelką pewnością nie była nigdy w Chinach. Ale mniejsza z tym! Zatem, widzi ciocia, w Chinach jest cholera, a że ja się na tym trochę znam, więc chcę, abym tam pojechał i ją zakatrupił.

— I pan chce jechać?

— Nawet bardzo! Tu mam cholery jak na lekarstwo, ledwie odrobinę, a tam miałbym jej, ile tylko dusza zapagnie.

— Boże, nie skarz tego człowieka! — krzyknęła ciocia.

— Niech ciocia pomyśli tylko, ile bym się nauczył, ile bym uratował nieszczęśliwych ludzi. Może by mi się udało znaleźć to miejsce, w którym się ona łęgnie, może bym znalazł taki środek...

— Oby przedtem cholera nie znalazła pana!

— Bóg jest wielki! — odrzekł Tyszowski z cichą powagą. — Co ma być, będzie, i nie to jest moim zmartwieniem. Od kilku dni rozmyślam nad tym, co zrobić z Ewcią i co z panią zrobić, droga ciociu!

Pani Halicka milczała przez dłuższą chwilę i patrzyła na Tyszowskiego miękkiem spojrzeniem.

— Z pana jest dziwny człowiek — rzekła wreszcie cicho. — Sam się pan narazi na śmierć, aby ratować innych. Ma pan własne troski, a myśli pan o tym, co będzie ze starą babą.

— Z jaką starą babą? — zdumiał się Tyszowski.

— Ze mną, ze mną... Młoda nie jestem, więc to ja, i wąsów nie mam, więc to też ja. To ładnie, że pan udaje, jakby pan nie rozumiał, o kim mówię. O mnie jednak niech się pan nie troszczy... Mam do kogo pójść i mam się gdzie schronić. Rok albo półtora, powiada pan? To długo, ale można wytrzymać. Gdzieś tam na ten czas przypadnę, ale zapowiadam panu uroczyście, że jeśli nie umrę, powrócę!

— O, ciociu kochana!

— Tylko niech się pan nie zbliża... Pana nic się nie czepi, ale mnie może złapać od razu. Powiadam, że wrócę, bo nikt inny, tylko ja wydam Ewcię za męża!

— Och, och! — zaśmiał się Tyszowski.

— Co w tym śmiesznego? Pan by ją wydał za byle połamańca, bo by mu się pan nawet nie przyjrzał. Ale to będzie ze mną sprawa! Na to jednak jest czas. Ważniejsze jest to, co pan zamysła zrobić z dzieckiem przez czas pańskiej nieobecności. Za pozwoleniem! Czy panu zapłacą za te chińskie ceremonie?

— Oczywiście. I bardzo dużo zapłacą.

Konflikt wewnętrzny,  
Podróż, Rodzina, Rozstanie,  
Choroba, Nauka

— Spodziewam się, że nie herbatą, tylko pieniędzmi. Starczy tego i dla pana, i dla tego dziecka?

— Chyba starczy...

— I to też ja zbadam, bo pana oszukują. Takiego nedorajdy w pieniężnych sprawach jak pan nie ma drugiego w całym bożym świecie. Pieniądze to nie cholera, do tego trzeba mieć głowę. Chociaż, co ja mówię! Czasem pieniądze są gorsze od cholery... Ale co dalej? Co pan postanowił zrobić z Ewcią?

Tyszowski rozłożył bezradnie ręce.

— Otóż właśnie, że niczego nie postanowiłem. Po prostu nie wiem! Ewcia musi pozostać w Warszawie, musi chodzić do szkoły, a dom trzeba zwinąć. Na całe gospodarstwo by nie starczyło... Najchętniej ucałowałbym ręce cioci i prosił, aby została z Ewcią, ale wiem, że to niemal niemożliwe. Ciocia zamartwilaby się z czasem na śmierć, a złote obrączki...

— Jakie obrączki?! Co pan wygaduje! Nie mam żadnych obrączek... — krzyknęła ciocia, czerwona jak cukrowy burak, bo byłoby ponurą krzywdą porównanie jej z nieszlachetnym burakiem pastewnym.

— Tak, to prawda — mówił Tyszowski wzruszony — że ciocia nie ma żadnych obrączek, bo obie są zastawione. Czy ciocia myśli, że ja o niczym nie wiem? Czy ciocia myśli, że ja nie widziałem, jak te obrączki zsuwały się same z palców, a ciocia mówiła, że jej dłonie spuchły? Niech to Bóg pani zapamięta, dobra, złota, serdeczna kobieto... Jutro obrączki będą w domu z powrotem!

— Nie ma się czego śpieszyć! — mruknęła pani Halicka. — Kiedy pan chce wyjechać?

— Za jakieś dwa tygodnie...

— Mamy czas. Od tej chwili zacznę myśleć, co zrobić z Ewcią. I pan też niech o tym myśli, chociaż to tylko strata czasu... A o tych Chinach pan ją zawiadomi czy ja mam to uczynić?

— Pani, pani, droga ciociu, bo ja nie mam odwagi.

— Nie ma pan odwagi? Chińskiej cholery się pan nie obawia, a boi się pan własnego dziecka?

To rzekłszy, uciekła w mrok, albowiem pan Tyszowski taki uczynił ruch, jak gdyby chciał ucałować jej rękę, odartą ze złotych ozdób po dwóch sprawiedliwych mężach.

Nazajutrz zaś pomieszały się w równych dawkach łzy Ewci ze łzami cioci. Dziewczynka, usłyszawszy piorunującą nowinę, najpierw zastygła w bezruchu zdumienia, a po krótkiej chwili wybuchnęła płaczem tak rzęsiwym jak wiosenna ulewa. Była to zbyt dobra okazja dla cioci do serdecznego wypłakania się, aby jej miała nie wykorzystać. Rzucały się sobie w objęcia, gęsto pochlipując, po czym odpoczywały przez chwilę i tym rzewniej rozpoczynały na nowo — jedna bardzo cienko, druga nieco grubiej — tworząc wybornie zharmonizowaną, smętną arię. Ewcia łkała jak skrzypce, ciocia płakała jak wiolonczela, która, mało brakowało, a mogła być basem.

Pierwsza, jak się zresztą rozumnie należało spodziewać, powróciła do przytomności cioci i zapytała całkiem roztropnie:

— Ewuniu, czemu ty właściwie płaczesz?

Dziewczyna spojrzała na nią z oczywistym zdumieniem i rzekła, lejąc łzy na słowa jak deszcz na kwiaty:

— A czemu ciocia płacze?

— Bo ty płaczesz!

Wynikało z tego, że skoro jedna kobieta płacze, druga bez namysłu też to uczynić powinna, inaczej nie będzie żadnej na świecie solidarności.

Nie to jednak było najbardziej patetyczne. Szczytem wzniosłości był udział Rolmopsa w pospolitym ruszeniu serc. Paskudny kundel, widząc splecione boleśnie ramiona i głowę ukochanej pani na miękkim posłaniu piersi cioci, słysząc rzewną muzykę i smutne narzekania, najpierw szczechnął krótko, jakby strojąc ton, po czym zawył wzruszająco, przeciągle i tak smutno, jak gdyby mu miało pęknąć złodziejskie serce. Taka już jest jednak psia dola, że dobre chęci nigdy nie zostaną należycie zrozumiane, ciocia bowiem, posadziwszy łagodnie Ewcię na fotelu, rzuciła w śpiewającego żalobnie psa najpierw gniewne spojrzenie, a potem książkę z wierszami, której nikt nie przeczytał, ale którą zawsze ci-

Łzy

skano w Rołmopsa. Niepozorny ten ruch był jakoby hasłem powrotu do rzeczywistości i zakończenia smutnej opery.

Ciocia skorzystała z chwili ciszy i poczęła dobywać z bogatego spichrza słowa dojrzałej rozważli. Chociaż nie ulegało wątpliwości, że gdyby żyła w historycznym okresie „pięciu panien mądrych i pięciu głupich”<sup>30</sup>, nie zaliczono by jej przenigdy do serii pierwszej, w tej chwili, wiedzona tajemną wiedzą, mającą siedlisko w sercu, znalazła od razu właściwą drogę. Rzekła do Ewci:

— Pomyśl, drogie dziecko, ilu nieszczęśliwych ludzi ocali twój ojciec!

Ewcia przymknęła wilgotne oczy, jak gdyby ujrzała z nagła błyskawicę.

— I jakąż zdobędzie sławę!

Druga świetlna błyskawica przebiegła przez niebo.

— Do nikogo się nie zwrócili — mówiła ciocia jakby w natchnieniu. — Nikogo nie wołali: ani Francuza, ani Anglika, ani Włocha, tylko Polaka! Słyszysz, dziecko?

— Słyszę!

Oczy dziewczęce szybko schną po ulewie łez i źrenice Ewci patrzyły już promieniście. Czuli, jak rozżalone serce uśmiecha się w niej radośnie.

Rozpoczęła z ciocią rozmowę długą i złożoną z samych wykrzykników. Okazało się po godzinie (siedemdziesiąt siedem słów na minutę), że obowiązkiem Ewci jest mężnie przecierpieć rozstanie i rozłąkę, że obowiązkiem Polki jest gorące zachęcenie Polaka, aby imię polskie rozsławił i nie gryzł się w tym czasie myślą o córce, bo ta da sobie radę, mając w odwodzie kobietę tak wspaniałą i niezastąpioną jak ciocia (wieś Koliba, poczta Maków<sup>31</sup>, woj. krakowskie, u państwa Janeckich, dwór).

Pan Tyszowski był zdumiony najczulszym powitaniem, gdy przybył do domu niemal chyłkiem, w oczekiwaniu burzy. Mało brakło, aby Ewunia powitała go po chińsku. Mrugnął porozumiewawczo w stronę cioci i wyraźnie szczęśliwy począł tłumaczyć dziewczynie, że czas upłynie szybko, a powrót będzie tryumfalny. Od tej chwili dom katolicki i chrześcijański nabrał cech pogańsko-chińskich. Temat każdej rozmowy miał warkocz i skośne oczy.

— Tatusiu! — mówiła Ewcia. — Uważaj, abys tam nie zjadł psa.

Ciocia krzyknęła z wyraźnym niesmakiem, a paskudny kundel najeżył się i począł pilnie nasłuchiwać.

— Niech się ciocia nie oburza, bo tam psie mięso uważane jest za przysmak. Opowiadają, że pewien europejski dyplomata posłał mandarynowi<sup>32</sup> pięknego psa rzadkiej rasy. Nazajutrz otrzymał list, w którym mandaryn, gorąco dziękując, pisał, że nie jadł dotąd równie smacznej psiny. O, czy cioci słabo?

— Przestań, na Boga, przestań! — jęczała ciocia.

— Dobrze. A czy wiesz, ojciec Hieronimie, jak należy być grzecznym po chińsku?

— Nie wiem, córko Ewo! Ale skąd ty wiesz o tym?

— Zdobyłam przedziwnie mądrą księgę o chińskich obyczajach. Dowiedz się przeto, że skoro chcesz być greczny po chińsku, zmieszaj zawsze siebie z błotem, a pod niebiosy wysławiaj tego, z którym rozmawiasz. Gdybyś mówił o swej szlachetnej i nieporównanej córce Ewie, będziesz musiał, choćby ci serce pękało z bóleści, nazywać ją „głupim prosięciem”.

— Ha! Nigdy tego nie uczynię!

— W takim razie będziesz uchodził za gbura. Co kraj, to obyczaj. Przeczytałam w tej rozkosznej książce o takim zdarzeniu: raz pewien Chińczyk, odziany w najświetniejszą swoją szatę, przyszedł do pewnego domu, w którym na belce pułapu stało naczynie z oliwą, a oliwę chleptał szczur. Przestraszony szczur, uciekając, przewrócił naczynie na gościa, którego najświetniejsze odzienie w straszliwym znalazło się stanie. Gość wpadł we

Obyczaje

<sup>30</sup>historyczny okres „pięciu panien mądrych i pięciu głupich” — określenie używane w Biblii wobec Panien Mądrych i Panien Głupich, tytułowych bohaterek jednej z przypowieści Jezusa; są one często przedstawiane w sztuce sakralnej różnych epok (przeważnie średniowiecza), trudno zatem powiedzieć, o jaki okres historyczny tutaj chodzi. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>Maków — obecnie wieś w pld. Polsce położona w województwie małopolskim, w powiecie miechowskim. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>mandaryn — chiński dostojnik. [przypis edytorski]

wściekłość, a wtem wchodzi gospodarz. Gość zrobił nakazaną liczbę ukłonów i z uprzejmym uśmiechem powiada: „O panie! W chwili gdy wchodziłem do tego szanownego domu, przestraszyłem nieopatrznie twego szanownego szczura, który, uciekając, przewrócił twoje szanowne naczynie z oliwą na moją nędzną szatę, co tłumaczy pogardy godny stan, w jakim śmiem się znajdować w twoim szanownym domu!”

— O, szanowny idiota! — rzekła ciocia z goryczą.

— Ciociu! Cicho... Chińczycy słyszą, jak trawa rośnie — rzekł, śmiejąc się, pan Hieronim. — A jedno chińskie przysłowie powiada: „Gdy masz przejść w bród przez rzekę, nie mów źle o matce krokodyla!”

Ciocia nie mogła pojąć, dlaczego pan Tyszowski ma przechodzić w bród przez chińskie rzeki i dlaczego krokodyle podsłuchują, co ludzie mówią o ich matkach. Miała już zresztą dość chińszczyzny, szanownych szczurów i szanownych psów, przeznaczonych na pieczyste; dręczyło ją natomiast pytanie, dokąd się odda Ewcię „na przechowanie”. Odbyła na ten temat wiele poufnych konferencji z własną duszą, z wieloma ludźmi i wreszcie z Tyszowskim. Ponieważ ojciec dżumy, wuj cholery i bliski krewny tyfusu niczego nie wymyślił (co było do przewidzenia), ciocia rzekła mu dnia jednego:

— Nie ma innej rady, Ewcia zamieszka u Szymbartów!

— Oj, ciociu! — zakrzyknął Tyszowski i tak się skrzywił, jakby już jadł obiad z prawowiernego Chińczyka i popijał octem.

## ROZDZIAŁ TRZECI, PRZY KTÓREGO CZYTANIU OCZYŁZAWIĄ JAK PRZY ÓBIERANIU CEBULI

Gdybym opisał pożegnanie Ewci z ciocią, mogłoby „na pęknięcie serca” umrzeć siedemdziesięciu siedmiu czytelników. Gdybym lekkomyślnie ważył się na przedstawienie sceny rozłąki Ewci z ojcem, zginęłoby w ten sam żalony sposób siedemset siedemdziesięciu siedmiu czytelników, którzy mi nieopatrznie zaufali. Byłoby przeto rzeczą słuszną, gdyby władze, powołane do ochrony zdrowia i życia obywateli, kazały spalić tak żalony książkę, a przy jednym ognisku i jej autora. Zamilknij przeto, serce moje!

Zdławiwszy boleść, mogę powiedzieć to jedynie, że Ewcia Tyszowska wraz z kundlem Rolmopsem została przeniesiona do państwa Szymbartów, mieszkających w tym samym domu, co Tyszowski, tylko że na wysokim parterze, przy bardzo cichej, bocznej uliczce. Mieszkania w warszawskiej kamienicy niczym się od siebie nie różnią: w każdym z nich pokój tzw. stołowy jest należycie ciemny z tego zapewne powodu, aby nikt nie mógł dojrzeć, co zjada, bo czasem, gdyby ujrzał, przeszłaby mu ochota na jedzenie. Ów „pokój stołowy” posiada balkon nad studnią podwórza, a rangę mieszkania poznaje się po tym, co wisi lub leży na tym balkonie. Przeto w zimowym czasie na balkonie pysznego pierwszego piętra wiszą trzy zamazłe na kość zajęcze zwłoki, na drugim piętrze wiszą głowami na dół już tylko dwa zające, a na trzecim piętrze nie wisi żaden. W lecie natomiast następuje przedziwna zmiana dekoracji: na trzecim piętrze płoną na balkonie trzy pelargonie, na drugim stoi beczka z kiszonymi ogórkami, a na wspaniałym pierwszym — balia do prania. Ewcia została przeniesiona z „balkonu dwóch zajęcy” na sam dół czeluści — poziom, na którym ze względu na bliskość ziemi i ludzi żaden zwierz martwy i jadalny nie mógłby się uchować. Skromne meble pana Tyszowskiego oddano do składu, Ewcia zaś zabrała ze sobą książki, odzież, fotografie i złamane serce. Mądry kundel szedł również jak na ścięcie, podkuliwszy pod siebie kosmaty ogon i jęcząc bezgłośnie w kosmatej duszy.

Pocziwa i dobra ciocia z drugiego piętra utrzymywała sąsiedzkie stosunki z panią Szymbartową z parteru. Zdarzało się czasem, że owa pani pożyczala od cioci wałek do ciasta, a ciocia od pani Szymbartowej pół cytryny w nagłych wypadkach bólu głowy, gdyż — jak to z medycyny wiadomo — dwa plasterki tego wyborowego owocu, przyłożone do skroni, „wyciągają” migrenę. Był to początek zażyłości bardzo sprytniej Szymbartowej z bardzo łatwowierną panią Halicką spod Makowa. Obie damy spędzały czasem długie godziny na wytwornej i olśniewającej wymianie damskich myśli, na rozważaniu zawilych zagadnień politycznych i bolesnym narzekaniu, że cielęcina podrożała wskutek tajnych machinacji cechu rzeźnickiego. Primadonną w tym duecie była zawsze pani Szymbartowa, znająca złośliwość świata i ohydne praktyki życia. Ciocia wdychała jedynie do wtóru lub podnosiła ręce ku niebiosom ruchem zbolalej rozpaczy. Zdarzało się

jednak ku cichej jej radości, że pani Szymbartowa zdawała się mówić: „Tobie przed sobą dank w poezji dawam!”<sup>33</sup>. Działo się to wtedy mianowicie, gdy pani Szymbartowa miała nagle zmartwienie z mężem i nie umiała sobie dać rady na własną rękę z jego bujną i nieokielznaną indywidualnością. Ciocia, która miała dwóch małżonków, zdobyła w tej mierze większe doświadczenie i chętnie wyjaśniała pani Szymbartowej tajemnice hodowli wąsatego potwora. Pan Waclaw Szymbart nie był — prawdę powiedziawszy — naturą nazbyt złożoną i trudną do przeniknięcia; było w nim jednak coś, co nawet roztropną i mądrą jak siedmiu szatanów prawowitą małżonkę doprowadzało do głuchej rozpacz. Wykoncypował<sup>34</sup> on sobie ponurą metodę reakcji na małżeńskie przeżycia. Pani Szymbartowa rozumiała, że w uczciwym i kochającym się małżeństwie konieczne są bujne i hałaśliwe starcia, inaczej bowiem stadło będzie sennym stawem, a nie zajmującą instytucją. Zgodnie ze spostrzeżeniami największych filozofów i znakomitych myślicieli, tak jak drobne upominki utrwalają przyjaźń, tak drobne walki czynią to samo z małżeństwem. Nagła, niespodziewana, huczna, burzliwa utarczka powinna być „kwadrantem dla zdrowia” w uczciwym małżeństwie, pod tym oczywiście warunkiem, żeby mąż zawsze schodził z placu boju pogiębiony, a żona ostatnie dzierżyła słowa, tryumfalne i zwycięskie. Musiał jednak walczyć, bo tak uczynić powinien mężczyzna. Tymczasem dziwny ten człowiek, pan Szymbart, usłyszawszy pierwszy pomruk burzy, pierwszy — jeszcze cichy — głos lwicy, zamiast się nasrożyć i stanąć przeciwko piorunom twarzą w twarz, uśmiechał się głupkowato i słowa nie wypowiedziawszy, patrzył tępo w ścianę albo w szafę, albo w okno. Pani Szymbartowa usiłowała szaleństwem i okrucieństwem zniewag obudzić w nim tygrysa. On na to nic. Gadała jak dziad do obrazu. Ta niepojęta reakcja napełniała ją żalem i goryczą. Dlatego szukała rady u cioci, co czynić należy, aby tchnąć w niego wściekłość i krzykliwe szaleństwo.

Do powierzenia Ewci opiece pani Szymbartowej skłoniło ciocię wiele powodów, a najważniejszy był ten, że pani Szymbartowa miała córkę w tym samym wieku. Była to dziewczyna blada, zabiedzona i cicha. Patrzyła na świat wielkimi, szklanymi oczami, pełnymi zdumienia i trwogi. Ponieważ ojciec trwał zazwyczaj w milczeniu — na poły wzniosłym, na poły pogardliwym — a mama gadała sama do siebie, panna Zosia Szymbartówna wiodła dziwny żywot we własnym świecie, pełnym rojeń i zwidów. Ukryta w najciemniejszym kącie, przesiadywała godzinami, rozmyślając o tym, czego nie było nigdy i nie będzie na tym smutnym świecie. Dziewczynie tej wciąż się coś śniło w biały dzień. Cały czas jej się coś malowało na ścianie, coś jej w urojeniu laziło po pułapie, spało w cieniu, drżało w smudze światła. Zdawało się, że nie widzi ludzi z ciała i kości, nie słyszy ich gadaniny, a czasem wrzasków, lecz wpatrzona jest nieustannie w widma, snujące się dookoła niej. Chorobliwie blada, sama była podobna do chudego, zabiedzonego ducha. Pani Szymbartowa karmiła ją surowymi jajami i poila tranem w tak znakomitej ilości, że płynne te smakołyki zmieniały się w kość, a ta stawała w gardle nieszczęsnej dziewczyny. Straszliwe te zabiegi zносиła z pokorą i poddaniem. Matka chroniła ją przed przeciągami i najlżejszym zefirkiem, kazała jej natomiast wdziawać na noc mokre pończochy, co wpływać miało znakomicie na szybkie krążenie krwi. Pani Szymbartowa kochała córkę tą okrutną miłością, która wymyśla najdziwniejsze tortury, mające uszczęśliwić ofiarę. Nieprzyzwoicie i chorobliwie skąpa, nie żałowała nigdy niczego, byle zdobyć uśmiech swego jedyne dziecko. Ono jednak nie uśmiechało się nigdy. Chyba wtedy, kiedy tego nikt nie widział, gdy dziewczynka leżała z otwartymi oczami, przyglądając się ceniom. Zbudzona z zadumy ostrym zapytaniem, co się z nią dzieje, nie umiała nigdy odpowiedzieć od razu; potem zaś opowiadała niestworzone historie, których pani Szymbartowa słuchała ze zgrozą i trwogą. Wtedy, po tajemnej naradzie z duszą, matka dawała córce coś na przeczyszczenie, przenikliwie rozumując, że chorobliwa wyobraźnia rodzi się w zółdku, ten bowiem „uderza na mózg”.

<sup>33</sup> *Tobie przed sobą dank w poezji dawam!* — parafraza fragmentu tekstu Cecylii Niewiadomskiej (1855–1925) pt. *Rey* — *Kochanowski*, w którym opisuje ona, jak Mikołaj Rej (1505–1569) oddaje palmę pierwszeństwa Janowi Kochanowskiemu (1530–1584), po wysłuchaniu jego pieśni *Czego chcesz od nas, Panie, za Twe bojne dary?* [przypis edytorski]

<sup>34</sup> *wykoncypować* — wymyślić. [przypis edytorski]

Pani Szymbartowa ze skwapliwym<sup>35</sup> zadowoleniem zgodziła się na pobyt Ewci w swoim domu w nadziei, że jej córka znajdzie w niej towarzyszkę. Drugim powodem, równie pociągającym, była dość okazała suma, z góry zapłacona przez pana Tyszowskiego. Układy trwały jednak przez dwa tygodnie, pani Szymbartowa bowiem nie chciała w żaden sposób zgodzić się na przyjęcie do domu psa.

Demokryt<sup>36</sup>, który rozumiał mowę zwierząt, mógłby dowiedzieć się snadnie, zamiast kilku krótkich słów z Rolmopsem, że i on wcale nie pragnie pobytu w domu, w którym kość wygotowywało się do ostatniego tchnienia, a jemu na pociechę zostawi pani Szymbartowa jedynie muchy — dlatego tylko że są dla ludzi niejadalne. Ciocia obstawała jednak twardo przy warunku: „Albo Ewcia z psem, albo ani Ewcia, ani pies!”. Pani Szymbartowa popatrzyła na kundla ponurym spojrzeniem, które go oburzyło i ubodło, po czym jęknęła na temat: „Niechże będzie moja krzywda!”. Wreszcie uśmiechnęła się tkliwie i rzekła głośno:

— Ach, droga pani, czego bym ja nie zrobiła dla tego dobrego dziecka!

„Dobremu dziecku” oznajmiła pani Szymbartowa już nazajutrz, że je spotkało największe szczęście, o jakim mogło marzyć. Głosem ani zimnym, ani gorącym, lecz letnim i tak mdłym jak deszczowa woda, wyjaśniła Ewci, że dostała się do szanowanego domu, w którym mieszka uczciwość, pobożność i powaga. Nad miejscem tym polatuje jak różowy obłok wspomnienie dawnej chwały i świętości.

— Musisz wiedzieć, że moja babka miała wyjść za hrabiego i już wszystko gotowe było do ślubu. I ja byłabym dziś z domu hrabianką, gdyby nie straszne nieszczęście. Hrabia, spiesząc do narzeczonej, spadł z konia i w trzy dni potem go pochowali. Ha! Co wyprawia ten pies?

Zdumiony ten okrzyk wybujał jak cyprys na żalobnym grobie hrabiego, lecz był rozumnie uzasadniony. Kosmaty Rolmops, mądry ponad psie pojęcie, otworzył sprytnie łapą dolne drzwi kredensu, w którym zwierzył woń przyjazną i tłustą.

— Zdaje mi się, że zjadł kotleta — rzekła Ewcia z wesołym podziwem.

Pani Szymbartowa z trudem chwyciła powietrze jak karp, który się dowiedział, że się zbliża Boże Narodzenie, i przez chwilę nie mogła wydać głosu, co się jej zdarzyło po raz pierwszy od lat czterdziestu dziewięciu. Wiadomo jest z dziejów ludzkości, że człowiek, który z nagle zaniemówił, gwałtownie gestykuje rekami. Pani Szymbartowa, wiedząc, że w kredensie leżą trzy kotlety, zatrwożona o los dwóch, co dotąd ocalały, chwyciła w szaleństwie trwogi ciężki przycisk i cisnęła nim z furią w stronę łajdackiego psa. Zdumiewające jest jednak, jak rzadko kobiety, istoty słodkie i mało wojownicze, trafiają do celu! Zamiast dobrze obliczyć parabolę, zwyczajną drogę pocisku, i uderzyć nim w psa, pani Szymbartowa trafiła o dwa rumb<sup>37</sup> w lewo, czyli w szklane naczynie, w którym pływały się dwie złote rybki. Niepomiarna kruchość szkła nie zdzierżyła potężnego naporu żelaza, naczynie prysnęło jak tęczowe marzenie, złote rybki, zdumione ponad wszelkie pojęcie, znalazły się na dywanie, a kundel, który jadł już śledzia, lecz nigdy wytwornych, złotych rybek, rzucił się na nie z nieprzyzwoitą łapczywością.

Zwabiony szklanym hałasem pan Szymbart stanął we drzwiach i przyglądał się figlarnie niezwyklemu widowisku. Ewcia rzuciła się na ratunek złotym rybkom, groźnym okrzykiem przywołując Rolmopsa do opamiętania.

Tymczasem pani Szymbartowa odzyskała głos, przetykany piorunami.

— Waclawie! Zabij natychmiast tego psa!

Pan Szymbart wykonał w odpowiedzi mnóstwo dziwacznych i wymownych ruchów. Najpierw zmarszczył brwi, potem kiwaniem głowy od strony lewej ku prawej oznajmił światu, że namawianie go do zbrodni i morderstwa jest i będzie usiłowaniem daremnym. Następnie rozłożył szeroko ręce, czym powiedział, że nie on rzucał pociskiem w ryby, wreszcie wzruszył ramionami, co u ludów dzikich oznacza, że nie myślą sobie mącić spokoju cudzymi sprawami. Na koniec odwrócił się i wyszedł z miną granda<sup>38</sup> obrażonego na hiszpańską królową. Wtedy pani Szymbartowa, z domu niemalże hrabianka, wyszła też,

<sup>35</sup>skwapliwy — ochoczy, chętny, gotowy. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>Demokryt a. Demokryt z *Abdery* (ok. 460–ok. 370 p.n.e.) — starogrecki filozof. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>rumb — kąt zawarty pomiędzy jakimś kierunkiem a linią południka, liczony od 0° do 90°. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>grand — hiszpański arystokrata. [przypis edytorski]

ale z siebie. Jest to czynność bardzo złożona i polega na chwilowym odłączeniu rozszrozonego ducha od bezsilnego ciała. Ciało trzęsie się oniemiale, a duch bardzo krzyczy i nie przebiera w słowach. Chwyta każde, które mu się nawinie pod rękę, i zmienia je w trzaskającą petardę. Pani Szymbartowa, zapomniawszy, że mogła przez babkę być spokrewniona z arystokracją, zapomniawszy, co przyrzekła pani Halickiej i panu Tyszowskiemu, zapomniawszy o tym, co przystoi damie, wymierzyła działo swojego gniewu w stronę Ewci — jako prawnej właścicielki straszliwego psa.

Z serdecznie rozżalonym zdumieniem wysłuchała Ewcia wielkiej mowy, która, choć źle i nieskładnie zbudowana, odznaczała się jednak niepospolitą siłą wyrazu i dobitnością porównań. Wynikało z niej jasno i niewątpliwie, że pani Szymbartowa musiała stracić zdrowy rozum w owym dniu, w którym się zgodziła na przyjęcie pod swój ucziwy i blachą kryty dach dziewczyny z psem; że dziewczyna jest krnąbrna, zuchwała, źle wychowana, pomyłona, a pies wcale nie ustępuje swej pani; że pobyt w jej domu dziewczyny z psem skończy się smutno dla dziewczyny, a zgoła tragicznie dla psa; że ona (pani Szymbartowa) nie pojmuje, jak mogła się dać usidlić kobiecie tak przewrotnej jak ciocia (pani Halicka). I do tego za jakie pieniądze?! Za grosze! A ten złodziejski pies sam więcej zje, niż to wszystko warte. Całe szczęście, że srebra nie zje ani porcelany.

„Trzeba by lutni Homera”<sup>39</sup>, aby wyśpiewać w krótkim streszczeniu wielką mowę pani Szymbartowej.

W Ewci zamarło serce. Widziała coś niecoś o potężnej indywidualności swojej obecnej opiekunki, nic się bowiem ukryć nie mogło w ciasnym i mrocznym ulu warszawskiej kamienicy. Gadano to i owo, dość tkliwie wspominając dolę pana Szymbarta i pojonej tranem panny Zosi. Dość często słychać było przez mury lub przez otwarte okna gwałtowne pokrzykiwania pani Szymbartowej, grożącej niewiedzie służebnej wszystkimi mękami piekła i niedającej jej nawet odrobiny nadziei na czyściec. Z oddalenia nie było to jednak zbyt groźne — ponurą niespodzianką stało się dopiero z bliska. Ewcia, wychowana w jasnej i najtkliwszej atmosferze dobroci, poczuła zamęt w głowie. Zawsze garnęła się do ludzi i tak im otwierała serca uśmiechem, jak się zamek otwiera kluczem. Pani Szymbartowa na uśmiechy była nieczuła. Minęło zaledwie kilka dni — ciocia zdążyła dopiero zajechać pod Maków, ojciec nie dotarł jeszcze do Suez<sup>40</sup>, Ewcia zaś zdążyła już przybyć do jakiejś mrocznej i smutnej krainy. Wesoło i z radosną ufnością patrząc na świat, byłaby i złe humory pani Szymbartowej przerobiła na radość, a ocet zmieniłaby w jakieś takie wino. Przyszła tutaj z taką samą ufnością, z jaką zjawiłaby się wszędzie. Gdyby pani Szymbartowa otoczyła ją ramieniem, gdyby ją ucałowała i rzekła miękko: „Zastąpię ci matkę, drogie dziecko!”, zyskałaby od razu drugą córkę — najlepszą i najwierniejszą. Ewcia była honorowym człowiekiem, płacącym miłością za miłość, wiernością za wierność. Tymczasem pani Szymbartowa uczyniła z psiej historii brzydką sprawę. Zawiodła i obraziła śmiertelnie ciepłą ufność dziewczyny. Twardo, nielitościwie i bez namysłu.

— Może się rozplączesz? — zapytała.

— Nie, proszę pani — odrzekła Ewcia.

Rozmyślała w swoim mizernym pokoiku nad tym, że będzie miała ciężkie życie. Postanowiła jednak unikać wszystkiego, co by mogło rozjątrzyć lub rozgniewać panią Szymbartową; ponieważ nie ulegało wątpliwości, że Ewcia wytrwa w szlachetnym zamiarze, nikt jednak nie może przewidzieć, co uczyni pies, postanowiła się z nim rozmówić poważnie.

— Rolly! — rzekła w wielkim zaufaniu. — Jesteś opryszkiem, jakiego świat nie widział. Mogłeś nim być na własnych śmieciach, ale tutaj nie wolno. Pani Szymbartowa to nie ciocia, którą mogłeś ocyganić. Błagam cię, bądź przyzwoity i zachowuj się nie jak świnia, lecz jak ucziwy pies. Wcale nie pragnę, aby z twojego powodu wybuchały awantury. Rozumiesz?

Kundel nie spuszczał z niej oczu i słuchał z ludzką niemal roztropnością. Zrobił skruszoną minę pokutującego złooczyńcy i polizał rękę Ewci, która poświadczyła później ucziwemu, że odtąd przez cały czas pobytu u państwa Szymbartów nie zdarzyło się nic złego, co by można było zapisać na jego rachunek. Żył na dobrej stopie z całym domem,

<sup>39</sup>Trzeba by lutni Homera — fragment *Wesela*, autorstwa Stanisława Wyspiańskiego (1869–1907); Homer to grecki pieśniarz wędrowny, epik, śpiewak i recytator, żyjący w VIII w. p. n. e. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>Suez — miasto portowe w ptn.-wsch. Egipcie. [przypis edytorski]

unikal jedynie pani Szymbartowej. Spotkawszy ją na swej drodze, zniknął jak duch i potrafił przeleżeć przez dwie godziny pod kanapą, wyczekując sposobnej chwili do wyjścia. Jeżeli kradł, czynił to z niebywałą przezornością i nie można mu było niczego udowodnić. Był — ale jakby go nie było. Nigdy nie zaszczekał w domu. Wychodził z Ewcią, odprowadzał ją do szkoły i znajdował się zawsze przed budynkiem, oczekując jej wyjścia. Dziewczyna karmiła go, sama nie dojadając; zresztą pies ten był przedziwnym oryginałem, który prócz rzeczy ze szkła, drzewa, żelaza i stali zjadał wszystko, zbytnio nie przebierając. Pani Szymbartowa, która mu zaprzysięgła zemstę, zdumiona była jego magiczną zdolnością znikania. Wiedziała, że jest w jej domu, czasem bowiem mogła go ujrzeć, wymykającego się z Ewcią o bardzo wczesnej, porannej godzinie. Zaczęło ją to gniewać, że nie może znaleźć żadnego prawego powodu do wystąpienia.

Ewci okazywała całkowitą obojętność, chociaż dziewczyna podejmowała nieraz jeszcze próby pozyskania jej życzliwości. Stało wreszcie na tym, że wzajemna wymiana słów ograniczała się do uprzejmych powitań i pożegnań Ewci, połączonych z grzecznym ukłonem, i do mrukliwych odpowiedzi pani Szymbartowej. Zdawało się, że zanim pani Szymbartowa odpowie „Dzień dobry”, kładzie przedtem te słowa do lodówki, aby je odpowiednio ochłodzić. Nie dowiadywała się, co się dzieje z Ewcią w szkole i co dziewczyna robi poza domem. Nie obchodziło jej zdrowie Ewci, co zresztą nie było zbytnim przestępstwem, bo ta promieniała zdrowiem rumianym i bujnym. Zdarzało się czasem, że Pani Szymbartowa patrzyła długo na bladą, wymizerowaną twarzyczkę córki, po czym przenosiła spojrzenie na czerwoną jak rzodkiewka gębę Ewci i wtedy wydawała ciche westchnienie. Dziewczyna wiedziała dobrze, co oznacza ten cichutki głos matczynego serca. Ujrawszy pewnego razu niezwykle zatroskany wzrok pani Szymbartowej, zebrała się na odwagę i rzekła:

— Proszę pani, to przejdzie...

— O czym mówisz? — zapytała szybko pani Szymbartowa.

— O Zosi...

— Pilnuj swego nosa! — mruknęła pani Szymbartowa, ale ciszej niż zwykle i jakoś niepewnie.

Natomiast pan Szymbart spojrział na Ewcię z wdzięcznością. Zdawało się, że jeszcze chwila, a coś do niej powie, bo było widać, jak miętosł wargami jakieś słowo — lecz w czas się opamiętał i nie dokonał bohaterского czynu.

Byстрыm rozumem Ewcia odgadła, że te kwasy, co się pienią w sercu pani Szymbartowej i w jej słowach, pochodzą ze zgryzot i trosk matki, drżącej o zdrowie jedyne go dziecka. Gdyby miała dość odwagi lub gdyby żyła z panią Szymbartową na serdecznej stopie, byłaby jej powiedziała, że nie należy biednej Zosi karmić tranem i jajkami, lecz słońcem i powietrzem; nie ogrzewać jej jak pisklęcia, nie trzymać w wacie i w dusznym pokoiku, lecz pozwolić jej na ruch, na bieganie i na te wszystkie awantury, które sprawiają, że podlotek zachłannymi ustami pije zdrowie i życie. Pani Szymbartowa jednakże nie chciała nawet słyszeć o tym. Trwoga jej o dziecko była tak wielka, że nie posyłała go do szkoły, obawiając się, że z wszelką pewnością przyniesie stamtąd „zarazę”. Zosia uczyła się w domu. Uczyła się z wielkim trudem, niechętnie i z wyraźnym smutkiem. O oznaczonej godzinie zjawiała się zdyszana, zabiedzona nauczycielka — siwa, dobra kobiecina ze zmęczonymi oczami. Na inteligentnej twarzy miała wypisane wszystkie udręki, jakie tylko istnieją na świecie. Usiadłszy przy stole z Zosią, przymykała na chwilę oczy i przez krótki moment trwała w bezruchu, jak gdyby czekała, aż ucichną w jej znużonej głowie wszystkie brzęki i szumy. Po chwili zaczynała mówić głosem równym i jednostajnie ściszone, jak gdyby go chciała oszczędzić, bo musi starczyć na długie jeszcze godziny tego dnia. Nauczała roztropnie i mądrze. Przy małym stoliku siedziały obok siebie dwie smutne, udręczone, ciche istoty — przyjazne i tkliwe.

Nauczycielce pomagał z własnej pilności pan Szymbart, który jako emeryt miał wiele czasu. Czynił to z przyjemnością, nie tylko dlatego, że bardzo kochał córkę, lecz i z tego powodu, że lekcje z nią były wyborną sposobnością do używania wspaniałej ludzkiej mowy, której znajomość uparcie ukrywał przed panią Szymbartową. Wiedział wiele i jasno wykladał swoje umiejętności. Czasem, kiedy ogarniały go wątpliwości albo gdy jakieś szkolne zagadnienie nowoczesne było dla niego zbyt zawile, prosił o wsparcie Ewcię.

Zdrowie, Choroba

— „Pomoc dajcie, rodacy!”<sup>41</sup> — wołał strapiony — bo jestem bałwan.  
— Niech czcigodny rodak powie, co trapi jego i to polskie dziewczę! — mówiła Ewcia.

Czasem, wolną schwytawszy chwilę, sama zjawiała się w pokoju Zosi, gdzie i Rolmops przyjmowany był na prawach przyzwoitego gościa. Pomagała biednej dziewczynie z całej duszy. Zosię jednak wszystko męczyło. Taka była bledziutka, że już bardziej zblednąć nie mogła, lecz zaczynały jej drżeć ręce i grube krople potu ukazywały się na jej czole. Ewcia ścierała go miękkim dotykiem chusteczki i czym prędzej zamykała książkę.

— Nie męcz się, Zosieńko... Może otworzyć okno, bo tu duszno?  
— Nie można. Mama będzie się gniewała, bo może być przeciąg.  
— A może dać ci szklankę wody?  
— Wody, nie... Och, jakbym się napiła mleka!  
— Więc czemu się nie napijesz?  
— Mama nie pozwala...  
— Mama nie pozwala ci pić mleka? Czemu?  
— Bo mleko robi kwasy w żołądku i dlatego jest szkodliwe.  
— A cóż ty pijesz, nieszczęsna dziewczyno?  
— Tran. Ja już nie mogę patrzeć na tran.  
— A dzisiaj piłaś?  
— Już piłam, a wieczorem muszę wypić jeszcze trzy łyżki. O, tam stoi flaszka! Och, Ewciu, ja bym chciała umrzeć...

— I co ci z tego przyjdzie? — zapytała Ewcia z niezwykłą roztropnością. — Pewnie, że lepiej jest umrzeć, niż pić tran, ale umieranie nie ma sensu. Nie chcesz tranu?

— Nie, nie!

Ewcia myślała przez chwilę, głęboko coś rozważając.

— Czy mama jest w domu?

— Nie. Poszła do apteki.

— Po nowy tran?

— Nie. Po sól morszynską<sup>42</sup>, bo ja muszę zawsze w dni nieparzyste...

— Słuchaj, Zosiu! Podaruj mi ten tran...

Zosia spojrzała na nią z bezziemnym podziwem.

— Wypijesz go?

— Ja nigdy! Nie cierpię tranu, ale Rolmops zje i wypije wszystko. Od razu mu wszystkiego nie dam, bo mi się jeszcze psina wykopyrtnie, ale przez trzy dni da temu radę. A ty napijesz się mleka! Czy u was w domu jest mleko?

— Jest, bo tatuś bardzo lubi. Ale skoro ja wypiję, a dla tatusia nie będzie, mama od razu spostrzeże — mówiła Zosia ze strachem.

— Jakoś się to zrobi! — rzekła Ewcia. — Wrócę za chwileczkę.

Mogła powiedzieć panu Szymbartowi, że Zosia pragnie napić się mleka i żeby on wziął je na swoje sumienie; nie ulegało jednak wątpliwości, że pan Szymbart wpadnie w panikę i nie zgodzi się ze strachu na taką awanturę. Trzeba to będzie urządzić inaczej. Ewcia znalazła w spiżarni naczynie z mlekiem, pokrytym kozuchem jak woda w stawie. Przyjrzała mu się, srodze zamyślona, jak człowiek, który ma za chwilę dokonać wiekopomnego wynalazku.

— Mam! — zakrzyknęła cicho.

Zabrała naczynie i zaniosła je do pokoiku Zosi, patrzącej na to wszystko wystraszo-  
nymi oczami.

— Nie pij! — szepnęła.

Ewcia pobiegła do swojego pokoju i powróciła ze szklaną rurką, używaną w cielęcych dniach do puszczenia baniek z mydła, a przyniesioną z pamiątkowymi rupieciami do nowego mieszkania. Z wielką ostrożnością wetknęła rurkę tuż przy brzegu naczynia, przebiwszy grubą powłokę kozucha.

— Teraz sobie pociągnij — szepnęła jak spiskowiec. — Śmiało!

<sup>41</sup>*Pomoc dajcie, rodacy!* — fragment tradycyjnej pieśni patriotycznej, której autor jest nieznanym. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>*sól morszynska* — sól pochodząca z Morszyna, miasta i uzdrowiska, znajdującego się na Ukrainie i znanego z wód leczniczych. [przypis edytorski]

— Kiedy się boję — mówiła również szeptem Zosia.

— W takim razie ja wypiję!

— Dawaj! — zawołała Zosia z determinacją.

Poczęła łakomie wyciągać wyborny napój przez rurkę, ku niebywalej radości Ewci. Rolmops patrzył zdumiony i oczarowany, zrozumiawszy, że chytryść ludzka jest niepojęta.

Zosia odjęła na chwilę usta od rurki.

— To świetne! — szepnęła z przejęciem. — Można jeszcze?

— Można, ale ostrożnie. Uważaj, kobieto, abys nie zniszczyła powłoki!

— Uważam...

Policzki jej zaróżowiły się i z radości, i ze zbytnej gorliwości. Piła długo i łakomie.

— Oj! — zawołała, spojrzawszy z trwogą w naczynie.

— Co się stało?

— Zdaje mi się, że wysączyłam do ostatniej kropelki.

— To źle, trzeba było coś zostawić. A może rurka się zatkała? Spróbuj!

Zosia „wciągnęła w głąb pól brzucha”<sup>43</sup> jak Wojski w *Panu Tadeuszu*<sup>44</sup>, grając na myśliwskim rogu, a w rurce zabulgotało powietrze.

— Widać, że dawno nie piłaś mleka — rzekła Ewcia dość ponuro.

— Co my teraz zrobimy?

— Postawimy garnek tam, gdzie stał! Co innego można zrobić? Czy ci przynajmniej smakowało?

— O Boże!

Ewcia odniosła do spiżarni puste naczynie, trzymając je niezmiernie ostrożnie, aby zbyt nagłym ruchem nie rozerwać powłoki kozucha — mizernej w tej chwili dekoracji, zakrywającej pustkę.

„Dzisiaj będzie koniec świata!”, pomyślała z trwogą. „Ratuj się, kto może!”

Obie dziewczyny oczekiwały z biciem serca najpierw powrotu pani Szymbartowej, potem nasłuchiwały każdego odgłosu, kiedy się zbliżała pora wieczery. Pan Szymbart dostawał na kolację resztki z obiadu i szklankę mleka, które sączył powoli i z upodobaniem, albowiem — o, nieszczęsny samobójca! — nie dbał o kwasy w żołądku.

Dziewczęta siedziały przy stole, wymieniając ostrożne spojrzenia. Pani Szymbartowa postawiła na stole jakieś mizerne jadlo, pokrajała cienkie kromki chleba i smarowała je masłem, czyniąc to w sposób przedziwny: nabierała odrobinę masła na koniec noża i tym końcem dotykała chleba ostrożnie i ruchem powolnym, po czym szybko wysuwała nóż tak, że jego „omaślony” koniec znajdował się poza chlebem, a kromki „smarowała” gwałtownymi ruchami środkiem noża.

„Ciocia ze wstydu wyskoczyłaby przez okno” — dumiała Ewcia, patrząc na tę operację.

Dzisiaj jednak nie myślała wcale o pani Halickiej. Obserwowała pilnie zwyczajne, dokładnie powtarzające się praktyki pani Szymbartowej, obliczając, kiedy dojdzie do nalewania mleka.

„Bomba pięknie za minut pięć... Trzy... Za dwie minuty...”

Pani Szymbartowa zmąciła jednak zwykły porządek rzeczy, gdyż w pewnej chwili spojrzała na córkę i coś ją w jej wyglądzie zastanowiło.

— Czemu jesteś taka podniecona? — zapytała powoli.

— Nie, mamusiu...

— Źle się czujesz?

— Lepiej niż kiedykolwiek. Czemu mamusia pyta?

— Bo ci oczy błyszczą. Piłaś tran?

— Jeszcze nie...

Ewcia kopnęła ją lekko pod stołem, dając jej znak, aby czuwała i aby „zgasła oczy”.

Pani Szymbartowa, uspokojona, przecięła zimny siekany kotlet z obiadu, w którym było trzy czwarte rozmoczonej bułki i jedna czwarta mięsa — jedną połowę położyła przed Ewcią, a drugą przed małżonkiem.

<sup>43</sup>wciągnęła w głąb pól brzucha — fragment utworu *Pan Tadeusz*, autorstwa Adama Mickiewicza (1798–1855). [przypis edytorski]

<sup>44</sup>*Pan Tadeusz* — poemat epicki autorstwa Adama Mickiewicza (1798–1855); jednym z bohaterów tego utworu jest Wojski. [przypis edytorski]

— Trzeba to przytrzymać, aby wiatr nie porwał — mruknął sam do siebie pan Szymbart.

— Co powiedziałeś?

— Że nie przełknę tego bez mleka! — odrzekł on odważnie.

Pani Szymbartowa siedziała przez chwilę nieruchomo, chcąc dać do zrozumienia, że rozdzierający krzyk mężowskiego serca, domagającego się napoju, nie czyni na niej najmniejszego wrażenia; po czym z własnej i nieprzymuszonej woli podniosła się z westchnieniem i poszła do spiżarni.

— Tatusiu, ratuj! — szepnęła Zosia.

— Przed czym? — zdumiał się spokojny pan Szymbart.

Nie było jednak czasu na odpowiedź, bo na mrocznej scenie ukazała się pani Szymbartowa, stąpająca jakby w śnie somnambulicznym<sup>45</sup>. Tak zawsze kroczy *lady Makbet*<sup>46</sup>, patrząc nieruchomym wzrokiem na swe zakrwawione ręce. Pani Szymbartowa natomiast patrzyła jak urzeczona w garnek. Miała wyraz twarzy taki, jak gdyby się jej coś pomieszało w rozumie, albowiem dnia onego przestały działać wszystkie prawa fizyki — oto trzyma w ręku garnek pełen mleka, a garnek jest przedziwnie lekki. Dlaczego jest taki lekki? Przecież kozuch jest nienaruszony, zatem powinno pod nim być mleko. Postanowiła go postawić na stole, nie odwracając od niego zdumionego spojrzenia. Obydwie dziewczyny zachowywały się tak samo. Zdawało się, że najgłupszy z głupich garnków z jednym uchem stał się ni stąd, ni zowąd największym dziwem świata. Jedynie pan Szymbart, rzeczy nieświadom, zachował rozumne spojrzenie na świat i na garnek. Chwycił go gwałtownym ruchem za ucho, jak czasem czyni majster szewski z uchem terminatora<sup>47</sup>, i przechylił naczynie nad szklanką. W tej chwili król Salomon<sup>48</sup>, siedzący na chmurze i przyglądający się tej scenie, zawołał zapewne: „Z próżnego i ja nawet nalać nie mogłem, kochany panie Szymbart!”.

Zakwilil cicho pan Szymbart i rozumne jego spojrzenie przybrało ciemną barwę naglego oglupienia.

— Czary czy co? — mruknął zdumiony.

— Czarownice zwykle wypijają mleko — odezwała się Ewcia głosem tak chwiejnym, że aż się zataczał.

Pani Szymbartowa odegnała gwałtownym ruchem mgłę majaków, co owiały jej głowę, i powróciwszy do życia, krzyknęła:

— Kto wypił mleko?!

Wysunęła palec w stronę męża.

— Ty!

— Obrażasz mnie! — odrzekł pan Szymbart z bezmleczną godnością.

— Dobrze... Zosia nie wypila, ja nie wypila...

— Może Rolly? — podszeptała nieśmiało Zosia.

— Nie! — wołała pani Szymbartowa. — Jest to pies złodziejski, lecz nawet on takiej sztuki nie potrafi, aby wypić mleko, a zostawić kozuch. Zostaje tylko jedna podejrzana osoba...

Ewcia poczuła, jak ją policzek zaczyna piec od gorącego spojrzenia pani Szymbartowej. Przymknęła na chwilę oczy i skoczyła w ciemną przepaść.

— To ja wypila... — powiedziała potężnie.

— Ewciu! — krzyknęła Zosia.

Pan Szymbart spojrział ciekawie na Ewcię, a błądy uśmiech usiadł mu na wąsach jak senna mucha.

„I była chwila ciszy. I powietrze stało się głuche, milczące, jakby z trwogi oniemiało”<sup>49</sup> — jak w *Panu Tadeuszu* przed burzą.

<sup>45</sup>*somnambuliczny* — właściwy lunatykom. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>*lady Makbet* — bohaterka dramatu *Makbet*, którego autorem jest William Shakespeare (1564–1616). [przypis edytorski]

<sup>47</sup>*terminator* — tu: uczeń odbywający naukę rzemiosła u majstra. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>*Salomon* — biblijny król Izraela, syn i następca króla Dawida, jeden ze współautorów *Starego Testamentu*. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>*I była chwila ciszy. I powietrze stało się głuche, milczące, jakby z trwogi oniemiało* — fragment utworu *Pan Tadeusz*, autorstwa Adama Mickiewicza (1798–1855). [przypis edytorski]

Potem twarz pani Szymbartowej przybrała barwę szkarłatną; grały na niej nagle i przemijające błyski zdumienia, gniewu, oburzenia, rozpacz i bezmiernej pogardy.

— Ładny przykład dla mego dziecka! — krzyknęła wreszcie z boleścią. — Miłą dziewczynkę przyjąłem pod swój dach! Ale zrobi się porządek z miłą dziewczynką! Przede wszystkim panienka nie dostanie od jutra śniadania...

— Oho! — zawołał pan Szymbart po raz drugi, pragnąc przywieść żonę do należytego umiaru w wytrysku straszliwych słów.

— A teraz spać! — zakomenderowała pani Szymbartowa.

Okazało się jednak, że głupie mleko wyгнаło z tego domu sen spokojny. Pani Szymbartowej nie pozwoliło zasnąć oburzenie, Ewci — odrobina strachu, co to będzie jutro, Zosi — wyrzuty sumienia, a panu Szymbartowi — zdumienie, pomieszczone z podziwem.

Raniutko czatował na Ewcię i zapytał ją szeptem:

— Ewciu, jak ty to zrobiłaś?

— Przez rurkę, proszę pana. Ale to nie ja wypilałam mleko...

— Tylko kto?

— Zosia...

— I nie umarła? — zaśmiał się pan Szymbart. — To nadzwyczajne!

Nagle coś mu musiało przyjść do głowy, gdyż zmarszczył czoło i ściszył głos jeszcze bardziej.

— Powiedz mi dziewczyno... Ale tak w zaufaniu... Czy nie dałoby się w ten sam sposób z butelką? Z koniakiem ma przykład... Bo to, widzisz, czasem człowiek jest zażębiony... Ty masz wyborne pomysły!

Bardzo żałośnie był zawiedziony, gdy mu Ewcia odmówiła pomocy w zbrodni, lecz nie umniejszało to jego podziwu dla jej wynalazczości.

Sprawa z „kroplą mleka” stała się początkiem okresu przedziwnie burzliwego. Pani Szymbartowa byłaby odżałowała wszystkiego, jednak nie mogła przeboleć tego, że ją okpiono. Wielki jej rozum nie przewidział tak misternego cygaństwa i to ją zabolowało najwięcej. Stała się przeto czujna i była wiecznie na czatach. Zbierała pilnie ziarnko do ziarenka i zapisywała wszystko w pamięci. Odkryła tłuste ślady tranu na murze za oknem izdebki Ewci; przypatrywała się z niepokojem niepokojowi swej córki; z uśmiezków męża wywnioskowała, że o czymś wie i że jest cichym współnikiem niezwykłych zbrodni. Poczęła wychodzić z domu głośno, a po krótkiej chwili powracała cicho i wpadała do pokoiku Zosi. Po takiej jednej zasadzce zdarzyła się awantura druga, zgoła piekielna. Nie chciała wierzyć własnym oczom, otworzywszy cicho drzwi: Ewcia stała na łóżku i trzymała nogi Zosi, stojącej na głowie. Pani Szymbartowa krzyknęła rozzwierającym głosem i rzuciła się na pomoc jedynemu dziecku.

— Zbrodniarko! — zawołała ostatnim tchem. — Zamordujesz mi dziecko!

Podczas strasznego sądu, odbytego na miejscu przestępstwa, okazało się, że Ewcia postanowiła wyleczyć Zosię z ustawicznej bladej przez zabieg prosty i na pierwszy rzut oka jedyny. Rozum chłopski dawno doszedł do nieodpartego przekonania, że jeśli ktoś stanie na głowie, to się zaczerwieni, gdyż wtedy krew z całego ciała spływa do mózgu. Nie należy, oczywiście, dopuszczać się w tym przesady, albowiem krew dobrotliwa może się zmienić w tak zwaną „nagłą krew”, która zalewa nieszczęśliwca z kretelem i na amen. Tylko lotnicy umieją latać przez czas dłuższy głową w dół, nie należy jednak zalecać tego panienkom. Ewcia nie żądała od swojej przyjaciółki niezwykłości, dzięki pilnym ćwiczeniom doprowadzała ją jednak do tego, że w pewnych chwilach, po kilku minutach utrzymywania się w pozycji zgoła przeciwnej naturze, blade Zosia przypominała buraka i dojrzałego pomidora. Wierząca jednak tylko w tran i sól morszyńską pani Szymbartowa nie mogła pojąć świetnej metody Ewci, przeto i ją, i jej wyborny pomysł obrzuciła słowami wielkości kurzego jaja, jak się zwykle mówi o strasliwym gradzie. W następstwie tych okropności zostały zabronione wszystkie stosunki towarzyskie obydwu panienek i Ewcia została skazana, jako wybitnie „trędowata”, na samotność gorzką i smutną. Ponieważ Rolmops, choć tak wybitnie mądry, był dość tępy w rozmowie, Ewcia snuła swoje samotne godziny jak pajęczynę. Czasem pan Szymbart dodał jej ukradkiem otuchy i szepnął przy spotkaniu: „Czuj duch, dziewczyno!” — nieznacznie jednak było to pociechą.

Ewcia przycichła w swoim kącie jak mysz i rozmyślała nad zawilnością życia. Z Zosią utrzymywała łączność przez listy podsuwane pod drzwi, nagle bowiem wmieszanie się pani

Szymbartowej do dziewczęcych spraw przerwało brutalnie jej szerokie i śmiało zamysły, by z bladej i wynędzniałej dziewczynki uczynić hożą dziewczę z twarzą koloru świeżej polędwicy. W jednym z tajemnych listów zaklinała Zosię na honor, przyjaźń i solidarność kobiecą, by się postarała o przedmiot należycie ciężki, najlepiej srogi kamień, i kładła go sobie na brzuchu, po czym oddychała miarowo i głęboko. Jest to wyborny sposób, używany przez śpiewaków, na wzmocnienie przepony brzusznej. Zosia dała Ewci znak przy obiedzie, że rada jest wspaniała i zostanie wprowadzona w czyn. Dziewczętom wolno było rozmawiać jedynie w obecności pani Szymbartowej. Czasem zaś poczciwy pan Szymbart był posłem i powiernikiem, lecz czynił to tak niezręcznie, że został przyłapany i wieczorem miał minę taką, jak gdyby go utłuczono w móżdżerzu jak cynamon.

Jeden dzień Ewci tak był do drugiego podobny jak dwie lzy z tego samego oka. Za żadne jednak skarby świata nie byłaby się przyznała w listach do pani Halickiej, że ją cokolwiek trapi. Uspokajała w nich ciotkę, że czuje się jak w raj i że jeżeli brak jej jedynie ptasiego mleka, to tylko dlatego, że wróble są zbyt ruchliwe i trudno je wydoić jak spokojną kozę. Trzeba było jednakże poskarżyć się komuś na smutną samotność. W tym dobrym celu wymyśliły panienki tak zwane „pamiętniki”, w których zapisują wieczorem wszystkie uśmiechy i lzy, radości i smutki, nadzieje i tęsknoty. Pamiętnik jest tajemną księgą, zamkniętą na siedem pieczęci. Jedynie jego właścicielka i autorka ma prawo odczytywania go pośród głębokiej nocy, kiedy nawet anioł stróż się zdrzemnął. Tak czyniła i Ewcia ze swoim pamiętnikiem, w którym zostało zapisane wszystko — aż do najcichszego westchnienia. Przypominał on wiosenny ogródek, kolorowy i śliczny, na który czasem padał deszcz. Nie padał on nigdy z nieba, lecz zawsze spływał z oczu. Książeczka ta była najserdeczniejszym, największym skarbem dziewczyny. Pamiętnik ukryty był głęboko i przemyślnie, dobywany z zachowaniem niezmiernej ostrożności, odczytywany ze wzruszeniem, pisany z wypiekami na twarzy. Gdy ojciec powróci, odczyta w nim „dzieje samotnego żywota”, niezmierną miłość i tęsknotę; dowie się o cichych utrapieniach i o każdej myśli córki. Tylko dla własnego serca i dla niego pisana była ta książeczka.

Dnia jednego, na samym początku wakacji, kiedy już wszystko w domu ucichło, Ewcia otworzyła okno, aby spojrzeć na majowe niebo. Potem, przekonawszy się, że drzwi są zamknięte, poczęła grzebać na dnie szafy, aby spod rupieci wydobyć swój skarb.

Serce zaczęło w niej łopotać. Ręce drżały.

Zaczęła szukać gorączkowo, szybko, coraz szybciej. Pamiętnika nie było.

Wtedy stało się z nią coś dziwnego — zdawało się, że jej ktoś zimną ręką wyrwał serce z piersi i że musi umrzeć, bo nie można przecież żyć bez serca.

Przeminięły długie chwile, zanim poczuła, że jednak żyje, z czego postanowiła skorzystać w sposób gwałtowny. Zapukała zuchwale do drzwi pani Szymbartowej i weszła, nie czekając na odpowiedź. Pani Szymbartowa zerwała się z krzesła i usiłowała zasłonić sobą leżący na stole kajecik. Ewcia spojrzała na nią dziwnym wzrokiem, rzuciła się ku stołowi i porwała swój skarb.

Potem rzekła z trudem:

— Niech Bóg pani przebaczy!

Jedynie Szekspir<sup>50</sup> mógłby opisać tę burzę, która się rozpętała owej nocy. My możemy tylko oznajmić niezdarnie, że pan Szymbart cucił panią Szymbartową, lejąc na nią kubły zimnej wody. Czynił to bez zbytecznego pośpiechu, ze wzniosłym spokojem, i nie da się tego ukryć, że nie żałował wody. Można by nawet przypościć, że się uśmiechał jak szatan.

## ROZDZIAŁ CZWARTY, W KTÓRYM MALARZ GONI DZIEWCZYNE, A DZIEWCZYNA BIEŻY ZA PSEM

Jerzy Zawidzki przyjechał z Zakopanego zaspanym pociągiem o godzinie szóstej rano, zarzucił na plecy tobolek, w którym tkwiło malarskie pudło z farbami i zdążył piechotą z dworca do domu. Nie chciał ani swojego młodego wieku, ani też swojej malarskiej godności zhańbić użyciem mechanicznego pojazdu. Poranek był zresztą prześliczny i rześki, na ulicach jeszcze pusto, droga niedaleka, a tęczę, ukryte w pudełku, lekkie. Ponieważ każdemu malarzowi jest zazwyczaj lekko i na duszy, przeto pan Jerzy kroczył rażno,

<sup>50</sup>Szekspir, William a. *William Shakespeare* (1564–1616) — angielski poeta, dramaturg i aktor. [przypis edytorski]

uśmiechając się do słońca, które — jako malarz — haniebnie okradał z blasków. Uśmiechał się też i do spotykanych ludzi; mało który jednak odpowiadał mu uśmiechem, podejrzewając słusznie, że indywiduum, które o szóstej rano okazuje przyjaźń całemu światu, musi być albo oszustem, albo też pozbawione jest zdrowych zmysłów.

Malarz wszedł w cichą, boczną uliczkę, na której — nie licząc siedemnastu wróbli — nie było widać żywego ducha. Zaulek był tak senny i cichy, że wesoły pan przestał pogwizdywać. Gdyby był tego nie uczynił z troski o spokój śpiących Polaków, byłby musiał to zrobić z innego dziwnego powodu. Przystanął i patrzył z nagłym zainteresowaniem na tajemnicze sprawy, rozgrywające się w szarym liszajowatym, sennym domu. Jedno z okien na parterze otwarto ostrożnie i bez szmeru. Ukazała się w nim głowa dziewczęca, nakryta uczniowską czapeczką. Malarz zdołał dojrzeć bystrym wzrokiem, że rozczulającą ozdobą tej głowy był zadarty nos.

Znane są wypadki w dziejach ludzkości, że czasem ktoś o godzinie szóstej rano otwiera okno, dlatego też u nikogo nie budzi to już zdumienia. Zazwyczaj jednak ukazuje się w oknie postać ludzka niezupełnie odziana, ziewająca i rozgoryczona, że ją zmuszono do wczesnego wstania. Musiało przeto zdumieć roztropny umysł malarza, że osoba, która przed chwilą otworzyła okno, jest odziana, a — sądząc z ożywienia na obliczu — wcale nie jest senna. Ponieważ jednak ludzie miewają nieoczekiwane pomysły, byłby malarz po krótkiej chwili machnął ręką i poszedłby swoją drogą, gdyby osoba w uczniowskiej czapce nie zaczęła wyprawiać zdumiewających awantur. Przez okno spuściła na chodnik najpierw zawiniątko, a potem — o dziwo! — śmiesznego psa. Położyła ostrożnie palec na ustach, dając znak kundlowi, aby pary nie puścił z gęby, potem rzuciła się w objęcia jakiejś drugiej żeńskiej istoty, co w białym obleczeniu wyglądała jak widmo, nagle objawione.

— Co to wszystko znaczy? — zagadał malarz sam do siebie.

Ukrył się we wnęce bramy i patrzył ciekawie.

Obie żeńskie istoty ścisnęły się rozpaczliwie przez dłuższą chwilę, po czym „zadarty nos” wyjrzał na ulicę i pilnie rozglądał się, czy ktoś nie nadchodzi. Wreszcie siadł okrakiem na oknie i zaczął przelazić ostrożnie.

„To jakaś nieczysta sprawa!”, pomyślał malarz.

Dziewczyna aż przysiadła, skoczywszy na chodnik, raz jeszcze skinęła ręką w stronę białego widma, porwała szybko zawiniątko, gwizdnęła cicho na psa i poczęła oddalać się szybkim, spłoszonym krokiem.

Nagle stanął na jej drodze Zawidzki, który spojrzał posepnie i równie posepnie zapytał:

— Przepraszam bardzo, ale chciałbym wiedzieć, co to wszystko znaczy?

Panna Ewa Tyszowska wydała okrzyk bardzo cichy i tak okrągły, że w druku można go wyrazić literą „o”, która wykrzyknięta w odpowiedniej tonacji oznacza zdumienie, nieoczekiwaną trwożę lub też oburzenie pomieszaną z jedną trzecią częścią pogardy. Mniej więcej to samo usiłowało wyrazić jej spojrzenie. Młodzieniec jednakże wcale go się nie uląkł, z czego można było wyprowadzić nieomylny wniosek, że jest to człowiek zuchwały.

Ponieważ panienska nie chciała odpowiedzieć na pytanie, więc je powtórzył, już groźniej. Wtedy dopiero odrzekła:

— A co to pana obchodzi?

Tyle było słuszności w tych słowach, że młodzian stropił się — ale nie na długo.

— Osobiście wcale mnie to nie obchodzi — rzekł po namyśle. — Nawet gdyby pani zlała po rynnie z dachu... Jednak gdy obywatel widzi tajemnicze historie, może słusznie przypuszczać...

— Proszę mi zejść z drogi! — rzekła Ewca cicho, ale dobitnie.

Z niewielkim trudem, przy odrobinie mizernego czarodziejstwa można było każde jej słowo zamienić w mały kamień. Równocześnie kundel, pilnie przysłuchujący się rozmowie, dał warczeniem znak, że czuwa i że rozdarcie spodni zuchwałego zawalidrogi nie będzie dla niego zbyt dużym wysiłkiem. Młodzieniec jednak był uparty.

— Uciekamy z domu? — zapytał na pół drwiąco, na pół serio.

— To nie jest pańska sprawa! Proszę mnie nie zatrzymywać.

Ucieczka

— Rozumiałbym, gdyby to robił chłopak, który chce zbiec na okręt do Gdyni<sup>51</sup>, ale panienka... Czy pani nie myśli, że to będzie z korzyścią dla niej, jeśli i panią, i tobolek, i tego kundla zawiodę z powrotem „na ojczyzny łono”?

Ewcia spojrzała na niego z mieszaniną rozpacz i gniewu. W oczach miała siedem błysków — tyle właśnie, ile wedle przepisów mody powinien ich mieć świetnie wyprasowany cylinder, słynne nakrycie głowy dyplomatów i kominiarzy w poznańskim. Bezczelny młodzieniec uśmiechał się jednakże i nie zląkł się spojrzenia, przed którym byłby zadrzał człowiek nieco mniejszego ducha. Z właściwą mężczyznom chytrą przewrotnością zmienił drwiący ton na niby przyjazny i dobrotliwy:

— Niech pani nie robi głupstw — mówił cicho. — Niech pani wraca... Siostra czy też przyjaciółka otworzy okno, ja pani pomogę wejść z powrotem. Niech pani pomyśli, co się będzie działo w domu, skoro spostrzegą pani ucieczkę? Po co mamusię przyprawiać o rozpacz i łzy? Tego psa niech pani wyprawi na koniec świata, a pani niech wraca... Proszę mi dać ten tobolek!

Ewcia nie słuchała tej świetnej i fałszywej przemowy, lecz bystrze badała sytuację. Nagle, rozważywszy wszystkie możliwości, gwizdnęła na psa i uczyniła skok antylopy na brzeg chodnika, po czym zaczęła biec niezrównanym krokiem długodystansowca podczas „biegu narodowego na przełaj”. Kundel, we wszelkich sztukach zaprawny, przemyślnie uskoczył w drugą stronę, aby zmylić napastnika, który jednakże okazał całkowitą obojętność wobec jego kosmatej osoby.

— Ach, więc to jednak nieczysta sprawa! — zakrzyknął malarz i wprawił w ruch swoje długie nogi.

Panienka zdołała znacznie go wyprzedzić i biegła jak sarna. Sarny jednakże mało kiedy dźwigają ciężkie zawiniątko, dlatego już po niedługiej chwili świetne to porównanie zaczęło tracić na wartości. Dobiegła jednakże do najbliższego skrzyżowania ulic i zniknęła za węglem domu. Rolmops dreptał z gwałtownym i zdyszonym pośpiechem w jej ślady.

Malarz uczynił kilkanaście ogromnych kroków ponad miarę wyrośniętego dryblasza, lecz nagle zatrzymał się na moment, nieco oszołomiony, że przez niemądre wścibstwo stał się przyczyną jakiejś smutnej awantury. Ujrzał scenę niespodzianą: uciekająca z tobolekiem Ewcia wpadła w gościnie rozwarte ramiona policjanta, który dlatego może być z odrobiną słuszności przyrównany do kwitnącej jabłoni, że jak ona zawsze wyrasta spod ziemi. Należy przy tym zauważyć, że policjant odznaczał się niezdrową ciekawością, która we wczesnych godzinach rannych jest szczególnie zaostrzona. Co prawda panienka z zadartym noskiem nawet o tej dziwnej porze mało przypominała potężnego włamywacza, wracającego z wyprawy na bank, i nie było dość poważnych powodów do mniemania, że wybiera się wraz ze śmiesznym kundlem na urządzenie społecznego przewrotu, jednakże wybujała ciekawość stróża porządku publicznego pragnęła za wszelką cenę zaspokojenia. Policjant miał wprawdzie łagodne spojrzenie na świat i minę raczej rozbawioną wesołym spotkaniem, lecz bystry obserwator byłby łatwo zauważył, że pod Ewcią ugięły się nogi — chwila jeszcze, a padnie jak kwiat kosą podcięty. Tak zawsze padały wszystkie uciśnione dziewczycie w dawnych romansach i autor musiał sobie zadać wiele trudu, aby je za pomocą soli trzeźwiących lub rozsądnych perswazji znowu przywrócić do życia.

— A czemu to tak prędko? — zapytał ciekawy posterunkowy.

Zanim Ewcia zmałała czas na odpowiedź, że bieży do najbliższej trzystumetrowej przepaści, aby się w nią rzucić głową w dół, zadudniły szybkie kroki pierwszego jej prześladowcy, który — widać — osłupiał jedynie na krótką chwilę. Zwróciła się przeto szybko ku niemu i rzekła mu mało czułym spojrzeniem: „Widzisz teraz, coś narobił, idioto!”. Ostatnie to słowo, którego nie używa się nigdy jako wyrazu gorącej pochwały i oznacza w greckim oryginale „człowieka niepiastującego żadnego urzędu”, Zawidzki zobaczył, bo go nie mógł usłyszeć — co zresztą na jedno wyszło, było bowiem skierowane niechybnie pod osobistym jego adresem.

Zadyszany, zwrócił się do posterunkowego z uprzejmym zapytaniem:

— Czemu pan zatrzymuje moją siostrzenicę? Biegniemy na dworzec kolejowy...

Rzecz była oczywista — dwoje młodych ludzi, objuczonych tobolekami, spieszy do pociągu. Posterunkowy spojrział na wszelki wypadek w oczy malarza, a spotkawszy wesoły

<sup>51</sup> *Gdynia* — polskie miasto portowe nad Bałtykiem, część Trójmiasta. [przypis edytorski]

uśmiech, doszedł w zacnej duszy do przekonania, że chociaż czasem słynni opryszkowie przybierają chytrze postać niefrasobliwą i ujmującą, jednakże w tym młodym człowieku mało jest ze zbrodniarza. Chyba że się z czasem wyrobi. Szósty zmysł granatowego, policyjnego koloru powiedział mu, że śmieszna tę parę i psa na dodatek może puścić spokojnie, toteż pożegnał ich życzliwym uśmiechem.

— Do widzenia! — zawołał malarz. — Irka, bierz nogi za pas, bo późno.

Ewcia mimo niezgłębionych strapiień uśmiechnęła się z uznaniem i zaczęła biec truchcikiem, a wesoly dryblas podążał za nią.

— Nie tak prędko — rzekł półgłosem — bo następny policjant zakuje panią w kajdany.

— Ale teraz może się pan już odczepi! — odpowiedziała Ewcia, nie odwracając głowy.

— Nie mogę. Nie ulega wątpliwości, że posterunkowy patrzy za nami i bardzo by się zdziwił, gdyby wuj opuścił siostrzenicę. Ja wprawdzie sprawilem na nim wrażenie miłe i dodatnie, lecz na moim osobistym kredycie nie można polegać. Niech pani skręci w tę ulicę na prawo... Pani chce w tę na lewo? Doskonale! Możemy pójść na lewo... Tam łatwiej o policjanta... A! Więc jednak na prawo! Widzę, że moje rady są roztropne...

Ewcia szła szybko, nie odpowiadając. Zajęta była rozmyślaniami, w jaki sposób pozbyć się tego jegomościa. Nie był wprawdzie opryskiem i sądząc po wesołej gębie, był może nawet człowiekiem przyjemnym, lecz pogmatwał wszystkie jej plany głębokie i śmiałe. I wciąż gadał.

— Niechże pani posłucha jeszcze jednej uczciwej rady i niech pani wróci tam, skąd wyszła. Brama jest już otwarta, więc nie trzeba będzie włączyć przez okno. Radzę to pani z całego serca... Panienki nie są stworzone do awanturnicznych przygód. Wprawdzie wakacje mają swój urok, a pogoda jest brylantowa, ale wreszcie ferie się skończą i zacnie padać deszcz. Czy pani słucha, o czym ja mówię?

Ewcia nie odpowiedziała.

— Bardzo mi smutno, że pani jest uparta. Widzi pani, moje dziecko...

— Ne jestem dzieckiem! — zawołała Ewcia z różowym gniewem.

— A jednak pani słucha... Oczywiście, nie jest pani dzieckiem, ale nie jest pani kobietą dorosłą. W tym wieku, niech się pani nie gniewa, miewa się jeszcze tak zwane „kielbie we łbie”... Łatwo się coś zacznie, a kończy się ze łzami. Ale, ale... Czy nie mógłbym prosić, aby pani tak nie biegła, bo ja dźwigam ciężki plecak, a poza tym wiele ciężkich zmartwień i ołowiany dowcip. Możemy sobie powoli skręcić w tę stronę, gdzie jest dom pani i gdzie nieszczęśliwa mamusia pani woła w tej chwili z rozpaczą: „Gdzie jest moja córka?”

Ewcia przystanęła i spojrzała mu w oczy.

— Od matki nigdy bym nie uciekła — rzekła cicho, lecz dobitnie.

— Ach, przepraszam — odpowiedział Zawidzki, zgasiwszy światelko uśmiechu. — Bardzo panią przepraszam.

Jak gdyby im od tych słów przybyło ciężaru, zaczęli oboje iść wolniej i w milczeniu.

Zawidzki rozmyślał nad tym, co smętnego mogło się przydarzyć tej miłej dziewczynie, że wybrała tak niezwykłą drogę ku wolności? Wstyd mu było, że dręczył jakieś biedactwo i że się sam mianował niepowołanym jej stróżem. „Od matki nie uciekłym nigdy”. Przeto albo nie ma matki, albo znajduje się ona gdzieś daleko. Nie śmiał o to pytać. Najwłaściwsze by było pozostawić dziewczynę w spokoju wraz z jej tajemniczymi sprawami. Zawidzki jednak po szybkiej chwili rozwagi doszedł do przekonania, że nie powinien tego uczynić. Dziewczyna ma jakąś ciężką zgryzotę. Robi wskutek tego dziwne rzeczy, a przez dumną zapalczywość młodości gotowa uczynić coś, czego się nie da naprawić. Ileż ona może mieć lat? Piętnaście, najwyżej szesnaście. Jest to wiek nieoczekiwanych pomysłów. Wprawdzie panienska ma w oczach wyraz hardy i twardy, bywały jednak i takie cuda, że z najtwardszej skały wytryskiwała woda. Nie... Nie można jej zostawić samej. Wprawdzie gdyby los szukał opiekuna dla biednej, samotnej dziewczyny, wybrałby w braku kogoś lepszego raczej niedźwiedzia niżli malarza, przypadek jednak ma w sobie często coś z krotochwili<sup>52</sup>. Lepszy malarz niż nikt. Zawidzki postanowił przeto, że — z pozwoleniem dziewczyny lub też wbrew jej woli — nie opuści jej przynajmniej do

<sup>52</sup>*krotochwila* (daw.) — figiel, dowcip. [przypis edytorski]

czasu, gdy będzie pewny, że nic jej nie grozi. Niemal się rozrzewnił swoją rolą. Spojrzał na dziewczynę ukradkiem i spotkał jej, również ukradkowe, spojrzenie.

— Proszę pani! — zaczął mówić z jakąś serdeczną wesołością. — Czy pani nie może przystanąć choćby na krótką chwilę?

— Po co? — odrzekła Ewcia sucho.

— Bo chciałbym się przedstawić...

— Mógł pan to zrobić już dawno.

— Nie było czasu, bo pani biegła, ja biegłem, więc jak? Proszę teraz przystanąć, bo muszę zdjąć kapelusz, podać pani rękę i głośno, wyraźnie wygłosić moje nazwisko.

Dojrzał uśmiech w okolicach zadartego noska, a po chwili Ewcia zatrzymała się i śmiałym, uczciwym wzrokiem spojrzała w jego oczy, nic nie mówiąc.

— Nazywam się Jerzy Zawidzki i jestem, ku rozpaczy ludzi rozumnych, malarzem.

— Ach, to dlatego... — zawołała Ewcia, nie kończąc zdania.

— Co „dlatego”? Proszę mówić śmiało!

— To dlatego tak gładko ześlął pan przed policjantem, że jestem pańską siostrzenicą.

— Proszę nie obrażać szlachetnego zawodu! To moja osobista sprawa... A teraz, kiedy mnie pani już zna, czy mogę panią prosić o rękę?

— Co takiego? — wykrzyknęła Ewcia zdumiona. — Pan mnie prosi o rękę?

— Broń mnie, Panie Boże! Chciałem jedynie, abyśmy sobie podali ręce. Tak mi się tylko uroczyście powiedziało.

Ewcia miała przez krótką chwilę taką minę, jak gdyby w nią piorun trzasnął, ale w tymże samym momencie cofnął się z okrzykiem: „Przepraszam, ale chciałem trzasnąć w kogo innego! Niech pani to trzaśnięcie uważa za niebyłe”. Z trudem pokryła bladoczerwone zmieszanie i nadržając miną, wyciągnęła rękę ku młodzieńcowi.

— Nazywam się Ewa Tyszowska.

— Ewa! Patrzcie... Patrzcie — zaśmiał się malarz. — A ja nazwałem panią Irką... A wie pani czemu? Mam naprawdę kuzynkę Irkę, podlotka, który łązi po drzewach sprawniej niż małpa. Kiedy zobaczyłem panią gimnastykującą się we framudze okna, wtedy mi się to przypomniało. Aha! Irka ma też taki nosek, że mogłaby bez charakteryzacji grać naczelnika Kościuszkę<sup>53</sup> w amatorskim teatrze... O, przepraszam...

— Mój nos nie jest piękny, ale wcale się go nie wstydzę.

— Słusznie! Ja mam nogi jak czapla i też sobie nic z tego nie robię. Panno Ewo! Pogadajmy teraz jak dwoje przyjaciół. Dokąd pani idzie?

Ewa walczyła przez chwilę sama ze sobą.

— Na dworzec kolejowy — rzekła cicho. — Muszę wyjechać.

— A wolno wiedzieć dokąd?

— Nie wolno. Na co panu ta wiadomość?

— Bo to widzi pani... Ja jestem malarzem, trudno... Żadna praca nie hańbi. Każdy malarz ma jednakże takie śmieszne serce, że nie może patrzeć obojętnie na cudze zmartwienie, a pani ma jakieś wielkie zmartwienie. Byłbym ostatnim łapserdakiem, gdybym pozwolił, aby się pani czymś gryzła. Widać, los tak chciał, skoro mnie o godzinie szóstej rano zawiódł przed pani okno. Bo to ze mną jest tak...

Nagle przerwał i uderzył się ręką w czoło z rozmachem, jak gdyby chciał na nim zatłuc uporczywą muchę.

— Co się panu stało? — zdumiała się Ewcia.

— Co się stało? Nic. Przywołuję zmysły do porządku. Moje zmysły przypominają często gromadkę wróbli, kiedy w nią wpadnie rozbiegany pies. Niech pani przystanie raz jeszcze! Na chwileczkę... I niech pani odpowiada wyraźnie: jakie pani powiedziała przed chwilą nazwisko?

— Tyszowska...

— Odpowiadać proszę powoli i z namysłem. Wskoczyła pani przez okno z domu, w którym mieszka głośny uczonec, Hieronim Tyszowski. Tak czy nie?

— Tak! — odpowiedziała Ewcia, coraz bardziej zdumiona.

— Hieronim Tyszowski, zwany „człowiek-dżuma”?

<sup>53</sup>Kościuszko, *Tadeusz* (1746–1817) — polski inżynier wojskowy, Najwyższy Naczelnik Siły Zbrojnej Narodowej w czasie insurekcji kościuszkowskiej w 1794 r. [przypis edytorski]

— Tak.

— Więc Tyszowska wyskakuje oknem z domu Tyszowskiego. To nie ulega wątpliwości. Jak to jednak być może, skoro Tyszowski, „człowiek-dżuma”, mieszka, o ile dobrze pamiętam, na drugim piętrze, że Tyszowska wyskakuje z parteru? Jeśli Tyszowska ma coś wspólnego z Hieronimem Tyszowskim, powinna była wyskoczyć z okna drugiego piętra. Czy rozumuję logicznie?

— Najzupełniej!

— Bo ja mam wielki rozum, tylko że tak na oko trudno to spostrzec. Wracajmy jednak do rzeczy... Czemu pani nie wyskoczyła z drugiego piętra?

— Bo za wysoko! — roześmiała się Ewcia.

— Też racja! — zawołał malarz z zapalem.

— A czy pan zna Hieronima Tyszowskiego? — zapytała Ewcia z nagłym zainteresowaniem.

— Znam go i błogosławię. Przed kilku laty matka moja, którą ubóstwiam, była śmiertelnie chora. Tyszowski czynił takie jakieś dziwy, takie jakieś preparował szczepionki, że nikt inny, tylko on ocalił mi matkę.

— To mój ojciec! — powiedziała Ewcia gorąco.

— Boże miły! Dziewczyno! I pani teraz mi dopiero o tym mówi?! A cóż za spotkanie! Gdyby to można uczynić na ulicy, odtańczyłbym pewien taniec radosny, którym zawsze częściej chwile osobliwe. Zrobię to później, bo i tak ludzie na nas patrzą. Ale jednak ojciec pani mieszkał wyżej.

— Tak, ale wyjechał do Chin, a mnie umieszczono na parterze.

— O, arcykretynie! Przecież od własnej matki słyszałem o tym, a ona wyczytała to w gazecie. Panno Ewo!

— Słucham... — rzekła Ewcia przyjaźnie.

— Nie możemy tak chodzić dookoła miasta, tym bardziej że ja niedługo zacznę mocno krzyczeć i wymachiwać rękami. Czy pani wierzy, że jestem uczciwym człowiekiem?

— Wierzę, nawet bardzo wierzę!

— A czy pani już jadła śniadanie?

— Nie było czasu. Najpierw uciekałam, a potem pan mnie gonił...

— Prawda. Wobec tego, zanim odbędziemy naradę nad tym, jak pokierować losem, pójdźmy na śniadanie do jakiejś mleczarni. Gorące mleko niezwykle zaostrza wyobraźnię. Najlepsze byłoby kozie, bo Jowisz<sup>54</sup>, wykarmiony przez kozę, nie tylko zrobił karierę, ale i niezwykłym zajaśniał rozumem. Czy pani widzi, jaki ja jestem wykształcony?

Ewcia zaśmiała się głośno. Po godzinie awantury okazało się, że straszliwy przesładowca jest wybornym towarzyszem i najmilszym zawalidrogą. Schwycił ją za kołnierz i wydobył z dna rozpaczony na jasność słoneczną. Oczy mu się śmieją i nieustannie gada. Śmiech jego jest wyraźny, a wesołość szczerą. Wprawdzie ma nieco zbyt długie nogi, lecz poza tym jest niepospolicie przystojny. Posiada jakieś nakrycie głowy, lecz to coś w rodzaju czapeczki wystaje mu z kieszeni, a poranny rzeński wiatr rozwiewa mu włosy mocno wybijające. Zasadniczo posiadają one kolor jasny, lecz nad prawą skronią grają wieloma barwami, których poważna przyroda nigdy nie używa do malowania głów ludzkich. Nie ulega przeto wątpliwości, że pan malarz w pośpiechu pracy ociera pędzle o własne owłosienie. Stąd zapewne pochodzi i tęcza barwa jego myśli, wirujących jak kolorowe szkiełka w kalejdoskopie. Od chwili, w której się dowiedział, kim jest Ewcia, wciąż powracał do hymnów na cześć jej ojca. Nie były to hymny prawidłowo zbudowane, lecz strzeliste okrzyki, połączone z tak gwałtownymi ruchami rąk, jak gdyby malarz podbijał każde słowo, aby wyżej poleciało. Ewci uczyniło się ciepło w okolicach serca. Od czasu do czasu spoglądała ukradkiem na tę jasną, szczerą, uczciwą gębę, po której biegały słoneczne błyski, i wtedy przymykała oczy, jak gdyby im nie mogła uwierzyć. Jakżeż to? Przed godziną uciekła przez okno — zrozpaczona, samotna i bezradna — a po godzinie idzie wesoło w towarzystwie człowieka, którego spotkała po raz pierwszy w życiu i o którego istnieniu nigdy nie słyszała. Nie czuje żadnej trwogi, nie chce myśleć o tym, co się stanie. W tym długonogim dryblasie, mającym włosy pomalowane jak Indianin wstępujący na

<sup>54</sup>Jowisz a. *Jupiter* — rzymski bóg nieba i światła, zjawisk atmosferycznych, władca bogów i ludzi; zgodnie z mitem został wykarmiony przez kozę Amalteę. [przypis edytorski]

Spotkanie

Artysta, Przyjaźni,  
Przemiana

ścieżkę wojenną, jest tyle pogodnej, radosnej siły i tyle pewności, że Ewcia nie waha się ani przez chwilę. Ufa człowiekowi, który wielbi jej ojca. Jeszcze dość będzie czasu, aby się zastanowić nad tym, co ma uczynić za godzinę.

Gdy weszli do małej mleczařenki, zdawało się, że malarz napełnił sobą całe jej szczupłe wnętrze. Uśmiechnęła się do niego chmurna dotąd, usługująca panienka, a pokaźnie gruba pani, licząca właśnie bułki za bufetem, spojrzała na niego z tkliwą życzliwością, rozumując słusznie, że jeśli ten wspaniały młodzian nie zje za jednym zamachem wszystkich nagromadzonych w mleczařni produktów, w takim razie należy wątpić o wszystkim i przekląć złudne pozory. Malarz uradował jednakże jej zatroskaną i mleczną duszę — jadł tak potężnie, że nawet jak na malarza było to zdumiewające. Z bujną wymową namawiał i Ewcię, aby „mlekiem zalała robaka”. Ze szczodłą rozrzutnością nakarmił w przerwie kundla, który spojrzał na niego z gorącym uznaniem i mrugał wyraziście lewym okiem, jak gdyby chciał powiedzieć: „Pan jest pierwszym malarzem na świecie, przy którym może się pożywić pies, dotąd bowiem przy malarzach umierały z głodu nawet muchy!”.

„Milcząc, żwawo jedli”<sup>55</sup>, lecz malarz zwracał większą uwagę na część drugą spostrzeżenia wieszczki Adama<sup>56</sup>. W milczeniu nie wytrwał zbyt długo. Gadał o wszystkim do Ewci, do usługującej panienki, do grubej pani za bufetem, do psa, do obrazu na ścianie, wreszcie sam do siebie. Każde zdanie pokropił złotym deszczem śmiechu. Od czasu do czasu patrzył jednak bystro w twarz Ewci, jak gdyby czegoś od niej oczekiwał i jakby własną gadaniną chciał ją zachęcić do mówienia.

Ewcia milczała. Widać było wyraźnie, że coś waży w duszy i nad czymś rozmyśla. Kilka razy zdawało się, że już słowo jak złota pszczoła drżało na jej ustach, lecz natychmiast odlatywało jak owad. Teraz dopiero dziewczyna poczuła znużenie po niezwyklej przeszłości i po gorączce porannych godzin. Ze znużenia narodził się smutek i nieporadne przygnębienie. Myślała, że się rozpłaczę. Niedawna podniecona wesołość zagasła jak nagle światelko. Niezmiernie miły jest ten młody człowiek, lecz zbliża się chwila, kiedy on pójdzie swoją drogą, a ona swoją — tylko jaką? O, jak łatwo jest uciec, jak trudno jest uciekać!

Nagle malarz spojrzał w jej oczy głęboko i rzekł ściszym głosem:

— Odwagi, dziewczyno!

Zdawało się jej, że malarskimi, bystrymi oczami widział każdą jej myśl.

A on mówił niemal szeptem:

— Skoro pani wyskoczyła przez okno, musiała pani mieć ku temu ważne powody. Nie wygląda pani na taką, co skacze z pieca na łeb dla samej przyjemności skakania. Teraz jednak nie należy płakać...

— Przecież ja nie płaczę — odrzekła Ewcia niepewnie.

— W tej chwili nie, bo nie chce pani wlewać łez do mleka, ale dam sobie uciąć nikomu niepotrzebną głowę, że stanie się to niechybnie o siódmej trzydzieści trzy. Kobiety najobficiej płaczą rano i o zmierzchu. Ja rozumiem doskonale, że pani się musi wypłakać, bo inaczej byłby to stracony dzień, ale niech to pani na jakiś czas odłoży. Ewo, córko Hieronima! Nic a nic mnie nie obchodzi to, co się stało, ale nie pozwolę, aby się miało stać coś, czego można uniknąć. Dokąd się pani wybiera?

Pytanie to wygłosił tonem tak groźnym i tak nagle, że Ewcia odrzekła bez namysłu jak przestraszony uczeń, odpowiadający nauczycielowi:

— Do Makowa.

— Przebóg! — zawołał malarz ze zgrozą. — To niemożliwe! Tam pani nie pojedzie!

— Czemu?

— Bo w Makowie leje jak z cebra. Przecież ja wczoraj przejeżdżałem przez Maków. Do kogo pani chce jechać?

— Do ciotki... Do pani Halickiej...

— Nie mam przyjemności znać szanownej ciotki — rzekł malarz z serdecznym żalem. — Czy jednak przypadkiem owa szanowna, w tej chwili zmokła ciotka nie będzie odrobinę zdziwiona nagłym przyjazdem?

<sup>55</sup>*Milcząc, żwawo jedli* — nieco zmodyfikowany fragment utworu *Pan Tadeusz*, autorstwa Adama Mickiewicza (1798–1855). [przypis edytorski]

<sup>56</sup>*Mickiewicz, Adam* (1798–1855) — polski poeta romantyczny, działacz polityczny, publicysta, tłumacz, filozof, działacz religijny i mistyk. [przypis edytorski]

— Będzie bardzo zdziwiona.

Ewcia odpowiadała jakby sennie, sama nie zdając sobie sprawy z tego, dlaczego odpowiada.

— Otóż właśnie! Ciocia jest zapewne przekonana, że pani śpi na łąkach puchach, spokojna i szczęśliwa, gdy wtem spadnie jej na głowę katastrofa w postaci panienki pełnej zwątpienia i rozpaczy. Jeżeli ciocia znajduje się w wieku dojrzałym, może jej pęknąć serce. Szlachetna Ewo, musimy wymyślić coś innego... Ratujmy dojrzałą ciotkę!

— Ja nie mam nikogo poza nią! — wybuchnęła Ewcia w nagłym podnieceniu. — Ojciec na drugim krańcu świata, a tu...

Przestała mówić, jak gdyby oczekiwała pytania, ale chytry malarz nie zapytał o nic. Wiedział dobrze, że w tej chwili jedynie trzęsienie ziemi mogłoby spowodować krótką przerwę w zwierzeniach dziewczyny. Odmierzone krople jej słów zaczęły wzbierać i wkrótce popłynęły rwącą strugą.

Malarz słuchał bez drgnienia. Nie poruszył się nawet, aby nie spłoszyć rozkwilonego ptaka. Mogło się здаwać, że patrzy obojętnie na ogłoszenie, wzywające naród do spożywania sera śmietankowego. Słuchał skarg na samotność, na oschłość serca obcych ludzi, na odrzucenie serca Ewci, które chciała ofiarować za odrobinę życzliwości — i dowiedział się wreszcie, że dziewczyna wychowana w jasności nie mogła wytrzymać w mroku.

— Ja wiem, że zrobiłam głupstwo... — mówiła Ewcia, a słowa padały spokojnie, jak ostatnie kropie po nawale ulewy. — Ojciec mnie nie pochwali, a ciotce to chyba naprawdę serce pęknie... Ale ja już dłużej nie mogłam. Po tej awanturze z pamiętnikiem pani Szymbartowa zamknęła mnie na trzy dni w pokoju...

— A cóż na to pan Szymbart? — zapytał malarz po raz pierwszy.

— Nic nie mógł zrobić, bo także był zamknięty.

— Chwała mu, bo cierpiał za ludzkość... Spokojnie, dziewczyno, spokojnie! Ale, ale... Czy nie zjadłaby pani śmietankowego sera? Przypadkiem zauważyłem bardzo zachęcające ogłoszenie. Niechże się panna Ewa uspokoi, albowiem w przeciwnym razie zmuszę panią do zjedzenia dwunastu jaj na surowo. Teraz wiem o wszystkim i wiem, co pani robi. Za pozwoleniem... Czy ten kundys<sup>57</sup> zawsze tyle zjada? Niech mu idzie na zdrowie, ale i pies powinien mieć odrobinę taktu i umiarkowania... Dziwaczna psina! Ale my już musimy iść, Ewuniu.

Powiedział ostatnie słowo tak tkliwie, tak serdecznie i ciepło, jakby je wymówił starszy brat do bardzo kochanej siostry. I po raz pierwszy powiedział: „Ewuniu”. Nie miał najmniejszego prawa do tej poufności, a jednak brzmiało to tak naturalnie, jak gdyby inaczej mówić mu nie wypadało.

— Dokąd? — spytała dziewczyna z zapartym oddechem.

— Jak to „dokąd”? Do nas!

— Do nas?

— Oczywiście. Do mojej matki i jej syna, która mieszka razem ze swoją matką. Posłuchaj, kobieto, moja matka uwielbia pana doktora Tyszowskiego, jej syn znalazł na ulicy ukochaną córkę lekarza, która chciała jechać do ciotki, wobec czego moja matka zawoła: „Dobrze zrobiłeś, mój synu, że przyprowadziłeś córkę ojca, który ocalił twoją matkę!”. Może doda jeszcze jakieś ciepłe słowo na temat psa, ale na to zbyt mało liczyć nie należy. Pani nie ma pojęcia, jak cudowną kobietą jest moja matka! Prawie przez lat trzydzieści ma przy sobie takiego ananasa jak ja i tylko odrobinę posiwała. Nie ma rzeczy, której by mi odmówiła, co zresztą nie jest jedynie jej zaletą, gdyż ja potrafię wszystko wycyganąć, co zechcę. Mieszkamy sobie razem w małym domku w okolicach ulicy Wawelskiej<sup>58</sup> i jest nam tak dobrze, że czasem anioły zaglądną w lecie przez otwarte okna, bo myślą, że przez pomyłkę zaleciały do raj. Dopiero na widok mojej diabelskiej gęby cofają się w popłochu. Widzi pani, że nie będzie jej u nas źle. Posiedzisz, dziewczyno, dopóty, dopóki ojciec-dżuma nie powróci i wtedy oddamy mu córeczkę znacznie tłustszą, bo u nas się doskonale jada, i znacznie mądrzejszą, bo kto przebył czas jakiś w moim towarzystwie, nabiera niebywalej mądrości. Czemu się pani śmieje?

<sup>57</sup>kundys — kundel. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>Wawelska — warszawska ulica w dzielnicy Ochota. [przypis edytorski]

Ewcia śmiała się, ale dziwnie — z rozrzewnieniem. Słuchała radosnego hymnu na cześć matki, ułożonego wprawdzie oszalałym stylem, lecz pełnego nieprzebranej tkliwości, i serce w niej drżało. To ponad przyzwoitą miarę wyrosnięte malarzysko zmieniło się w serdecznego chłopca, kochającego wszystko, co jest jasne i uczciwe. O, jacy dziwni są ludzie... Od jednych uciekła, bo ściał ją wśród nich dotkliwy mróz oschłości; a na ulicy, przypadkiem, spotkała takiego, od którego bucha życzliwość i przyjazna, wzruszająca dobroć.

— Śmieję się — odpowiedziała Ewcia po chwili — bo panu się pali w głowie.

— Woda rzadko kiedy się pali! — zawołał malarz. — A poza tym, co to ma znaczyć?

— To, że się panu roją zabawne historie. Jakże pan może przyprowadzać do domu kogoś z ulicy i do tego, że tak powiem, na dłuższą wizytę, nie zapytawszy przedtem matki o pozwolenie?

Malarz przymrużył lewe oko jak ulicznik, niezmiernie czymś ubawiony.

— Proszę pani! — rzekł ze śmiechem. — Jednego razu wróciła moja złota matka do domu po dłuższej nieobecności. Patrzy, a przy stole siedzi trzech dzikich ludzi i pożera potrawy mocno tłuste i silnie korzenne. Ja wyszedłem po papierosy. Dżentelmeni, widząc dostojną osobę, zapytali gościnnie: „Może szanowna pani też coś przekąsi?”. „Z przyjemnością”, odrzekła dostojna osoba. A oni dalej: „A szanowna dama też nie ma mieszkania, że się zjawiała w tym wybornym hotelu?”. A dama na to: „Mam wprawdzie w tym domu miły pokoik, ale nie wiem, czy nie jest zajęty”. „A który to pokój”, pytają. „Na dole!”, odpowiada dama. „Wolny, wolny”, zakrzyknęli. „Jurek wszystkie pozwolił zająć, ale do tamtego nie wolno nawet wejść, bo to pokój pani mamy”. „W takim razie pójde się tam przebrać po podróży”. Wtedy w nich trzasnął jasny piorun, bo zrozumiały buszmeny<sup>59</sup>, że to sama pani Zawidzka. Ale wkrótce przyszli do przytomności, zaczęli śpiewać: „Sto lat, sto lat niech żyje, żyje nam!” i chcieli swoją rodzoną matkę podnosić do góry, lecz na szczęście wróciłem w sam czas. A mama mnie zwymyślała, że zostawiłem gości samych, a mogli czegoś potrzebować. Słyszysz pani? Zostawiłem trzech malarzy samych, a oni — mili barankowie, dzieciaczki nieporadne — nie wiedzieli, co począć. A potem czyniła mi wyrzuty, że przytuliłem tylko trzech, bowiem znalazłoby się miejsce dla czwartego, bo gdyby go tylko dobrze wykapać, mógłby w czasie jej nieobecności zamieszkać w jej pokoju.

— To nadzwyczajne! — zawołała Ewcia z entuzjazmem.

— To nic nadzwyczajnego. Moja matka wie, że biedny malarzyna też musi czasem pomieszkać. Powiadam pani, że moi koledzy tak ją kochają, jak tylko malarz potrafi. Rodzicielka ma ze sześćdziesiąt swoich portretów i na każdym jest coraz młodsza, a pod każdym mogłaby napisać, jak to uczynił jeden ojciec święty, co pod swoim kiepskim konterfektem skreślił słowa: „Nie bójcie się, to ja!”. Złoto moje kochane! I pani może przypuścić choćby na chwilę, że nie przytuli biednej dziewczyny, córki takiego człowieka... Co to? Łzy? O, niewieścia kreaturo! Proszę w tej chwili wytrzeć ten zadarty nos, bo będzie nieszczęście! I niech młoda osoba zbiera manatki. Bez żadnego gadania, bez łez, bez jęków i szlochów... Hej, kundlu, zbieraj się i ty! Niech pani patrzy, ten potwór jeszcze je. Dziwny pies... Chętnie bym go namalował, ale jako martwą naturę. Żywy jest okropny... Otarła pani nos?

— Już! Pan jest straszny...

— Może być. Ale gdy wpadnę w gniew, jestem jeszcze straszniejszy, bo kąsam ludzi. Czego pani szuka?

— Pieniądzy. Przecież trzeba zapłacić... O, mój Boże!

Ewcia zaczęła gorączkowo potrząsać kieszonkę.

— Zgubiłam pieniądze! — jęknęła z rozpaczą.

— Dużo?

— Mało, ale zgubiłam... Kiedy pan mnie gonil.

— Nigdzie nie ma?

— Nigdzie... O, Boże!

<sup>59</sup>buszmen — właśc. Buszmen, członek afrykańskiego plemienia; tutaj metaforycznie dzikus. [przypis edytorski]

— Niech pani przeszuka jeszcze tego kundla, bo temu psu nie można dowierzać. Ale ja się strasznie cieszę, że pani je zgubiła. Do Makowa już pani nie pojedzie i musi pani pójść do nas. Zbierać się do pochodu! Będziemy sobie po drodze śpiewali: „Choć burza huczy wkoło nas!”<sup>60</sup>.

I zaśmiał się tak głośno, że mucha, latająca po stoliku, zerwała się przerażona.

— A właśnie że znalazłam! — zawołała Ewcia, grzebiąc w tobołku.

— Ten kundel musiał je po kryjomu podzucić!

## ROZDZIAŁ PIĄTY, W KTÓRYM DZIEŃ SZCZĘŚLIWY OTRZYMAŁ CIOS W SAMO SERCE

Kobietą wielkiego ducha musiała być pani Klementyna Zawidzka, skoro nie spadła z krzesła, widząc powrót syna. Pani Zawidzka (lat nieco ponad pięćdziesiąt, wysoka, siwa, rysy jakby wyrzeźbione, twarz pogodna, oczy mądre, bystre, orzechowej barwy, o złotym połysku, odzienie czarne, bardzo skromne, lecz niezwykle wytworne), zawiadomiona, że jej pierworodny miał powrócić około szóstej rano, czekała nadaremnie ze śniadaniem. Dopiero po upływie dwóch godzin ujrzała dziwaczny pochód trzech bożych istot, a jedną z nich był niewątpliwie jej syn. Ponieważ mogło się zdarzyć, że wesoly ten i bujną wyobraźnią obdarzony młodzian mógł przyjechać równie dobrze na wielbłądzie i pomalowany na czarno, wobec tego bynajmniej nie zdumiał jej ten skromny orszak, na którego czele szedł rażnie i z miną tryumfalną. Natomiast podążająca za nim truchcikiem panienska miała wyraz twarzy żalony i cokolwiek wystraszonej.

„Mój syn miewa śmiałe pomysły”, pomyślała wytworna matka jedynaka malarza.

Dziki syn, ujrawszy ją, uczynił trzy ogromne kroki i porwawszy wytworną matkę, uniósł ją w ramionach z krzesła i począł całować z taką radosną furją, jak gdyby jej nie widział przez lat siedem. Wyborna ta operacja, połączona z niebezpieczeństwem uduszenia wiotkiej damy, trwała długo i została przerwana jedynie dzięki gwałtownym jej zapowiedziom, że za chwilę jej oszalały syn zostanie sierotą. To go dopiero nieco zastanowiło, więc ze zgrabnością niedźwiedzia, co przed chwilą wyrwał drzewo z korzeniami, ustawił ją w przyrodzonej postawie na niewzruszonej ziemi.

Ewcia patrzyła na tę scenę z takim zachwytem, że z bladej jej i wymizerowanej twarzy zniknęła trwoga. Coś ją jednak po chwili musiało schwytać za gardło, bo zaledwie powstrzymała rwący się z jej piersi szloch. Byłoby się to stało niechybnie na widok tak miłowanej matki, gdyby jej nie przywołało do przytomności pytanie:

— Czemu się ze mną nie przywitasz, moje dziecko?

Głos, który zadał to pytanie, brzmiał głęboko, pełnią tej słodczy, z jaką śpiewa wionloneczela, która swojego tonu nauczyła się od człowieka, co wiele przecierpiał.

Ewcia, spojrzawszy na twarz pani Zawidzkiej, dostrzegła uśmiech tak niewysłowionej dobroci, że bez namysłu rzuciła się do rąk tej kobiety, która, zanim zapytała, kim Ewcia jest i skąd przychodzi, pragnęła ją uściskać. Tak się jakoś stało, że całując jej dłonie, osunęła się na kolana. Niewątpliwie tak by postąpiła wobec własnej matki. Ręka pani Zawidzkiej pogładziła ją miękko po głowie, a potem matka malarza powiedziała:

— Tak nie można, tak nie można, dziewczyno...

Delikatnym ruchem pomogła Ewci podnieść się, objęła ją ramieniem i ucałowała.

— Deszcz będzie, bo się baby całują! — krzyknął malarz. — Dość tego! Matko wyrodnego syna, czy pragniesz wiedzieć, kim jest ta smarkata?

— Jerzy, czyś oszalał?

— To jest córka doktora Tyszowskiego!

— Nie może być? — zawołała z głęboką radością pani Zawidzka.

— I jak tu żyć, skoro rodzona matka nie wierzy własnemu synowi — rzekł malarz z czarną boleścią. — Niechżeż pani poświadczy!

— Tak jest — powiedziała nieśmiało Ewcia.

Pani Zawidzka przez długą chwilę przyglądała się dziewczynie z upodobaniem; potem rzekła:

<sup>60</sup> *Choć burza huczy wkoło nas!* — tradycyjna pieśń żeglarska autorstwa Edmunda Wasilewskiego (1814–1846), z muzyką Franza Schuberta (1797–1828). [przypis edytorski]

— Po raz pierwszy przez długie lata zdarzyło się, by Jerzy uczynił coś rozsądnego i przyprowadził do domu kogoś podobnego do ludzi.

— Niezupełnie — zaśmiał się malarz. — Mama nie przyjrzała się jeszcze temu psu.

Kundel ustawił się jak do fotografii i wykrzywił złodziejski pysk.

— Och! — zaśmiała się pani Zawidzka. — Czy to jest naprawdę pies?

— Tak jest, proszę pani — odrzekła Ewcia, również z uśmiechem.

— Patrzcie, patrzcie! Przyroda ma znakomite poczucie humoru. Widziałam w moim życiu wiele psów, i najdziwaczniejszych psów, ale takiego psa pod psem jak ten pies jeszcze nie widziałam. Trzeba go będzie zaprowadzić do kuchni. A my może pójdziemy zjeść śniadanie.

Malarz oznajmił, że i on, i Ewcia „gwizdzą na śniadanie”, albowiem przezornie już jedno zjedli, a do załatwienia są sprawy nierównie ważniejsze.

— Jeżeli mama — rzekł — pragnie spędzić kilka chwil na rozmowie z człowiekiem niepospolicie rozumnym i dowiedzieć się o niebywałych awanturach, niech przede wszystkim pomówi ze mną. A panna Ewa niech odetchnie tymczasem w mojej pracowni.

— Wszędzie, byle nie tam! — zawołała pani Zawidzka. — Tam są przecież twoje obrazy... Jeżeli ta dziewczyna ma poczucie dobrego smaku, na widok tych straszliwości wyskoczy przez okno.

— Nie byłoby to dzisiaj po raz pierwszy! — zaśmiał się Jerzy. — Niech pani w takim razie spocznie w tym pokoju, w którym wisi mój wizerunek. Panny powinny raczej włączyć przez okna, aby spojrzeć chociaż przez krótką chwilę na moje promieniste oblicze; a nie wyskoczyłyby żadna. Pójdź, matko, albowiem, chociaż udajesz markizę, nie możesz ustać na nogach, tak cię pożera ciekawość. Panno Ewo? Niech pani zerwie trochę kwiatów, potem niech pani pójdzie przez hall na lewo i przystroi nimi mój wizerunek.

— Dobrze! — zaśmiała się dziewczyna.

Pozostała na tarasie, usiadłszy w trzcinowym fotelu. Słyszała z niewielkiej odległości wykrzykniki Jerzego, który opowiadał matce o całej historii. Ani razu natomiast nie usłyszała głosu pani Zawidzkiej.

Ewcia była znużona. Zuchwała wyprawa wyczerpała ją do cna. Przez połowę nocy nie zmrużyła oka, układając rozpaczliwy swój plan. Od północy naradzała się z Zosią, przerażoną i równocześnie zachwyconą. Dziesięć razy co najmniej liczyła Ewcia pieniądze, które miały jej starczyć na podróż do pani Halickiej. Wiedziała, że ucieczka jej będzie dla cioci nie byle jakim ciosem, skoro się dowie, że pani Szymbartowa źle spełniła obowiązek opiekunki. Trzeba będzie wyjaśniać długo i pracowicie, czemu Ewcia zwodziła ciotkę doniesieniami, że wszystko u niej w porządku. Dobrze się stało, że do tego wszystkiego nie doszło, lecz co się stanie teraz? Pani Zawidzka jest wspaniałą kobietą i zapewne mądrą, więc jej poradzi, jak ma postąpić. Żeby tylko ten wesoły chłopak dokładnie i wyczerpująco powtórzył matce wszystko, o czym się dowiedział od Ewci. Strasznie dobre jest to chłopczyśko. Mogłoby się zdawać na pierwszy rzut oka, że myśli jego latają obłąkanym, jaskółczym lotem, niespodzianymi zygzakami, a jednak nie ulega wątpliwości, że jego rozigrany sposób gadania to tylko taki „fason”. Przez jasne oczy widać jego dobre serce... Coś oni tam oboje — pani Zawidzka i jej syn — przecież wymyślą, a Ewcia postąpi tak, jak jej polecą. Byle tylko nie wracać do pani Szymbartowej, byle tylko nie to!

W tej chwili wychylił się z okna Jerzy i wrzasnął tak, jakby chciał pól Warszawy postawić na nogi.

— Panno Ewo! Na przesłuchanie! Kundel później...

Ewcia poszła z bijącym sercem. Trafić było łatwo, bo śmiech Jerzego wyraźnie wskazywał drogę. Ten śmiech dodał jej otuchy.

Pani Zawidzka siedziała na kanapce, a Jerzy krążył po pokoju, wciąż gadając. Na widok dziewczyny zamilkła i mrugnęła do niej wesoło.

— Bliżej, bliżej moje dziecko! — powiedziała łagodnie pani Zawidzka. — Usiądź...

— Ewo, siadaj! — wrzasnął malarz. — Kobiety zazwyczaj mdleją w ważnych chwilach, więc niech to raczej robią na siedząco.

— Jerzy, bądź łaskaw nie przeszkadzać — rzekła pani Zawidzka. — I nie krzycz, bo cię wyrzucimy za drzwi. Moja kochana dziewczyno — zaczęła po chwili z powagą — mój syn opowiedział mi o wszystkim. Z jego nieskładnej gadaniny....

— Oho! — zawołał Jerzy.

— ...Zdołałam zrozumieć, że umieszczono cię dość nieszczęśliwie w smutnym albo też równie nieszczęśliwym domu. Sądząc z moich osobistych, chociaż krótkich, spostrzeżeń, nie jesteś lekkomyślna. Skoro aż uciekłaś z tego domu, to musiało ci być bardzo źle. Trudno. Stało się. Ojciec ma powrócić dopiero za kilka miesięcy. Tak?

— Tak. Za pół roku...

— Otóż to. Przez pół roku nie dasz sobie rady sama. Do Makowa czy gdzie tam jechać nie powinnaś, bo po wakacjach musisz pójść do szkoły. Przeto ja i mój syn uradziliśmy, abyś przez te pół roku do powrotu ojca zamieszkała u nas...

— O Boże! — szepnęła Ewcia, składając ręce.

— Miejsca jest dość. Nikomu przeszkadzać nie będziesz. Jeden jest tylko szkopol. Pani... Pani... Jakże jej tam?

— Szymbartowa! — krzyknął Jerzy.

— Właśnie, właśnie... Pani Szymbartowa. Zostałaś jej powierzona i ona, będąc za ciebie odpowiedzialna, może się sprzeciwić naszym zamiarom. Może się też i zgodzić, co jest nawet bardzo prawdopodobne, ale musi zostać o wszystkim powiadomiona. Należy ją zresztą natychmiast uspokoić. Pani Szymbartowa znajduje się niewątpliwie w tej chwili w rozterce. Nietrudno jej było zapewne odgadnąć, że uciekłaś, lecz mogło ci się potem przydarzyć coś, co by nawet ją mogło pograć w rozpacz.

— Niebo zesłało mnie! — krzyknął Jerzy.

— Niebo zastanowiłoby się głęboko, zanim by tobie powierzyło jakąkolwiek misję. Siedz cicho i nie przerywaj! Otóż, moja Ewciu, wszystko dobrze, tylko z panią Szymbartową nie jest dobrze. Czy ta pani ma telefon?

— Nie ma. Pani Szymbartowa dzwoni ze sklepiku.

— Wobec tego ja natychmiast pójde do niej sama — rzekła pani Zawidzka.

— Sama? Nigdy! — wołał Jerzy. — Pójdiesz ze mną, a ja pójde ze strzelbą.

— Ty zostaniesz w domu i zajmiesz się Ewcią.

— Niech ona się mną zajmie, bo ja jestem mężczyzna! Nie umiem piastować dzieci.

Bardzo był uradowany, że się tak wszystko potoczyło. Cieszył się, że uwielbiana matka będzie miała choć przez kilka miesięcy przyjazną duszę w domu. Jego zazwyczaj nosiło po świecie, jak gdyby gonił za słońcem. Cieszył się też widoczną radością dziewczyny. Na twarzy jej ukazały się lekkie rumieńce od nadmiernych wzruszeń, a oczy błyszczały. Ucałowała ręce pani Zawidzkiej i chciała jej dziękować, ale nie mogła znaleźć słów.

— Pan ma cudowną matkę! — rzekła gorąco po wyjściu pani Zawidzkiej.

— To stąd pochodzi — odpowiedział Jerzy z powagą — że mama stara się mnie naśladować we wszystkim. Czemu się pani tak drwiąco uśmiecha? Zaczyna to być irytujące, że zawsze się wszyscy śmieją, kiedy mówię poważnie. Ale pani ma rację: moja matka jest morowa<sup>61</sup>!

— Mój ojciec też!

— To nie jest żadna sztuka, bo kto ma do czynienia z morem<sup>62</sup> dżumy czy cholery, temu łatwo być „morowym”. Moja matka ma tylko jeden rodzaj epidemii, to znaczy mnie, ale już zdołała przywyknąć. Zobaczysz pani jeszcze, co to za kobieta! Kiedy chciałem pójść do akademii malarskiej, w całej rodzinie zrobił się taki wrzask, jak gdybym był już z góry skazany na kryminal, a później na szubienicę. Miałem jedną ciotkę, która już jest w niebie, co na tę wiadomość zemdląca. A kiedy powróciła do przytomności, powiedziała uroczyście: „W rodzie naszym bywali senatorowie i biskupi, lecz nigdy nie było pijaka i przestępcy. Teraz będzie. Widać, że Bóg chce nas ukarać za jakieś ciężkie grzechy!”. Chciała mnie nawet przekląć...

— I co, i co?

— I nic. Były wielkie narady i sejmy. Niektórzy byli zdania, że skoro mam już umrzeć z głodu, lepiej by było, abym został nie malarzem, lecz literatem, bo atrament i papier tańsze są od farb i płótna. Mojej matce bardzo się wreszcie sprzykrzyło owo gadanie, zapytała przeto krótko: „Czyj to syn, mój czy wasz?”. „Na szczęście twój”, zakrzyknęły oburzone ciotki. „Wobec tego ja mu daję moje błogosławieństwo!”. A jednej, bardzo zawziętej, powiedziała: „Pana Boga ciesz się więcej pięknym obrazem niż skwaśniała ludzka głęba!”.

<sup>61</sup>morowy —tu: dzielny, porządny. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>mór (daw.) — choroba zakaźna; gra słów, bo „morowy” to również przymiotnik odnoszący się właśnie do moru. [przypis edytorski]

Radość

Artysta, Mieszczanin,  
Sztuka

— A co mówił ojciec pański?  
 — Mój ojciec dawno już nie żył... Poległ w dwudziestym roku.  
 — Och, nie wiedziałam...  
 — Miałem w tym czasie dopiero sześć lat. Mój ojciec kupiłby mi pierwszą paletę i pierwszy pędzel. Wspaniały to był człowiek! I jeszcze weselszy ode mnie!  
 — Czy to możliwe? Czy można być weselszym od pana?  
 — Można, bo ja jestem wesoły tylko w dni nieparzyste. Poza tym jestem smutny, gdy pada deszcz, zły jestem, gdy jestem głodny, a wyglądam jak dojrzały nieboszczyk, gdy jestem zakochany... A zresztą, co to obchodzi rozmaite niedowarzone osoby? Niech lepiej niedowarzona osoba obejrzy nasze mieszkanie, zanim mama wróci. Chodź, licha imitacja kobiety, a wyborna podróbka podlotka! Czy pani wie, co mi przypomina podlotek?  
 — O, bardzo proszę!  
 — Młodszego legawca<sup>63</sup>. Zawsze mi się wydaje, że taki stwór ma za wiele nazbyt długich nóg i wciąż mu się to wszystko płacze.  
 — Jeżeli idzie o długie nogi, to pan mógłby stanąć jedną na lewym brzegu Wisły<sup>64</sup>, a drugą...

— Przestań, posępna kreaturo! — śmiał się Jerzy, ubawiony zadzierzystä<sup>65</sup> miną Ewci. Oprowadzał ją po niewielkiej, lecz uroczej willi, otoczonej ogródkiem, w którym czerwoną pychą pyszniły się róże. W oknach i na tarasie płonęły żywym ogniem płomyki pelargonii. Cicho było w tym domu i przytulnie. Na pierwszy rzut oka mogło się здаwać, że jest to mieszkanie ludzi zamożnych, pędzących tu życie pogodne i beztrudne; jednak ktoś bystro patrzący mógłby zauważyć, że wewnątrz domu sprawia wrażenie dogasającej, minionej świetności. Sprzęty mają swoją rasę: są albo szlachetnego pochodzenia ze ślicznym znamieniem dawności, albo pospolite, fabrykowane z pośpiechem, klecone bez tej czułości, z jaką wyrabiał sprzęt dawny mistrz, rozmiłowany w swym rzemiośle. W willi Zawidzkich więcej było sprzętów bez rasy — błyszczących wprawdzie, lecz nowoczesnym szychem<sup>66</sup>, wygładzonych maszyną. Jedynie tu i ówdzie stał na honorowym miejscu mebel wysokiej klasy, o liniach prześlicznych, o zarysie pełnym niewypowiedzianego wdzięku. Najbardziej pyszniła się szeroko i wygodnie rozparta szafa gdańska — rozłożysta, lśniąca przyćmionym blaskiem, opatrzona kutym, wielkim żelaznym zamkiem, w którym tkwił klucz potężny. Prześliczna staruszka, najmniej dwieście lat licząca, przeznaczona do przechowywania rzeczy cennych, sama była skarbem; w jej pobliżu rozkraczył się stół „niskiego” pochodzenia i pospółstwo krzesel z fałszywego mahoniu. Towarzystwo było niedobre i nie było wśród niego zgody. Tu i ówdzie błysnął jakiś drobiazg cenny i przedziwnie piękny, jakaś upadła gwiazda, co z nieba świetności dostała się na niziny pospółności: mała skrzyneczka z okuciami z brązu, zegar — cacko niezrównane ze słynnej epoki, dzisiaj oniemiały i bez wskazówek, jak gdyby czas pożarł własne, śliczne dziecko.

Jakaś dawno miniona świetność, ocalona z pogromu, wyrwana ze zniszczenia, tułała się tutaj, skazana na współzycie z czymś, co jeszcze nie było tandetą, lecz się nią przecież stanie, skoro tylko pracowita i baczna ręka przestanie to gładzić i czyścić, i dodawać temu blasku. Podrabianie dobrego smaku i prestiżu byłoby się temu zbiorowisku łatwiej udawało w mroku, dom jednak był jasny i pełno w nim było słońca — widać było, że pani Zawidzka stara się uczynić wszystko, by zatrzeć zbyt dotkliwe różnice między czcigodną, w pięknie rozkochaną dawnością i nowoczesnością zuchwałą, byle jaką i nieukrywającą swego mizernego pochodzenia. Z niezrównanym smutkiem próbowała odsłonić w starzyźnie to, co w niej było piękne, a we wszystkim nowym zakryć to, co pospolite. Śliczne koronki i subtelne hafty stroiły sprzęty smętne i tanie. Mnóstwo kwiatów wołało spojrzenie ku sobie, aby nie powędrowało gdzie indziej.

Ewci podobało się wszystko, nawet stół z fałszywego mahoniu, który jej się wydał meblem królewskim wobec stołu w pracowni jej ojca. Z owego stołu nie wolno było nigdy zabrać najdrobniejszej rzeczy, stał się przeto po latach zbiorowiskiem papierów, książek, próbek, pudełek i pudełeczek, flaszek i flaszeczek, stosów listów i starych

<sup>63</sup>legawiec — pies myśliwski wystawiający zwierzynę. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>Wisła — najdłuższa polska rzeka. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>zadzierzysty a. zadzierzysty (daw.) — zadziorny. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>szych (daw.) — pozorna świetność. [przypis edytorski]

gazet. Geolog, wnioskując z pokładów tego obfitego śmietnika, mógł łatwo odczytać jego wiek — jak wiek Ziemi. Jedno tylko Ewcię zdziwiło: Jerzy, wodząc ją po wszystkich pokojach, przystawał i głośno wydawał okrzyki, wskazując jej rozsiadłą szafę, zegar i jakiś fotel dziwnego kształtu, bez słowa zaś mijał czeredę innych sprzętów. Na te starożytności patrzył jakby z rozczuleniem. Poglądził lśniąca gorącym blaskiem szafę i rzekł cicho:

— Moja matka dostała ją w wyprawie ślubnej... A przedtem dostała ją moja babka... A przed babką... Chodźmy na górę! — rzekł niespodziewanie. — Ale, ale... Czy Ewcia jest gotowa na śmierć?

— Na śmierć? Czemu?

— Bo teraz pójdziemy do mojej pracowni. Ha! Zdarzało się czasem, że człowiek, który tam wszedł niespodzianie, dostawał pomieszania zmysłów najmniej na trzy dni. Nieboszeczka ciotka, ta, która mi przepowiedziała niesławny koniec w kryminale, krzyknęła i spadła ze schodów. Pani się nie boi?

— Nic a nic! — zaśmiała się Ewcia.

— Ależ tam są moje obrazy!

— Tym chętniej tam pójde.

— Dziewczyno! — mówił Jerzy ponuro. — Wszelka odwaga ma swoje granice. Czy pani wie, dlaczego dookoła nas, wzdłuż całej ulicy, różne opryszki kradną róże, a u nas nigdy?

— Bo zapewne w ogrodzie jest pies!

— Nie ma żadnego psa. Natomiast moja genialna matka wpadła na genialny pomysł i na cały dzień wystawia w ogrodzie dwa albo trzy moje obrazy. Złodziej przełazi przez ogrodzenie, spojrzy i jakby w niego piorun trzasnął. Potem ucieka, nie mogąc znieść przeraźliwego widoku. W nocy jest gorzej, bo obrazu nie widać i wtedy ja czasem wychodzę do ogrodu i muszę szczeleć rozmaitymi głosami.

— O, jaki pan jest zabawny! — śmiała się Ewcia. — Chodźmy czym prędzej do pracowni.

— Dobrze, ale proszę pamiętać, że panią ostrzegłem i jeśli pani postrada zmysły, będzie się pani musiała leczyć na koszt własny. Proszę uważać, bo tu schody są tak strome jak drabina Jakuba<sup>67</sup>, co wiodła do nieba. Raz zaprosiłem do mojej pracowni jednego strasznego krytyka, który o mnie napisał, że gdyby krowa malowała ogonem, byłaby przy mnie Rafaelem<sup>68</sup>. Krytyk był krótkowidzem, więc miałem nadzieję, że na tych schodach zrobi sobie jakąś krzywdę. I nic sobie nie zrobił! Potem napisał, że niebacznie obraził nie mnie, lecz krowę, która jest zwierzęciem dobrotliwym i nikomu nie czyni krzywdy malowaniem. Tutaj jest moja pracownia...

Jerzy bredził bardzo wesoło, lecz Ewci wydawało się, że czyni to z przymusem. Spojrzała na niego ukradkiem i zauważyła z największym zdumieniem, że jest jakby wzruszony. Długo szukał klucza, a gdy wkładał go w otwór drzwi, ręce mu nieco drżały. Po jasnej jego twarzy przebiegła smuga cienia i powlokła ją powagą. Otworzył drzwi bardzo powoli, jakby z namysłem, i rzekł cicho:

— Proszę, niech Ewcia wejdzie...

Ewcia poczuła się dziwnie; odniosła niespodziane wrażenie, że to zgoła inny człowiek. Wesołość jego zgasła jak nagle zdmuchnięta lampa, ściszył mowę, jak gdyby jej wysokie, rozgłośnie tony stłumił surdynam<sup>69</sup>. Hałaśliwy przed chwilą i mocno stąpający, wchodził do pracowni bezszelestnie. I jej się udzielił ten nastrój. Nie widziała nigdy w życiu malarskiej pracowni. Pewnie i tu, pod opieką pani Zawidzkiej, jest tak czysto, że się wszystko szkli i błyszczą, a na stoliku goreją róże.

Gdy weszła, przystanęła zdumiona — od razu stanęła jej przed oczami pracownia ojca, z całym obłąkanym nieładem. Pomieszczenie było niewielkie, a jedną całą ścianę miało ze szkła, tak zaś było zatłoczone, że trudno się w nim było poruszać. Na honorowym miejscu sterczała zabrudzona paka, a na niej rozkraczony fotel. Na ścianach obrazy

Artysta, Przemiana

<sup>67</sup>Jakub a. Izrael — patriarcha biblijny, którego dzieje przedstawia Księga Rodzaju; we śnie zobaczył drabinę sięgającą nieba, po której chodzili aniołowie, a na jej szczycie znajdował się Bóg. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>Rafaël właśc. *Raffaello Santi* a. *Raffaello Sanzio* (1483–1520) — włoski malarz i architekt renesansowy. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>surdyna — tłumik. [przypis edytorski]

bez ram, krzywo zawieszono, pod ścianami dziesiątki obszarów, które przyjęły jako hasło zawołanie: „Frontem do ściany!”. Ostra woń farb, oleju i terpentyny przesycała powietrze.

— Śliczna pracownia, nieprawda? — rzekł cicho malarz.

Ewcia, pomyślawszy, że ten człowiek kpi albo pyta o drogę do zakładu obłąkanych, spojrziała na niego szybko, lecz ujrawszy na jego twarzy szczęśliwy uśmiech cichego zachwyty, pojęła, że nigdy nie mówił poważniej.

— Trochę tu jakoś... — mówiła niepewnie. — Trochę nieporządku...

— A ja bym tego śmietnika — odrzekł on z roztkliwieniem — nie oddał za wszystkie pałace świata.

— A może by okno... Może by otworzyć...

— Po co?

— Bo tu czuć terpentynę.

— No to co? Róże nie pachną piękniej...

Mówiąc to, zaśmiał się niskim, bulgocącym śmiechem, najwyraźniej szczęśliwy.

— A matka pańska pozwala, aby tu tak jakoś...

— Moja matka wie przecież, że jestem malarzem.

— A czy u każdego malarza jest tak jak tu?

— Broń Boże! Niektórzy malarze mają pracownie świetniejsze niż najbardziej eleganckie salony. Ja jednak jestem na dorobku. Muszę najpierw nauczyć się malować, a potem dopiero...

— A czy pan mi pokaże swoje obrazy?

Zuchwały dryblas, co ją gonił dzisiejszego ranka jak ogar zająca, miał w tej chwili minę nieśmiałej panienci. Wprawdzie gdyby jakakolwiek panienka miała jego wzrost i nogi, i jego oszalałą czuprynę, powiesiłaby się czym prędzej na wysokim drzewie z rozpaczą i wstydu, lecz każda — najpiękniejsza nawet — panienka pożyczylaby od niego na wielkie występy ten uroczy uśmiech, na poły nieśmiały, na poły niewinny, i ten lekki rumieniec, co zabarwił jego twarz.

— Jeśli pani to zniesie... — rzekł ściszym głosem. — Niech się Ewcia wygramoli na tę pakę po mydle i usiądzie w fotelu. Tylko proszę się bardzo nie wiercić, gdyż podstawa jest chwiejna i grozi skręceniem karku. Sędzia Heli<sup>70</sup> w *Starym Testamencie* też zleciał tylko z krzesła i wyzionął ducha. Już?

— Już!

Malarz był wyraźnie poruszony. Znowu zaczął nadrabiać humorem, lecz widać było, że jest przejęty; wprawdzie na pace siedział tylko podłotek z zadartym nosem, znający się na malarstwie tyle co przysłowiowa kura na pieprzu (czego już nie można powiedzieć o indykach, które przemyślni ludzie leczą masłem pomieszanym z pieprzem), lecz malarzowi było wszystko jedno. Każdy widz byłby go napenił niezrozumiałą trwogą. Wyszukał pod ścianą jakieś płótno i ustawił w świetle.

— Boże, jakie to śliczne! — wykrzyknęła Ewcia.

Na płótnie namalowana była jedna jedyna gałąź brzozy, skrzycona jakby w bólu. Wichry zapewne taki nadały jej kształt, że przypominała ramię formingi<sup>71</sup>, a długie gałązki spływały ku dołowi jak struny. Listki zaznaczone były delikatnie, jakby tylko muśnięciem. Całe płótno było srebrzyste, jak gdyby światło z niewidzialnego łało się księżycą. Niewysłowiona subtelność tego obrazu przypominała zamglone, niczym wiotkimi mgłami powleczone, obrazy japońskie. Jedna gałąź stała się malowanym poematem.

— Naprawdę? — zapytał cicho Jerzy.

— O, naprawdę! — powtórzyła dziewczyna z taką nieobłudną szczerością w zachwyconym wykrzykniku, że się malarz zarumienił.

Spoglądał na swój obraz przez dłuższą chwilę i ustawił go potem pod ścianą z cichym westchnieniem. Teraz już się nie ościagał i nie czynił gadanych wstępów. W milczeniu, poważnym i skupionym, wybierał ze sterty płócien te, które mu się wydały godnymi „publicznego” pokazu. Wypatrzwszy w ścianie potężny hak, zawieszał na nim obrazy, jeden po drugim. Za każdym razem Ewcia pokrzykiwała, gorąco sławiąc wschody i zachody,

<sup>70</sup>Heli — biblijny arcykapłan i sędzia Izraela, potomek Aarona; wg przekazów rzeczywiście upadł, złamał kark i wskutek tego zmarł, jednak stało się to po otrzymaniu wieści o śmierci synów, a Heli miał wówczas 98 lat. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>forminga a. gitara — starogrecki instrument muzyczny podobny do liry. [przypis edytorski]

góry, lasy i wodę. Na widok obrazu, przez który przepływały ogromne, nabrzmiałe, białe, wysokie, letnie chmury, taki w niej rozgorzał zachwyty, że zatrzęsł nią, ona zatrzęsła fotel, a fotel — paką po mydle. Malarz jednak tak był przejęty, że najmniejszej na to nie zwrócił uwagi, jak gdyby zapomniał, że w pracowni jest jeszcze ktoś prócz niego, chmur i słońca. On sam nie oglądał tych obrazów już od dawna, więc sobie przypominał, kiedy i jak je malował. Ewcia, widząc, że malarz zaczyna gadać o czymś sam do siebie, ucichła i patrzyła w oszołomionym zdumieniu na to kolorowe bogactwo. Jedynym świetnym obrazem, jaki widziała w niedawnym czasie, było malowidło w domu pani Szymbartowej, wyobrażające bardzo czerwony, sosnowy las, po którym przechadzały się sarny, serdecznie zdumione widokiem ogromnych jak damskie kapelusze, nakrapianych muchomorów. Sarny miały bardzo wyłupiaste ślepie, a drzewa rosły tak przedziwnie, że perspektywa lasu była — wedle pewnego wybornego określenia — „perspektywą biblijną”, gdyż pierwsze były ostatnimi, a ostatnie pierwszymi. Teraz zaczęły przed jej zdumionymi oczami kłębić się tęcze, perlily się świty i czerwieniły się zachody. Malarz coraz więcej pokazywał obrazów. Ten i ów ocierał z kurzu rękawem lub też przyglądał mu się z niechęcią; niektóre ciskał z niecierpliwą pasją pod ścianę.

Pokaz trwał już chyba całą godzinę. Ewci zaczęło się zdawać, że mała pracownica zarosła lasem, a pod pułapem kłębią się chmury. Kolory zaczęły krążyć przed jej oczami i wirować, omiotły ją i owinęły jak wstęgi. W pracowni było gorąco i duszno, a od obrazów, napojonych słońcem, zdawało się przybywać ciepła. Jerzy, widząc, wcale tego nie odczuwał, bo otarłszy pot z czoła, począł grzebać w nowej stercie. Odrzucił trzy obrazy, wzruszywszy przy tym ramionami, lecz w pewnej chwili twarz mu się rozjaśniła. Dźwignął wielkie płótno i z nie byle jakim trudem zawiesił je na haku.

— Niech Ewcia patrzy! — rzekł z dumą.

Ponieważ Ewcia nie odpowiedziała na wezwanie cienkim okrzykiem grubego zachwyty, Jerzy spojrzął w jej stronę, przez krótką chwilę żywiąc nadzieję, że oszalamiająca piękność jego obrazu odjęła dziewczynie głos albo może niebotyczny swój zachwyty wykrzykuje rękami.

Ewcia spała.

Oparła głowinę o grzbiet fotela i zapadła w sen jak w głęboką wodę. Oddychała spokojnie i równo.

Malarzem w pierwszej chwili zatrzęsło oburzenie, było bowiem wielce prawdopodobne, że dziewczyna śpi już od dłuższego czasu, podczas kiedy on pokazywał jej dziesiątki płócien. Patrzył na nią zagniewany, lecz powoli twarz mu się rozjaśniła. Pomyślał dobrotnie, że ten berbec<sup>72</sup> przeżył tyle niezwykłych zdarzeń i tak się pewnie umęczył, iż dzielny jej duch musiał w niej wreszcie opaść jak żagiel bez wiatru. A on wpadł na pomysł, aby pokazywać obrazy?

— Koń by nie wytrzymał, cóż dopiero takie damskie chuchro! — rzekł sam do siebie całkiem rozumnie.

Ostrożnie, aby nie czynić hałasu, postawił obraz pod ścianą i wyszedł na palcach z pracowni.

Ewcia spała mocno jak stróż nocny, któremu polecono pilnować domu, albo jak rodzona siostra siedmiu braci śpiących<sup>73</sup>. W pewnej chwili jednak opadły ją senne widziadła. Śniło się jej, że siedząc okrakiem na chmurze, ucieka jak na koniu, a ogromny potwór na niezmiernie długich nogach ściga ją zawzięcie i ciska za nią obrazami. Można to było zdzierżyć, jak długo rzucał obrazami przyzwoitych rozmiarów; kiedy jednak ów straszliwiec zamierzył się w jej stronę okropnym malowidłem, wielkim jak pół nieba, krzyknęła z trwogi i zleciała z chmury na łeb. Rozległ się trzask i dudnienie, jak gdyby cały świat walił się w przepaść, a ona wraz z nim. Bystry rozum ludzki byłby jej wyjaśnił, że rzucając się w niespokojnym śnie, wprawiła w ruch pustą (i wskutek tego niestabilną) pakę po mydle, a złośliwość rzeczy martwych, do których nauka musi zaliczyć i pakę, jak tak wielka, że owo pudło nabrało znienacka brzydkich przywar dzikiego mustanga, co staje dęba, aby z grzbietu zrzucić jeźdźca. Fotel, na którym spała Ewcia, runął tak, jak czasem

<sup>72</sup>berbec (pot.) — małe dziecko. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>siedmiu braci śpiących — odniesienie do legendy o siedmiu młodzieńcach, którzy w czasach prześladowań chrześcijan skryli się przed rzymskimi żołnierzami w jaskini i zostali tam zamurovani żywcem; zapadli w trwający dwieście lat sen, a gdy się zbudzili, chrześcijaństwo było dominującą religią. [przypis edytorski]

padają trony, a ona znalazła się w strasznym poniżeniu strąconej królowej, co zadartym nosem dotknęła prochu ziemi.

Ewcia wydała okrzyk trwogi, który nie zmienił się od chwili, w której wyszedł z ust człowieka przedpotopowego, bardzo jeszcze kosmatego:

— Aj! Aj!

Rozszerzonymi oczami patrzyła dookoła siebie, nie mogąc zrozumieć, gdzie się znajduje. Należy przyznać z szacunkiem dla jej bystrości, że przypomniała sobie o wszystkim niezwykle szybko — obejrzała się przeto za siebie, szukając malarza.

— O, nędzna istoto! — szepnęła z goryczą pod własnym adresem.

Malarz odszedł — oczywiście — z sercem rozdartym i pełnym żalu. Słusznie uczyni, jeśli ją obrzuci spojrzeniem pełnym pogardy i już nie przemówi do niej marnego słowa.

Gdy zesła cichutko z wysokości „siódmego nieba”, w którym mieszkał jedyny, ale za to wątpliwy anioł — malarz, usłyszała jego rozmowę z matką.

— Niech mama patrzy — zawołał na widok Ewci — oto idzie ta, którą tak oślepiły moje obrazy, że z zachwyty wpadła w głębokie omdlenie!

— Bardzo pana przepraszam — bąknęła Ewcia.

— Za co? Inni ludzie ich na widok dostawali kręćka i albo wyrwali sobie włosy z głowy, albo też w przystępie szaleństwa usiłovali je wyrwać z mojej. Jak się spało?

— Dziękuję... Byłam bardzo zmęczona.

— Nie martw się, moje dziecko — wtrąciła pani Zawidzka. — Trzeba takiego barbarzyńcy, jakim jest Jerzy, aby do twoich zmartwień dodawać jeszcze jedno, i to najgorszego gatunku.

— Matko! — zawył Jerzy. — Syn twój cierpi!

— Niech cierpi, skoro jest pomyłony. Słuchaj no, Ewciu, rozmówiłam się z panią Szymbartową. Usiądź i posłuchaj. Pani Szymbartowa jest kobietą popędliwą, ale to nieszczęśliwa istota. Zgryzoty wytrąciły ją cokolwiek z równowagi. Jej córka jest mocno chora, a matka zamiast ją uczciwie leczyć, na najdziwniejsze wpada pomysły. Wiesz zresztą sama o tym. Biedna kobieta, ale jeszcze biedniejsza jest jej córka.

— Czy pani ją widziała? — zapytała Ewcia z pośpiechem.

— Tak, widziałam. Płakać mi się chciało, ale nawet na to nie było dość czasu, bo pani Szymbartowa płakała... Z twojego powodu!

— Czemu, proszę pani? — pytała Ewcia z przestraczem.

— Z powodu twojej rzekomej niewdzięczności. Twierdziła, że było ci u niej jak u rozdanej matki.

— Dobra mamusia! — mruknął Jerzy.

— Stańło wreszcie na tym, że pozostaniesz u nas, ale na jakiś tydzień przed powrotem ojca wrócisz do pani Szymbartowej.

— Przez czyściec wejdiesz do nieba! — mruknął Jerzy. — Zresztą odrobina smoły takiemu diablęciu nie zawadzi.

— Jerzy, nie przeszkadzaj. Myślę, moje dziecko, że na to trzeba się będzie zgodzić. Co to jeszcze? Aha! Listy do ciebie będą w dalszym ciągu przychodziły do pani Szymbartowej, a jej mąż będzie je tu dostarczał. Twoje rzeczy też ci tutaj odniosą. Pozostała poza tym do rozwikłania sprawa najdrażliwsza: kwestia pieniędzy. Twój ojciec zapłacił z góry za twoje utrzymanie...

— Taki mądry człowiek, a tak lekkomyślny! — krzyknął Jerzy.

— Otóż pani Szymbartowa nie może ci zwrócić tych pieniędzy, chociażby nawet chciała, bo już ich nie ma. Trudno! Nie należy się tym przejmować. Podzielimy się z tobą, drogie dziecko, tym, co mamy, a z ojcem jakoś się potem porachujemy.

— Dla kilku krytyków potrzebować będę trochę cholery — mruczał Jerzy. — Myślę, że mi szlachetny rodzic nie odmówi.

Pani Zawidzka machnęła w stronę niesfornego syna ręką, jak gdyby odpędzała muchę.

— Uważamy przeto całą sprawę za skończoną. Ach, jeszcze tylko.... Moje dziecko! Myślę, że mimo nieporozumień z panią Szymbartową powinnaś jednak od czasu do czasu odwiedzić jej biedną córkę. To naprawdę nieszczęśliwe stworzenie.

— Najchętniej, proszę pani! Będę udawała jak gdyby nigdy nic.

— Doskonale! Wiedziałam, że tak odpowiesz. Jestem bardzo, bardzo zadowolona. A teraz chodźmy na obiad.

Przedtem jednak Ewcia rzuciła się na szyję pani Zawidzkiej.

— Czym ja się pani odwdzięczę, droga, złota pani! — szepnęła cicho.

— Dość, straszliwa kreaturo! — wrzasnął Jerzy. — Udusisz mi matkę! Poza tym mogłabyś uściskać mnie, bo gdyby nie ja...

— Najchętniej! — zawołała Ewcia.

— W takim razie włącz panna na krzesło, bo ja cię podnosić nie będę — rzekł Jerzy ponuro.

Lecz Ewcia jednym sprężystym skokiem odbiła się od matki ziemi i zawisła na jego szyi, znajdującej się na takiej wysokości, że jej chude nogi wisiały w powietrzu. On się zarumienił jak panna i postawił ją na podłodze.

— Czy mama pozwoli — rzekł głosem z brzucha — aby rozmaite podlotki wprawiały się na mnie w całowaniu wybitnie przystojnych mężczyzn?

— Głupi jesteś, przystojny mężczyzno! — śmiała się pani Zawidzka. — Chodźmy jeść.

— Straciłem apetyt! — rzekł Jerzy.

— Ja tym bardziej! — odrzekła Ewa wesoło.

Jerzy na widok potraw chwycił się rękami za głowę.

— Matko jedynego Grakcha<sup>74</sup>! — wołał. — Znowu post?

— Post, bo piątek...

— Znowu piątek? Może być zresztą, że dzisiaj jest piątek, ale jutro będzie sobota i też będzie post, a pojutrze będzie niedziela i znowu będziemy jedli jakieś rybnie zwłoki. Ha! Czemu się ta osoba ze mnie naśmiewa? Ta osoba nie wie, ale wkrótce się dowie, że moja mama każe pościć uczciwemu malarzowi nie tylko we środy i piątki, ale przed świętem i po święcie, przed plombowaniem zęba, przed kupnem nowego parasola, przed zrównaniem dnia z nocą, przed zaćmieniem słońca i księżycy, przed podróżą, w czasie podróży i po podróży, przed dniem dobroci dla zwierząt...

— Człowieku, przestań!

— Nie mogę. Dusza we mnie lka... Krwi, krwi! Mięsa i krwi! Matko, co to za martwa natura?

— Szczupak.

— Hańba temu idiocie! Niech mama powie tej osobie, że jeśli się będzie śmiała podczas jedzenia wieloryba, łatwo się może udławić. Dziury w niebie nie będzie, bo na świecie będzie spokojniej...

— Och, jaki pan śmieszny!

— Słyszysz mama? Wykarmiłem węża na własnej piersi! Wąż to też postne indywiduum. Można jeszcze wziąć kawałek tego bałwana szczupaka czy ma zostać na jutrzejszy post?

— Można, można — śmiała się pani Zawidzka.

Ewcia była rozpromieniona. Tak tu było wesoło i miło, że dziewczyna śmiała się ze szczęścia. Ten Jerzy jest rozkoszny. Przez cały czas stroił mordercze miny, a spojrzenie miał rozigrane i pełne radosnej pustoty. Patrzył na matkę z niezmierną miłością, a ona na niego ze słodką czułością.

Tak było i nazajutrz, tak było dnia następnego. Zdawało się, że szczęście jak jaskółka ulepiło sobie gniazdo pod okapem tego domu. Malarz napełniał go zgiełkiem i śmiechem. Gdy się zamknął w pracowni, słychać było stamtąd jego okrzyki, chociaż był sam. Dobrotliwie naigrawał się z Ewci, której się zdawało, że zna tych dwoje od najpierwszych swoich dni i że mieszka w ich domu od wielu lat. Na łajdackie przymówki Jerzego odpowiadała wesoło, lecz zazwyczaj pyskаты malarz nikogo nie dopuszczał do słowa.

— Odpowiedz wreszcie — rzekła pani Zawidzka — co robiłeś w Zakopanem? Dużo namalowałeś?

— Dwa barany. Chciałem namalować trzy, ale jeden uciekł. Nie podobała mu się moja gęba. Poza tym starałem się policzyć Żydów, ale straciłem rachubę.

— A pstrągi pan jadł?

<sup>74</sup>matka jedynego Grakcha — odniesienie do braci Gajusza Gracchusa (ok. 152–121 p.n.e.) i Tyberiusza Gracchusa (162–133 p.n.e.), słynnych rzymskich trybunów ludowych i reformatorów; ich matka, Kornelia, zwana „matką Grakchów”, uchodzi za pierwszą Rzymiankę, odgrywającą istotną rolę w swoich czasach i wpływającą na działalność polityczną synów. [przypis edytorski]

Jedzenie

Matka, Syn, Szczęście,  
Miłość

— Pstrągi? Przecież to ryby? Mam w domu dość ryb! Codziennie jadłem kielbasę, od rana do wieczora jadłem kielbasę. Budziłem się sześć razy w nocy i jadłem kielbasę. Słyszysz, matko! Zjadłem ze trzy kilogramy kielbasy. Słuchaj, Zadarty Nosie, jeśli mi nie wierzysz...

— Telefon! — rzekła pani Zawidzka. — Podejdz, Jureczku. Po co bierzesz widelec?

— Bo jeśli to jeden z moich przyjaciół, który mi od siedmiu lat winien siedem złotych, to mu wydlubię oko. Halo! Kto tam wisi na sznurku z drugiej strony? Kto? Och, bardzo przepraszam... Myślałem, że to któryś z moich kolegów... Bardzo przepraszam... Tak. Zawidzki...

Telefon stał na małym stoliku obok kredensu w tym samym pokoju. Ewcia zauważyła, że Jerzy spojrział znacząco w stronę matki. Potem słuchał uważnie. W pewnej chwili widelec wypadł z jego ręki. Odpowiadał półsłówkami, pociemniałym głosem. Bujna wesołość tak znikła z jego twarzy, jak gdyby ją zwał nagły wiatr.

Ewcia spojrzała na panią Zawidzką i zdjął ją lęk. Pani Zawidzka, jak gdyby już coś zrozumiała z tych półsłówek, wyraźnie pobladała; przestała jeść i nasłuchiwała czujnie.

Jerzy mówił:

— Tak, proszę pana... Pamiętamy... Lecz... Czy nie byłby pan tak dobry odwlec termin... Przecież to lato... Pisałem do pana z Zakopanego... Będzie trudno, bardzo trudno... Może częściej, może cokolwiek? Mój Boże!

— Mój Boże... — szepnęła pani Zawidzka jak smętne echo.

Ewcia wstrzymała oddech w piersi.

— Niech pan będzie dobry — mówił Jerzy głosem ciepłym, serdecznym i jakby błagalnym. — Będziemy się starać. Choćby spod ziemi...

Słuchał przez dłuższą chwilę głosu z oddali, po czym zakończył smutno:

— Trudno... Jak pan chce... Zegnam pana!

Stał przez chwilę ze słuchawką w ręce, jak gdyby nie wiedział, co z nią począć. Położył ją wreszcie na widelkach, jakby nie wiedząc, co czyni. Spojrzął na matkę wzrokiem zgasłym i rzekł cicho:

— Mudrowicz.

— Wiem — odpowiedziała pani Zawidzka.

Wesołość wyleciała przez otwarte okno jak spłoszony ptak. Oboje milczeli.

Ewcia, rozumiejąc, że stało się coś bardzo przykrego, podniosła się z krzesła i powiedziała cichutko:

— Czy ja mogę wyjść do ogrodu, proszę pani?

Pani Zawidzka spojrzała na nią jakby nagle obudzona.

— Tak, tak, moje dziecko... My tu jeszcze chwilę zostaniemy...

Ewcia starała się wyjść bez szmeru. Zdawało się jej, że na jej serce spadło coś ciężkiego. Na uśmiechnięte, od wielu dni po pierwszy szczęśliwe serce.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY, W KTÓRYM NIEUSTRASZONA DZIEWOJA WYPRAWIA SIĘ DO JASKINI SMOKA

Ewcia, siedząc przy otwartym oknie swojego pokoiku, który się znajdował na tej samej wysokości geograficznej co i pracownia Jerzego, zanurzyła się w zadumę jak w ciemne, styksowe<sup>75</sup> wody. Smętny stan jej ducha nie miał wprawdzie wpływu na lekkomyślny i zuchwały zarys jej nosa, na czole jednak usiłował wyorać dwie bruzdy. Starzy filozofowie mają zawsze pomarszczone czoła, młode panny jednakże ulegają tej katastrofie jedynie w najwyższej rozterce ducha, gdy na nie spada jastrząb troski, czad melancholii, sadza smutku, puchacz rozpaczy i gdy owego niewyrośniętego ducha gryzie szczur rozterki. Zwyczajny kmiołek rzekłby, że Ewcia miała ciężkie zmartwienie tak zagmatwane, splecione i wymyślne, że byle jak, skróconym sposobem wyrazić tego niepodobna. Od trzech dni pociemniało w jasnym domu, wszystko w nim zbladło i przycichło. Tak nagle milknie wszystko w domu, w którym ktoś jest śmiertelnie chory. Pani Zawidzka wychodziła rano, wpadała z powrotem w porze obiadu, znowu wychodziła i powracała dopiero wieczorem — znękana, straszliwie znużona i jak gdyby poszarzała. Długo w noc wiodła ściszone

<sup>75</sup>Styks — w mitologii greckiej główna rzeka Hadesu, przez którą przepływała się dusza nieboszczyka w drodze do krainy zmarłych. [przypis edytorski]

Przemiana,  
Niebezpieczeństwo, Strach

Dom, Smutek, Cisza,  
Milczenie

rozmowy z synem. Jerzy też wypadł jak gdyby na nagłe wyprawy, czasem rozmawiał przez telefon, głośno wykrzykując na początku rozmowy, niezmiennie jednak kończył ją głosem złamanym. Wczoraj sprowadził dorożkę, umieścił w niej sześć obrazów (Ewcia policzyła je pilnie) i wyjechał z nimi na całą połowę dnia.

Gdy powrócił, pomyślała z rozpaczą: „Pan Jerzy nie sprzedał ani jednego obrazu. Nawet tej cudownej brzozy...”

Zrozumiała z właściwym sobie sprytem, że jakaś pieniądze kłęska wisi nad domem. Zrobiło się jej strasznie. Przecież ona korzysta z niewysłowionej dobroci tych ludzi, a oni się szamocą i zmagają z jakimś niedostatkiem. Sprawa musi być ciężka. Widziała niejednokrotnie wspaniałe szalbierstwa cioci Halickiej, kiedy w pięcie pończochy używanej jako skarbonka ukazywało się dziurawe dno. Było to smutne, lecz nie było straszne. Sprawa Zawidzkich wygląda nawet we mgłę domysłów na tragedię, z której nie podźwignąłby się żaden finansowy geniusz cioci.

Co robić? Jak się zachować w tym rozpaczliwym położeniu? Przecież nie można siedzieć wygodnie i bezmyślnie patrzeć, jak się ci najlepsi ludzie miotają się niespokojnie niczym ryby w sieci. Pani Zawidzka przy spotkaniu gładzi ją po głowie i usiłuje uśmiechnąć się — czyni to jednak mimowolnie, krążąc myślą gdzieś daleko. Pan Jerzy chciał wczoraj zagadnąć do niej swoim zwyczajem wesoło, lecz słowa mu się cokolwiek pomieszały; nie dokończył zdania i zagłębił się w grubej książce telefonicznej. Nie wolno Ewci zapytać go wprost, co się dzieje. Gdyby chcieli, powiedzieliby jej sami. Nie są to jednakże ludzie, którzy się chętnie dzielą swoimi zmartwieniami. Radością podzieliliby się w tej chwili.

Pani Zawidzka wyszła rano i nie wróciła na obiad. Jerzy jest w domu, gdyż słyhać jego kroki. Chodzi i chodzi po pokoju. Zatrzymał się na chwilę w swoim pochodzie, bo zajął go widocznie zgiełk przed sąsiednim domem, oddzielonym od willi Zawidzkich niskim murem, zarosłym dzikim winem. Ewcia też spojrzała. Zajechał wóz meblowy wielkości arki Noego<sup>76</sup>. Ktoś się sprowadza do sąsiedniej willi. Niech się sprowadza. Mamy nieco większe zmartwienia niż przyglądanie się ludziom wnoszącym meble.

Ewcia rozpoczęła nowy okres gwałtownych rozmyślań i „robiła głową” — jak mówił pan Zagłoba<sup>77</sup>. Po dłuższej chwili bardzo wyczerpanej pracy ducha powzięła jakieś rozpaczliwe postanowienie. Poczęła grzebać w swoim zawiniątku, niezmiernie poważna i wielce zatroskana. Zeszła, ociągając się, na dół, przystanęła przy drzwiach, za którymi słyhać było kroki Jerzego, i lekko zapukała.

— Kto tam, do stu tysięcy! — krzyknął Jerzy.

— Oj! — jęknęła Ewcia i chciała uciec.

W tej chwili Jerzy gwałtownie otworzył drzwi.

— Ach, to Ewa... Proszę wejść.

Dziewczyna weszła, cisnąc do chudej piersi jeszcze chudszą torebkę.

— Ja tylko na chwileczkę, proszę pana. Ja chciałam tylko...

— Niech pani siada. Czy Ewci słabo?

— Troszeczkę... Proszę pana! — powiedziała głosem, w którym było równie dużo panieńskiego pisku, co i dorosłej rozpaczy. — Ja muszę się z panem rozmówić.

Jerzy spojrział ciekawie.

— Bardzo proszę. Czy to coś ważnego?

— To jest śmiertelnie ważne!

Jerzy uśmiechnął się błado i wskazał jej ręką krzesło.

— Może jednak łatwiej będzie na siedząco.

— Mnie wszystko jedno! — rzekła Ewcia dość potężnie. — Mogę usiąść...

— No? I cóż się stało?

— A właśnie że coś się stało, a ja nie wiem co. Wiem to jedynie, że i mamusia pana, i pan mają jakieś okropne zmartwienie, a ja na to nie mogę patrzeć, bo mi się serce kraje.

— Dobrze dziewczynisko! — rzekł Jerzy serdecznie cichym głosem. — Trudno zaprzeczyć. Mamy oboje małe zmartwienie, ale Ewcia na to nie poradzi...

— A może... Może chociażby w części...

<sup>76</sup>Noe — postać biblijna, patriarcha, człowiek prawy i sprawiedliwy; budowniczy słynnej arki, która miała uratować istoty żywe przed potopem. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>Zagłoba — bohater *Trylogii* Henryka Sienkiewicza (1846–1916), znany ze swego sprytu. [przypis edytorski]

— Nie rozumiem!  
— Ale ja rozumiem. Panie Jerzy kochany! Czy ja mogę mówić otwarcie?  
— Bardzo proszę, ale cóż Ewcia...  
— Więc będę mówiła. Bo ja nie mogę patrzeć... Płakać mi się chce na widok pani Zawidzkiej.

— Może i na mój widok też? — usiłował mówić żartobliwie Jerzy.  
— A żeby pan wiedział! Wygląda pan jak po ciężkiej chorobie. Panie Jerzy! Ja wiem, że idzie o pieniądze! — wykrzyknęła Ewcia niemal z rozpaczą.

— Przypuśćmy. No i cóż z tego? Niech Ewcia idzie do ogrodu i i policzy róże. Albo niech zobaczy, kto się tam sprowadza. Widziałem jakąś pannicę... A o tamtych sprawach nie mówmy!

— A właśnie że będziemy mówili. Chyba, że mnie pan wyrzuci przez okno. Niech się pan tak nie marszczy, bo ja się nie boję i jest mi wszystko jedno. Słyszysz pan, mnie jest wszystko jedno!

— Niechże Ewcia tak nie krzyczy, bo słychać na całą ulicę. Więc o cóż idzie? — dodał nieco opryskliwie.

— Idzie o to, że ziarno do ziarnka...

— Czy Ewcię głowa boli? Co znaczy to „ziarno do ziarnka”?

— To znaczy, że ja nie wiem, ile państwu trzeba pieniędzy. Ale pomyślałam sobie, że jeśli się wszyscy złożymy... Jeśli każdy, razem z kucharką, da, ile może, to się coś z tego zrobi. Przecież ja wyraźnie mówię... Niech się pan na mnie nie gniewa... Ja mam trzydzieści siedem złotych... Pamięta pan? Myślałam, że zgubiłam, ale się znalazły. Ach, i ten zegarek? Na co mi w lecie zegarek? Dobrze, że sobie przypomniałam o nim... O, niech pan tak na mnie nie patrzy... Przysięgam, że nie mam więcej! Ja wiem, że to śmiesznie mało, ale gdyby tak grosz do grosza... Aha! Ja mam bardzo zamożną koleżankę, która mi chętnie pożyczy nawet dwadzieścia złotych. Mogę sprzedać książki... A wie pan co? To będzie naprawdę świetnie! Nasze meble są w składzie do powrotu do tatusia. Ja je sprzedam! Nie są wprawdzie zbyt wspaniałe, ale jest tego mnóstwo. Zrobione! A tymczasem niech pan weźmie pieniądze i niech pan sprzeda ten zegarek.

Szybkim ruchem położyła na stole biedniutką portmonetkę i jeszcze szybszym sięgnęła z przegubu mizerny przyrząd do mierzenia wieczności.

Jerzy słuchał zdumiony i z równym zdumieniem patrzył. Obiema rękami oparł się o stół i spoglądał na nią z dziwnym spojrzeniem. Ewcia była czerwona ze wzruszenia i bliska płaczu z wielkiej trwogi. Rzekła cichutko:

— Może mnie pan nawet zabić, ale to pan wziąć musi.

— Dziecko drogie... — mówił Jerzy głębokim głosem — dziecko drogie...

Słowa te były takie jakieś okrągłe jak łyż.

— Więc pan się na mnie nie gniewa? — spytała nieśmiało.

Jerzy usiłował uśmiechnąć się, lecz nie mógł i wyprawiał z miłą gębą rozmaite sztuki. Czynił to przez dłuższą chwilę, zanim powiedział:

— Niech ci, boża kreaturo, Bóg zapłaci... Strasznie Ewcia jest dobra. Taka jak i ojciec... Wzruszyłaś mnie, kobieto... Weź jednak, cudowny małpiszonie, i te pieniądze, i ten śliczny zegarek, nie sprzedawaj książek i nie sprzedawaj mebli, bo ci tego nie wolno. Gdyby można sprzedać twoje złote serce, dałoby się za to kupić najmniej połowę świata, ale tą ofiarą, droga dziewczyno, niczego nie dokażesz.

— Jezus Maria! — jęknęła szeptem Ewcia.

— Tak, tak — mówił Jerzy zamyślony. — Sto takich zegarków też by było za mało. Chcesz wiedzieć czemu! Dobrze! Należysz do rodziny...

— O Boże!

— Teraz tym bardziej, po tym, co uczyniłaś, Ewuniu. Powiem ci wszystko. Otóż widzisz, dziewczyno, znalazłem się z matką w srogich tarapatach. Chciałem, żeby moja matka miała ten dom. Chorowała śmiertelnie, więc postanowiłem, że będzie miała spokój, słońce i tych kilka róż. Przeceniłem jednakże siły. Był czas, że sprzedawałem mnóstwo obrazów, więc mi było łatwo. Od dłuższego czasu jednakże pies nawet nie zapyta o obraz. Cudem boskim trzymałem tę chałupę w garści. Teraz jednak nie dam rady. Nie piję, nie palę, nie gram w karty. Tylko pracuję, a wszystko na nic. Widziałeś mo-

ją pracownię... Zamalowałem wiele kilometrów płótna i żywię nimi muchy. Muszę do końca roku zapłacić dziesięć tysięcy, a z tego dwa do dnia pierwszego lipca. Za pięć dni.

— W banku?

— Otóż właśnie, że nie w banku. Kto inny nas naciska.

— Pan Mudrowicz. Ja słyszałam niechęć.

— Tak, pan Mudrowicz. Ten człowiek wykupił nasz dług od naszych przyjaciół. Zrobił to w tajemnicy i dlaczego to uczynił, nie wiem. Było mi to zresztą obojętne, komu mam płacić, a że pan Mudrowicz jest jakimś dalekim krewnym mego ojca, zdawało mi się nawet, że w razie jakiegoś nieszczęścia łatwiej będzie rodzinie pójść na rękę niż bankowi, który nie ma zwyczaju rozczulać się nad kimkolwiek. Niestety, pomyliłem się. Pan Mudrowicz ma twarde serce i ciężką rękę. I słusznie. Jest w swoim prawie. A ja nie mogłem przypuszczać, że nadejdą tak gołe czasy. Któż się mógł spodziewać? Znalazłem się w potrzasku. Pan Mudrowicz zabierze dom.

— O Boże! Naprawdę?

— A dlaczegoż by nie? Jeśli mu w ciągu pięciu dni nie przyniosę dwóch tysięcy, a potem ośmiu, trzeba będzie... Nie ma czym mówić. Trudno! Mierzyłem siły na zamiary i dostałem po łbie.

— Czy nie można byłoby uprosić tego pana?

— Nie. Ze mną nie chce gadać, a mojej matki wczoraj też nie przyjął. To naprawdę twardy człowiek.

— I bogaty?

— Bardzo bogaty i sam jeden na świecie. Zgorzkniały i smutny. Ma jakiś żal do wszystkich i tak jest wpatrzony w pieniądze, że nigdy nie spojrzy na coś, co ich przypomina. W tym wypadku jednak tkwi jakiś mroczny zamysł. Czasem na ten temat nachodzą mnie złe myśli. Nie chciałbym krzywdzić nikogo niesłusznym posądzeniem, niekiedy jednak takie mam wrażenie, że on kupił nasz dług w nadziei, że nie będziemy mogli oddać. Jak gdyby chciał nas mieć w ręku... Zawsze był niemile zdziwiony, ile razy przynosiłem mu część długu. Ale to chyba moje przywidzenie...

— I co teraz będzie?

— Czy ja wiem? Mama biega w poszukiwaniu pieniędzy, ja dzwonię do wszystkich handlarzy, znajomych i nieznajomych. Nikogo już prawie nie ma, bo lato się zaczęło. U kilku byłem osobiście z obrazami...

— Wiem. Pan woził sześć obrazów... I tej ślicznej brzozy nikt nie chciał kupić?

— Nie chciał. Ten obraz jest wart między braćmi tysiąc złotych, gdyby bracia kupowali obrazy. Chciałem go sprzedać za trzysta. Nie udało się...

— O Boże jedyny! To jest straszne... A może pan Mudrowicz wzięłyby obrazy?

— A jemu to na co? W jego mieszkaniu wisi litografia, którą sobie wyciął z jakiegoś pisma, i dwie stare fotografie. Teraz, Ewuniu, wiesz wszystko. Ha, trudno. Mamy mi tylko strasznie żal. Ten dom to jej cała radość, a wiele jej w życiu nie miała, biedactwo. Od razu nas stąd nie wyświecą, ale wreszcie trzeba będzie wziąć kij pielgrzymi.

— Żadnej, żadnej nadziei?

— Odrobina. Trochę pieniędzy już mamy, poza tym może się jeszcze matce uda dzisiaj coś pożyczyć. Pojechała na wieś do przyjaciółki.

Ewcia zmarszczyła czoło na sposób najteższych filozofów. Ważyła coś we wspaniałej duszy, wreszcie powiedziała przenikliwym szeptem spiskowca:

— Czy pan mi powie, jak się mamie udało?

— Mogę dziewczynce powiedzieć. Ale czy to dobrze, że ja to w ogóle powiedziałem?

— Bardzo dobrze! Ja sobie teraz pójde i będę myślała...

— Nad czym?

— Wszystko jedno. Będę bardzo myślała. Potem się będę modliła. Do widzenia, panie Jerzy!

— Do widzenia, drogie dziecko. Podaj mi rękę. Jesteś zacna kobiecina... Wiedziałem, kogo gonić po ulicy. Aha! Jutro będzie Ewunia sama w domu, bo oboje z mamą pójdziemy na dalsze poszukiwania.

— Doskonale!

Z wypiekami na twarzy i ze srogą, ciężką tajemnicą w duszy wymknęła się Ewcia do swego pokoju, aby mroczne sprawy w mrocznej rozważyć samotności.

Interes, Podstęp, Pieniądz,  
Wróg

Pod wieczór usłyszała skrzypnięcie furtki i kroki na ogrodowej ścieżce.

„Pani Zawidzka wraca!”, pomyślała gorączkowo. „O Boże!”.

Zobaczyła ją dopiero wieczorem i spojrzawszy na jej twarz, drgnęła. Nie potrzeba już było beznadziejnego znaku Jerzego, aby pojąć, że wyprawa była daremna. Pani Zawidzka była bardzo zmęczona i niemal wyczerpana, starała się jednak uśmiechnąć. Ewcia czuła, że coś ją ciśnie za gardło i że się za chwilę rozplacze. Nie mogła przełknąć jedzenia, które jej się wydało gorzkie. Widziała, jak Jerzy spogląda na matkę ze wzruszoną troską i z przejmującym smutkiem. Rozmowa chwiała się niepewnie, jakby słowa były bezsilne.

Niespodziewana wizyta przyniosła im nieco ulgi. Przyszedł pan Szymbart, który przyniósł Ewci list od ciotki. Bardzo był przejęty i wciąż się kłaniał. Ciągnąc za włosy wyrazy, zdołał powiedzieć, że pani Szymbartowa wynalazła dla Zosi nowe, wyborne lekarstwo, które jej doradziła pewna roztropna przekupka. Medykament jest niepospolicie prosty, gdyż należy posiekać drobno dwa śledzie, rozgrzać je na patelni i przykładać na noc do chorych piersi dziewczyny. Ma to wyborne działać na prężność płuc i wywołuje gwałtowne poty; sól zawarta w śledziach posiada też moc dobroczynną.

— Czy nie lepiej by było wezwać lekarza? — zapytała pani Zawidzka.

— Oczywiście — rzekł nieśmiało pan Szymbart. — Ale żona moja boi się lekarzy. Powiada, że naturalne środki mogą zdziałać cudy, a dopiero z lekarzem wchodzi do domu choroba.

— A cóż pan na to?

— Ja? — zdumiał się pan Szymbart. — Ja się nie liczę. Moja żona ma nade mną niejaką przewagę wymowy.

— Ale tak nie można... Przecież zgubicie dziecko...

— Bóg je ocali — rzekł z powagą pan Szymbart. — A ja czekam takiej chwili, w której bym mógł wezwać lekarza. I uczynię to! Użyłem już dziesięciu sposobów, aby żonę wyprawić z domu na czas dłuższy, ale mi się dotąd nie udało. Ja wiem, że to straszne, proszę pani. Na ślepą miłość nie ma jednak rady. Nikt by nie uwierzył, że to wszystko jest możliwe, a jednak tak jest...

— Ja panu pomogę — rzekła z nikłym uśmiechem pani Zawidzka. — W tych dniach uczynić tego nie mogę, ale w najbliższej przyszłości zaproszę żonę pańską do siebie i do Ewci, a pan niech wtedy...

— Rozumiem! — zawołał pan Szymbart. — Tak się stanie! Czy to nie śmieszne, żeby w dwudziestym wieku leczono biedne dziecko posiekany mi śledziem? Ale ja się postawię! Daję pani słowo, że się postawię. Mam tego dość!

— Nareszcie! — mruknął Jerzy.

Pan Szymbart odchodził pokrzepiony na zwiędłym duchu i z gorącym zarzewiem buntu w zapadłej piersi. Ewcia odprowadziła go do furtki. Nagle chwyciła go za rękę i zaczęła szeptać:

— Panie Szymbart! Mam do pana wielką prośbę, ale niech się pan nie zdziwi!

— Mnie już nic nie zdoła zdziwić na tym świecie. Skoro mnie nie zdziwił śledź na gorąco...

— Niech pan mówi ciszej. Nie trzeba, żeby nas słyszano.

— Oj! — zdumiał się pan Szymbart niezwykle treściwie.

— Czy pan ma czas jutro rano?

— Ja mam zawsze czas. Gdyby czas był naprawdę pieniądzem, byłbym milionerem.

— To dobrze. Pan mi musi jutro pomóc.

— Jestem do usług. Co mam uczynić?

— Nic wielkiego! Niech się pan tu zjawi o dziesiątej rano.

— Z rewolwerem? Ja nie mam rewolweru.

— Obejdzie się. Potem coś stąd zabierzemy i pójdziemy razem.

— Przez drzwi czy przez okno? Bo jeśli znowu przez okno...

— Przez drzwi. Ja sama nie dam rady.

— Czy to pachnie kryminałem?

— Czemu ma pachnąć kryminałem?

— Albo ja wiem? Ty, dziewczyno, masz czasami straszliwe pomysły.

— To uczciwa sprawa! — szepnęła Ewcia z oburzeniem.

Choroba, Zabobony,  
Lekarz

Tajemnica

— Dzięki Bogu! Wprawdzie w więzieniu miałbym odrobinę spokoju, ale lato zapowiada się upalne. Więc o dziesiątej. Dobrze! Gdybym w nocy nawet umarł, to na rano zmartwychwstanę. Do widzenia!

Ewcia miała noc niespokojną, bo myśli jej krążyły obłąkanym lotem nietoperzy. Leżała z otwartymi oczami, gadając sama ze sobą przyciszonym głosem, jak ktoś, kto przygotowuje wielką mowę, którą ma wygłosić nazajutrz. Późno już było, lecz na dole jeszcze się nie ułożono do snu, na ogrodowej ścieżce bowiem jaśniała blada smuga światła z rozjarzonych okien. Ewcia usnęła wreszcie z myślą o dwojgu najlepszych ludzi, nad którymi w dzień kryształowo-błękitny zawisła ciężka chmura.

Obudziło ją ciche pukanie do drzwi.

— Ewciu — mówił Jerzy za drzwiami stłumionym głosem. — Czy Ewcia śpi?

— Nie, nie! Słucham.

— Ewcia wie, że się nie udało... Teraz ja z mamą wychodzę i nie wiem, kiedy wrócimy. Proszę pilnować domu i odbierać telefony. Gdyby dzwonił pan Mateusz... Ale to niemożliwe. W każdym razie proszę zapisać, kto dzwonił. Dobrze?

— Dobrze, panie Jerzy!

— Więc do widzenia.

— Zaraz, zaraz, jeszcze jedno. Niech pan poczeka!

Uchyliła drzwi i szepnęła:

— Proszę pana, a co ja mam robić, gdyby kto przyszedł i chciał kupić obrazy?

— Co takiego? — zaśmiał się Jerzy smutno. — Sprzedaj wszystkie!

— Pan mi pozwala?

— Pozwalam, obłąkana dziewczyno, pozwalam! Bądź zdrowa, bo mama woła.

Ewcia zaczęła odziewać się gorączkowo i szybko zbiegła na dół. Porwała książkę telefoniczną i szybko przerzucała kartki.

— Aha, jest! — szepnęła.

Przeczytała kilka razy bardzo uważnie, jak gdyby chciała sobie zapamiętać jakiś adres. Poszła potem do kuchni, gdzie dobrotliwa, z zatłuszczonym sercem kucharka tłumaczyła gorąco Rolmopsowi, że tak złodziejskiego psa nie spotkała w wędrówce żywota. Jednakże z zadowolonego jej oblicza i z przyjemnie uśmiechniętej psiej mordy można było wywnioskować, że para ta żyje w przykładowej zgodzie, albowiem łajdaki i nad wszelki podziw mądry kundel wniósł wiele urozmaicenia w nudny żywot kuchni. Ewcia oznajmiła dobrotliwej niewieście, że musi wybiec w pilnej sprawie i pozostawia dom na jej roztropnej głowie; ponieważ zaś dobrotliwa niewiasta zgodziła się chętnie na ułożenie tego ogromnego ciężaru na wskazanej części ciała, dziewczyna pobiegła na górę do pracowni. Zastanawiała się długo i głęboko. Napracowała się ciężko, przedstawiając obrazy, wybrała wreszcie dwa dużych rozmiarów: ową brzozę, którą uwielbiała, i huculską dziewczynę, która, odziana w przebogaty, barwny strój, patrzy w dal wzrokiem pełnym słodkiej, tęskniącej za czymś zadumy.

— To są arcydzieła! — powiedziała sama do siebie; związała je i z trudem zniosła na dół.

Za jakąś godzinę miał się zjawić pan Szymbart, czas ten jednak dłużył się Ewci nieprawdopodobnie. Dziewczyna biegała od okna do okna, siadała i wstawała. Usiłowała zjeść śniadanie, ale nie mogła.

„A może by się pomodlić?”, pomyślała.

W chwilę potem klęczała przed obrazkiem św. Tereski<sup>78</sup> i modliła się jakąś dziwną modlitwą, która była krótką i pogmatwaną historią zmartwień pani Zawidzkiej i gorącym wyrazem nadziei, że przecież taka cudowna święta, jak Tereska, nie dopuści do niesłychanej nieprawości, którą chce wyrządzić niejaki pan Mudrowicz. Nazwisko to Ewcia wyszeptwała dobitnie i wyraźnie, aby nie było pomyłki, gdyż pani Zawidzka mogła mieć inne zmartwienia — to jednak było na pierwszym planie. Inne mogą poczekać. Na wszelki wypadek powtórzyła tę niezwykłą modlitwę kilka razy. Co pewne, to pewne. Podniosła się z klęczek znacznie spokojniejsza i za chwilę pobiegła otworzyć furtkę panu Szymbartowi, który z punktualnością pośpiesznego pociągu zajechał przed dom.

<sup>78</sup>św. Teresa — prawdopodobnie chodzi o Świętą Teresę z Ávili (1515–1582), hiszpańską mistyczkę, karmelitankę, pisarkę kontrreformacji i teologa życia kontemplacyjnego. [przypis edytorski]

— Jestem, jak widzisz! — rzekł zgoła niepotrzebnie, bo i on był, i Ewcia widziała.  
— Bardzo panu dziękuję. Bardzo! Teraz musimy sprowadzić auto.  
— Auto? Patrzenie, patrzenie... To my mamy jechać? Doskonale! Czy zastanowiłaś się jednakże, Ewciu miła, że tylko pogotowie wozi ludzi za darmo, a tak się jakoś złożyło, że ja w tych czasach...

— Ja mam pieniądze — rzekła Ewcia z pośpiechem. — Zresztą nie pojedziemy daleko.

— A dokąd to mamy jechać? — pytał pan Szymbart ostrożnie.

— To jest wyprawa tajemnicza! — odpowiedziała Ewcia cicho.

— Oho! Może trzeba było nałożyć maskę na twarz? Mówiłem ci już wczoraj, że za twoje pomysły mogłabyś dostać złoty medal od stowarzyszenia wariatów. Gadajże, dziewczyno, co i jak?

— Wszystko panu powiem po drodze. Teraz weźmiemy z domu dość ciężki pakunek, wsadzimy do auta i pojedziemy na Stare Miasto<sup>79</sup>.

Pan Szymbart wzruszył ramionami.

— Jedźmy na Stare Miasto. Uprzedzam cię jednak, że jeśli mnie wciągniesz w jakąś kabałę<sup>80</sup>, wrzucę cię do Wisły, a ze Starego Miasta do Wisły niedaleko.

— Dobrze, ale teraz ja pobiegnę po auto, a pan niech tu czeka.

— A jeśli wyjdzie ktoś z domu, co mam robić?

— W domu nikogo nie ma! — zawołała Ewcia, wybiegając na ulicę.

„To wszystko razem jest mocno podejrzane”, myślał pan Szymbart ponuro. „Ale to mądra dziewczyna...”

Mądra dziewczyna wydawała po chwili gorączkowe polecenia, które pan Szymbart wykonywał w posłusznym milczeniu. Umieścił obrazy w wozie i dzierżył je pieczołowicie, bo szczególnie na zakrętach okazywały skłonności burzliwe.

— Proszę pana — mówiła Ewcia ściszym głosem. — To, co robię, robię za wiedzą pana Zawidzkiego. Jadę, aby sprzedać te obrazy.

— Aha!

— Ale to nie jest takie proste... Ten, komu chcę je sprzedać, wcale ich nie chce kupić.

— To ciekawe! To musi być dziwak...

— Wszystko jedno. Otóż pan mi pomoże wnieść te obrazy aż do drzwi jego mieszkania.

— Które piętro?

— Nie wiem. Zresztą to wszystko jedno. Potem ja wejść, a pan stanie po przeciwnej stronie ulicy i będzie patrzył w okna.

— A po cóż ja mam patrzeć w okna?

— Na wszelki wypadek. Muszę się panu przyznać, że ja się tego pana trochę boję. Może mi wyrządzić jakąś krzywdę. Gdybym przeto nie wyszła z tego domu po upływie godziny, niech pan woła o pomoc i sam prędko przybiegnie.

— A mówiłem, że bez rewolweru się nie obejdzie! — mruknął pan Szymbart. — Więc mam czekać przez godzinę?

— Tego nie wiem. Jeżeli będę pewna już po krótkim czasie, że nic mi nie grozi, wtedy dam panu znak chustką przez okno, trzykrotny znak.

— A wtedy co?

— Wtedy pan może pójść do domu.

— Bardzo ładnie. Powiedz mi jednak, co ja mam robić, jeżeli cię ów jegomość z miejsca udusi, o czym ja nie będę wiedział, bo dowiem się o tym dopiero po upływie godziny?

— Prawda, o tym nie pomyślałam. Ale chyba tego nie zrobi... Zaraz, zaraz, niech pomyślę... Aha! Tak będzie najlepiej. Gdy będę rozmawiała z tym panem, będę wciąż w pobliżu okna, w ten sposób będzie mnie pan cały czas widział.

— Niezupełnie. Okno może być od podwórza albo na bardzo wysokim piętrze. To też źle. Powiadam raz jeszcze, że mi się to wszystko nie podoba. Po co ty to wszystko robisz?

— Aby ratować dobrych ludzi od nieszczęścia.

<sup>79</sup>Stare Miasto — centralna, historyczna dzielnica Warszawy. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>kabała — tu: kłopoty, trudne położenie. [przypis edytorski]

— Ach, to tak? W takim razie wszystko w porządku, moje dziecko. A teraz ja wiem, co zrobić.

— Co, co?

— Od czasu do czasu zadzwonię do mieszkania tego pana pod byle jakim pretekstem i spenetruję jak i co.

— Doskonale!

— Musisz mi jednak powiedzieć, jak się ów jegomość nazywa.

— Mudrowicz. Stanisław Mudrowicz.

— Co takiego? — zawołał pan Szymbart. — Każ zawracać!

— Czemu? — spytała Ewcia z niepokojem. — Czy pan go zna?

— Wiem o nim dość, by ci oświadczyć uroczyście, że szkoda każdego twego słowa. To ponura osobistość — mówił pan Szymbart powoli, jak gdyby sobie coś przypomniał. — Odludek i człowiek dziwny, któremu, zdaje się, jedyną sprawią przyjemność, jeśli on może komuś innemu zrobić przykrość. Zdaje się, że to jego wyłączne zajęcie. Kiedyś podobno był inny, lecz od wielu lat zamknął się w swojej skorupie i dyszy nienawiścią do całego świata.

— Skąd pan o tym wie?

— Miałem przyjaciela, który był z nim spokrewniony. Wpadł w ruinę, chociaż pan Mudrowicz mógł go uratować jednym kiwnięciem palca. Mój przyjaciel błagał go i prosił...

— Ja mam zrobić to samo. O Boże! On jest też krewnym państwa Zawidzkich.

— Z tego widać, że doprowadzanie do ruiny krewnych jest jego szczególną zaletą. I ty jeszcze masz siłą wetknąć mu te obrazy? Biedna dziewczyno...

— Nie mam innego sposobu. Tak postanowiłam i tak zrobię. To jedyny ratunek dla pani Zawidzkiej, jeśli mi się nie uda wybłagać trochę litości u tego człowieka. Gdyby był inny sposób, wróciłabym natychmiast, ale go nie ma. Wszystko mi jedno, proszę pana! Przecież mnie nie zabije. A może to wszystko nieprawda, co o nim mówią.

— Dałby Bóg! Więc się nie cofniesz?

— Nie!

— Dobrze. Jesteś dzielna dziewczyna. Powiadają filozofowie, że gdzie diabeł nie może, tam ciebie pośle. Zrobione! Ja będę stał na straży i gdyby ten bandyta śmiał cię obrazić chociaż jednym słowem, ciężki będzie jego los. Ja, uważasz, Ewciu, tylko w domu jestem człowiek nieśmiały, lecz poza domem... Wszystko jedno... Dojeżdżamy.

— O Boże! Serce mi bije... Proszę pana, a jeśli go nie będzie w domu?

— Ślimak zawsze jest w domu — odrzekł niezwykle roztropnie pan Szymbart. — On podobno nigdy nie wychodzi ze swojej pieczary. To już tutaj... Wylaźmy! Trzymaj się, dziecko, bo cokolwiek zbladłaś. Myślę, że na takiego najlepiej od razu z gębą, a sądzę, że to potrafiś.

Wynieśli obrazy z auta, Ewcia stanęła na straży przy skarbie, a pan Szymbart poszedł na zwiady.

— Pierwsze piętro od frontu — szepnął, powróciwszy. — Ja sobie tam stanę, przed tym sklepikiem. Czy mam cię błogosławić? A pamiętaj o chustce. Nie bój się! Uważaj tylko, aby obrazów nie zabrał, a ciebie nie wypchnął na schody. Wtedy krzycz: „Ratunku! Bandyci” albo coś w tym stylu. Gdybyś go mogła łagodnie zakatrupić, każdy sąd cię uniewinni. Jazda! Ja poniosę obrazy...

— Potem pana ucałuję!

— Obejdzie się, jestem dzisiaj nieogolony.

Pan Szymbart poniosł obrazy po drewnianych schodach sędziwego i mrocznego domu aż pod drzwi, ma których widniała tabliczka z nazwiskiem Mudrowicza. Położył palec na ustach jak czujny spiskowiec, uśmiechnął się do Ewci, jakby jej chciał dodać odwagi, po czym zszedł cicho, stąpając ostrożnie, jak gdyby uciekał z więzienia.

Ewcia oddychała ciężko. Kilka razy chciała nacisnąć dzwonek, lecz cofała rękę. Pan Jerzy mówił o Mudrowiczu jedynie, że to twardy człowiek, pan Szymbart ją jednak przstraszył. To jakiś ponury człowiek. Ponury i złośliwy. Zdziwaczały i zły. Trudno! Niech będzie nawet najgorszy, a cofać się nie należy.

„Nic się gorszego stać nie może”, myślała Ewcia, „niż to, że się nie uda. Nikt nie będzie wiedział o niczym... W imię Ojca i Syna...”.

Dotknęła dzwonka leciutko, tak że ledwie zabrzączał. Nikt nie otwierał i nie było słyhać z mieszkania żadnego głosu. Zadzwoniła nieśmiało po raz drugi. Coś słyhać. Skrzypnęły jakieś drzwi, wreszcie dały się słyseć posuwiste kroki. Ewcia oparła się ręką o ścianę, bo się nogi pod nią zachwiały. Po długich zmaganiach z drzwiami zabrzączał łańcuszek ochronny. Ktoś uchylił nieco podwoje i starczy głos zapytał przez szparę:

— Kto tam?

— Do pana Mudrowicza — odrzekł niepewny i dziwnie cienki głos.

Niezwykła jego wysokość musiała zdumieć osobę za drzwiami, zapytała bowiem po chwili zdumienia:

— Panienska? Do pana Mudrowicza?

— Tak, w bardzo ważnej sprawie.

— Pan Mudrowicz chory, nikogo nie przyjmuje.

— Mnie musi przyjąć! — zawołała Ewcia głosem już nieco grubszym. — Zresztą ja coś przyniosłam — dodała szybko, kusząc niewidzialnego czarta.

Ów rozważał coś przez chwilę, po czym rzekł:

— Mogę pójść zapytać...

— Niech pan pójdzie, mój złocieńki! — prosiła Ewcia gorąco.

Tamten musiał po raz pierwszy w życiu usłyseć tak cudownie pieszczotliwe słowo, bo wydało się Ewci, że poszedł nieco szybciej, niż się zbliżał ku drzwiom.

Po długiej, bardzo długiej chwili powrócił i otworzył drzwi szeroko.

„Raz kozie śmierć!”, pomyślała Ewcia i chwyciła obrazy.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY, W KTÓRYM PANNA EWA HANDLUJE OBRAZAMI, CHOCIAŻ CHCIANO PRZYPIEC JEJ PIĘTY

Zdawało się jej, że się za nią zatrzasnęły drzwi więzienia — tyle bowiem słyhać było przy ich zamykaniu szcękę i brzęku zasuw i łańcuchów — i że jednym, jedynym krokiem przebyła granicę między latem i zimą. Lato było na świecie, na schodach jesień, a tuż za drzwiami zima: chłodna i ciemna. Dziewczynę ogarnęło niemiłe uczucie, że jest odcięta od przyjaznego świata, zalanego w tej chwili słońcem, i że to mieszkanie, do którego weszła, nie ma z jasnością i ze światem nic wspólnego. Wiedziała, że jest w jakimś przedpokoju, do którego żadne światło nie dochodzi, ten bowiem blask mleczno-mętny, co usiłować się przebić przez szybki nad jakimiś drzwiami, był najlichszą i urągliwą imitacją światła, blaskiem udanym, blaskiem pożyczonym. W tej chwili ten ktoś, kto ją wpuścił, przekreślił kontakt i zapalił elektryczną lampkę. Ewcia ujrzała wielkiego starowinę w czarnym, ciężkim i pracowicie zużyтым obleczeniu. Przypominał kościelnego sługę, co zapala świece. Twarz miał całkiem pocziwą, we wzroku natomiast — zamazłą, niebiesko-szklistą obojętność, jak gdyby jakaś nieskończenie trwająca nuda zgasiła w jego oczach wszystkie błyski. Patrzył bez wyrazu, jakby te starcze, niemal porcelanowe oczy były sztuczne. Ani się uśmiechnął, ani się zdziwił, ani najmniejszego nie okazał zainteresowania. Zdaje się, że byłby patrzył tak samo, gdyby zamiast tej dziewczyny wszedł wilk na dwóch nogach albo Murzyn, wkraczający na rękach, głową w dół. Spojrzał bez drgnienia najpierw na osobę, potem na obrazy — i takim ruchem jak gdyby podniesienie ręki kosztowało go wiele trudu, wskazał na drzwi do jakiegoś pokoju.

— Może mi pan pomoże — szepnęła Ewcia nieśmiało.

Ów człowiek, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa dawno już był nieboszczykiem i wstał z grobu jedynie na natarczywy głos dzwonka, znowu spojrział na nią martwym wzrokiem. I, słowa nie wypowiedziawszy, dotknął ręką kontaktu, jakby chciał jej oznajmić, że jeśli będzie dłużej bawiła się zbędną rozmową, zgasi lampkę, bo szkoda światła. Ewcia, ciężko westchnąwszy, dźwignęła obrazy i uderzeniem kolana otworzyła wskazane jej drzwi. Ponieważ pierwszą spotkaną na tej drodze istotą przyjazną był piec, oparła o niego swój ciężar, a że w pokoju, w którym się znalazła, było jasno, gdyż okna wychodziły na ulicę, rozejrzała się szybkim, ciekawym spojrzeniem.

Sługa

Nie było nikogo. Czym prędzej na palcach podbiegła do okna. Pan Szymbart stał pod latarnią, nieruchomy jak i ona, i wzrokiem sroki, wpatrzonej w kość, spoglądał na dom. Dała mu znak ręką, że jeszcze żyje, na co on w odpowiedzi położył rękę na sercu (co wprawdzie nie było znakiem umówionym, wskazywało jednak zapewne, że sercem jest przy niej albo że wydrze serce z pana Mudrowicza). Ewcia cofnęła się i spłoszonym spojrzeniem objęła miejsce kaźni. Był to pokój niezmiernie długi i wąski, jak zwykle w starych domach. Powalę miał sklepioną. Wyglądał przeraźliwie: zapuszczony, smutny, odrapany, poczerniony nalotem kurzu, upstrzony przez zajadle pracowite, nieprzeliczone pokolenia much. Ktoś posiadający zwyrodniałą i na poły obłądną wyobraźnię mógłby się w tej ponurej, więziennej celi dopatrzeć czegoś takiego, co ma być pracownią. Na te manowce mógłby naprowadzić ciężki stół, rozparty szeroko jak znarowiona kobyła, na którym leżały sterty papierów, gazet i książek.

Aparat telefoniczny pośród tego natłoku makulatury wskazywał, że w strasznym tym pokoju przebywa czasem człowiek żywy. Pod ścianą stała kanapa, kryta ceratą, nabijana żółtymi gwoździemi. Przed nią leżał kilim tak wytarty jak pieniądz, jak szablon, jak słowa pośród banalnych najbardziej banalne; mogło się zdawać, że ten, kiedyś zapewne barwny, kawał tkaniny zgasł przed stu laty i przybrał kolor popiołu. W kącie stało żelazne wieszadło, szeroko rozgałęzione, a tak ogromne, że mogłoby udźwignąć kilku równocześnie wisielców. Ściany były puste; na jednej tylko, z lewej stromy okna wisiał z obrazkowego pisma wycięty, kolorowy druk, wyobrażający zielony las, a nad nim dwie fotografie — zdaje się, że tej samej kobiety. Biedna ta kobieta, skazana na dożywotni pobyt w więziennej celi, na jednej fotografii trzymała w ręku wachlarz, a na drugiej oparta była o bambusowy fotelik. O tych to wspaniałościach mówił Ewci Jerzy. Fotografie były spelzłe i wyblakłe, chociaż słońce nie zaglądało tu nigdy. Gdyby nawet mogło zajrzeć przez wysokie okno, cofnęłoby się z niesmakiem, lecz że pokój patrzył na północ, więc oszczędzono słońcu tej udręki.

Ewcia stała cichutko, niedaleko przyjaznego pieca, pogrążonego w zimnej zadumie, jakby chciała pilnować obrazów. Posłyszała jakieś szmery i szepty, dolatujące z pokoju obok, do którego drzwi były zamknięte. Stamtąd zapewne wyjdzie pan Mudrowicz. Czekala tej chwili z wielką trwogą. Oby już wszedł! Zdaje się jednakże, że w tej chwili słucha sprawozdania starego człowieka, co ma w oczach skład niebieskiej porcelany, albo też spogląda chyłkiem przez dziurkę od klucza.

Usłyszawszy głośniejszy szmer, Ewcia posunęła się nieznacznie ku oknu, aby mogła być widziana przez niezłomnego strażnika obozowego, pana Szymbarta. Później, po wejściu Mudrowicza, mogła nie mieć na to czasu. Myślała gorączkowo, jak zacznie mówić i co mu powie? Czy wpaść na niego od razu, jak radził roztropny pan Szymbart, czy — zależnie od przyjęcia — ocyganić go najmiłszym uśmiechem i pokorą pełną słodczy przebić twardą skorupę zółwia? Przybyło jej cokolwiek odwagi na widok żalobnego staruszka, który jej otworzył drzwi; gdyby bowiem jemu pan Mudrowicz polecił uczynienie jej krzywdy, staruszek ów dokonać tego nie zdąży, zaledwie bowiem porusza nogami. Będzie można zawsze uciec.

Na chwilę przestało jej bić serce. Zaczęła nasłuchiwać. Głos jakiś powiedział za drzwiami:

— Zajrzyj tam, czy czego nie kradnie!

Ewci krew uderzyła do wzburzonej głowy.

— Chyba piec ukradnie... — odrzekł głos drugi, smętny jak żalność i jak jesienna szaruga.

Nikt jednak nie wchodził. Widać, że pan Mudrowicz pocieszył się nieznacznie niemożliwością ukradzenia pieca. Mimo ulgi stęknął jednakże dwa razy, co mogło znaczyć, że wdziewa buty, albowiem niezłożona ta czynność połączona jest w podeszłym wieku z niejakim trudem, a liczba postękiwań odpowiada parzystej liczbie butów.

„Zaraz wejdzie...”, pomyślała Ewcia. „Boże, miej mnie w swojej opiece”.

Jeszcze to serdeczne westchnienie nie miało czasu, aby dolecieć do nieba, gdy drzwi otworzyły się z nienaoliwionym piskiem. Ewcia spojrziała i w pierwszej chwili chciała krzyknąć. Mocnym wysiłkiem opanowała się i na jeden moment przymknęła oczy, aby chociaż w ten sposób podzielić przerażenie na raty. W drzwiach stanął człowiek ogromnej

postaci, niezwykle chudy. Tak samo w niechlujną czerń przyodziany jak i jego famulus<sup>81</sup>, chudą wyniosłością przypominał Don Kichota<sup>82</sup>, który jednak wobec tego człowieka musiał być aniołem piękności. Zjawa we drzwiach mogła się przyśnić. Pan Mudrowicz był potwornie brzydki. Różne bywają rodzaje brzydoty, a ludzie wymyślili sobie na pociechę wątpliwe porzekadło, że mężczyzna, byleby był nieco przystojniejszy od diabła, nie przeraża świata. Ten człowiek był jednak brzydszy od diabła. Brzydota jego była posępna. Na twarz tę nie można było patrzeć bez dreszczu. Zdarza się czasem, że najciemniejszą brzydotę ratuje jakiś ciepły błysk oczu, jakiś poblask uśmiechu albo nawet nalot ciepłego smutku. Na posępnej twarzy pana Mudrowicza nie było choćby śladu bożej łaski. Zdarza się, że przyroda — jak gdyby sama zatrwożona brzydotą swojego tworu — daje mu czasem w formie odszkodowania jakiś drobiazg szczególnie piękny; w ten sposób zdobyła na ten przykład ropucha oczy podobne do klejnotów. Dla tego człowieka przyroda była bezlitosna.

Miał zapewne pod siedemdziesiątkę, lecz trzymał się prosto i głowę nosił z dumą i hardością — zapewne z odwagą rozpaczy. Musiał wiedzieć, że jest potwornie brzydki, więc na widok obcego człowieka nie kulił się, nie chował, nie malał, lecz spoglądał wyzywająco z blaskiem wściekłości w szarych, nielitościwych oczach. Zdawało się, że szuka zaczepki z całym światem; że jest pewny zdumienia i odrazy, więc od razu grozi. Nie mógł jednak ukryć zdziwienia na widok niepozornej istoty z zadartym nosem. Wiedział od swojego cerbera<sup>83</sup>, że się zjawiła osoba rodzaju damskiego, nie przypuszczał jednak, że w tak niedoskonalą jeszcze i niezupełnie wyrzeźbioną postaci. Spojrzał na nią z góry i zdawać się mogło przez chwilę, że się namyśla, co ma począć. Nie zelżał jednak, lecz zapytał głośno:

— W jakim celu panna mnie nachodzi?

Ku najwyższemu zdumieniu Ewci głos zabrzmiał dziwnie przyjemnie i dźwięcznie. Z postaci takiej powinien wypłynąć ton czarnej barwy, poza tym szorstki jak derka<sup>84</sup> na konie i zjeżdżony jak szczotka do podłogi, zaś głos tego dziwnego starca miał miękkość aksamitu. Ten głos był przeto miłosiernym darem przyrody.

— W bardzo ważnej sprawie! — odrzekła wreszcie i uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

— W ważnej sprawie... W ważnej sprawie... — powtórzył brzydki człowiek. — Każdy włóczęga przychodzi zawsze w niezmiernie ważnej sprawie!

Ewcia zwilżyła językiem zaschłe wargi. Powoli wracała jej nieco spłoszona przytomność i odważna dusza, wciąż gotowa do odlotu w jakieś bezpieczne schronienie (doświadczona ludzkość wynalazła je w okolicach pięt), powróciła do swego zwyczajnego siedliska.

W tej chwili wyniosły człowiek uczynił coś dziwnego: położył ciężkie ręce na jej ramionach, pochylił się nad nią i zbliżył swoją potworną twarz do jej twarzy.

— Proszę spojrzeć na mnie! — zawołał jakby z rozpaczą.

Ewcia wbiła wzrok w jego oczy i wytrzymała spojrzenie.

— Nie boisz się mnie, dziewczyno! — powiedział stłumionym głosem.

— Nie! — krzyknęła Ewcia. — Dlaczego mam się bać pana? — dodała po chwili ciszej.

Człowiek ten wydał z siebie głuchy jęk, patrzył na nią długo, długo, potem zdjął ręce z jej ramion.

Przez roztropny rozum Ewci przebiegła błyskawica. „Ten człowiek jest strasznie nie-szczęśliwy, bo jest potwornie brzydki! Dlatego pyta, czy go się boję... Ach, to tak?”

Największy filozof często nie znajdzie prawdy, którą odkryją sprytnie i niczym niezamglone oczy dziecka. Ewcia już wiedziała. Już się nie bała tego człowieka. Poczula dla niego wielką litość, rozumiejąc, że jego złośliwość i twardość są kolcami jeża, broniącego się przed zębami wroga. Ten stary, do murzyńskiego bałwana podobny starzec bronił się w ten dziwny sposób przed urąganiem i pośmiewiskiem.

Ewcia uśmiechnęła się z niejakim trudem i rzekła ze zdumiewającym spokojem:

— Czy pan mi pozwoli usiąść?

<sup>81</sup>famulus (daw.) — zaufany sługa. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>Don Kichot — tytułowy bohater powieści Miguela de Cervantesa (1547–1616). [przypis edytorski]

<sup>83</sup>cerber — surowy strażnik. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>derka — gruby koc. [przypis edytorski]

Myślała, że znowu się na nią rzuci, bo drgnął i podniósł długie ręce. Nie zrobił tego jednak ani nie wypowiedział słowa, lecz zmarszczywszy czoło, jakby w nagłym zamyśleniu, usiadł za stołem i patrzył, co ona uczyni. Ewcia, ufając, że tym sposobem zaprasza i ją do zajęcia wygodnej pozycji, usiadła na ceratowej kanapie, na wprost niego. Patrzyła śmiało, uśmiechając się kącikami ust. Była blada i czuła na czole kropelki potu, wiedziała jednak, że najgorsze minęło. Co jednak będzie dalej? On nie mówił nic, ona nie wiedziała, jak ma zacząć. Wesoła ta scena trwała bardzo długo. Wreszcie on rzekł:

— Pani jest odważna dziewczyna...

— Czemu, proszę pana? — zapytała niewinnie.

— Ile panienka ma lat? — mówił niskim głosem, nie odpowiadając na jej pytanie.

— Prawie szesnaście! A pan?

— Co to panią obchodzi?

— Przepraszam pana za pytanie. Nie chciałam pana dotknąć...

— Mnie nikt nie może dotknąć! — krzyknął ni stąd, ni zowąd i grzmotnął pięścią w stół.

— Już nie zapytam o nic — powiedziała Ewcia z takim niezmiernym smutkiem, jakby ją spotkało okropne nieszczęście.

Stary człowiek wzruszył ramionami i patrzył na nią przeraźliwym, świdrującym spojrzeniem, mrużąc coś niewyraźnie. Musiało się w mim jednak gotować jak smoła w diabelskim kotle, bo bulgotał przez czas dłuższy; potem znowu wybuchnął niespodzianie:

— Jak się pani nazywa?

— Ewa Tyszowska.

On zerwał się nagle z krzesła, jak gdyby chciał na nią wywrócić stół, i ponownie ciężko usiadł.

— Ewa? Powiedziała pani: „Ewa”? — mówił głosem dziwnie zdławionym.

— Tak, proszę pana.

Zapadło milczenie. Dziewczyna patrzyła zdumiona, jak ogromny człowiek tarł ręką czoło. Po chwili, nieznacznie, jakby ukrywając wzrok, kątem oka spojrzała na dwie stare fotografie.

„Ta pani musi mieć na imię Ewa!”, pomyślała dziewczyna. „Głowę dam, że to też Ewa...”.

Nie powiedziała jednak nic.

On znowu spojrzął na nią i chciał coś rzec, lecz urwał, bo w przedpokoju odezwał się natarczywy dzwonek. Słychać było posuwiste jak w polonezie kroki famulusa, potem jakąś żywą rozmowę i trzaśnięcie drzwiami.

— Pawle! — krzyknął Mudrowicz.

Strażnik piekielny ukazał się we drzwiach.

— Kto to był?

— Jakiś pomyłony. Pytał, czy tu mieszka najgłówniejszy kanonik<sup>85</sup> od świętego Jana<sup>86</sup>.

— Jaki kanonik?

— Nie wiem. Mówił, że najgłówniejszy. A zaglądał przy tym do środka jak szpicel.

— Wyrzuciłeś go za drzwi?

— Nie wyrzuciłem, bo sam poszedł.

— Dobrze.

Mumia, nosząca apostołskie imię, zamknęła drzwi.

„Dzielny pan Szymbart!”, pomyślała Ewcia. „Doskonale wymyślił tego kanonika”.

— Czemu się pani śmieje? — zapytał nagle pan Mudrowicz.

— Ja? Tak sobie... Bo mi bardzo przyjemnie...

Stary człowiek spojrzął na nią podejrzliwie i pokręcił głową.

„Czuj duch!”, pomyślała Ewcia. „Teraz się zacząć”.

On wstał i znowu usiadł, jakby sam nie wiedział, co począć. Zdaje się jednak, że coś wreszcie postanowił.

— Kto panienkę tu przysłał? — zapytał szybko.

<sup>85</sup>kanonik — duchowny świecki, członek kapituły przy katedrze. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>święty Jan a. Jan Chrzciciel, a. Jan Baptysta (ok. 6/2 p.n.e.–ok. 32) — żydowski pustelnik, prorok dla chrześcijan i muzułmanów, święty katolicki i prawosławny. [przypis edytorski]

— Nikt. Ja przyszłam sama.  
— Po co? Proszę mówić prawdę!  
— Z interesem.  
— Ja nie robię żadnych interesów, więc dlaczegoż właśnie do mnie?  
— To długa historia... Jeżeli pan pozwoli...  
— Na nic nie pozwolę! Słyszysz pani?! Na nic! W tym wszystkim jest jakieś kręctwo!  
— krzychał coraz donośniej. — Jestem za stary wróbel... A panna jest zbyt młoda, aby umiała zręcznie cyganić. Rozumie pani? Nie chcę słyszeć o niczym! O niczym! O niczym! Czy panna zrozumiała?

Ewcia patrzyła na niego spokojnie, chociaż nogi pod nią drżały.

— Proszę pana — mówiła głosem dość bladym — czemu pan tak na mnie krzyczy? Muszę z panem omówić bardzo ważną sprawę i nie wyjdę stąd, dopóki mnie pan nie wysłucha. Nie przyszłam ani kraść, ani żebrać. A jeśli pan będzie tak na mnie krzychał albo zechce mnie stąd usunąć siłą, wtedy zemdleję i będzie pan miał wielki kłopot.

Tamten otworzył usta w niezmiernym zdumieniu.

— Pawle! — wrzasnął w stronę drzwi.

Zjawił się Paweł jak duch z mroków. Ewcia patrzyła i słuchała z lękiem.

— Ta panna chce tutaj zemdleć. Słyszysz? Weźmiesz pogrzebacz z pieca i rozpalisz go na gazie do czerwoności. Miej go w pogotowiu! Skoro ta panna zemdleje, zdejmiesz jej obuwie i przypalisz pięty. Idź i czekaj, aż zawołam.

Zwrócił się potem do Ewci.

— Czy ona słyszała?

— Ona słyszała — odrzekła Ewcia.

— A teraz pójdzie sobie?

— Nie!

— Nie pójdzie?

— Nie. Jest mi tu bardzo przyjemnie. Pan jest bardzo wesoly, a ten Paweł to jakiś poczciwy człowiek. Wie pan co? Na gazie będzie grzał ten pogrzebacz najmniej z pół godziny, więc mamy czas. W piecu byłoby prędzej, ale po co w lecie rozpalać? Zresztą tu jest i tak duszno. Proszę pana! Tu się chyba nigdy nie wietrzy... Czy można otworzyć okno?

Nie czekając odpowiedzi, poczęła tarmosić stare, spaczone okno, zerkając równocześnie w stronę latarni. Jest pan Szymbart. Zobaczył ją i najwyraźniej mruga.

Okno zostało otwarte i małe lato weszło przez nie niechętnie i z ociąganiem się do smętnej izby, w której w tej chwili było dwoje ludzi niebotycznie zdumionych. Ewcia dlatego, że jej pan Mudrowicz dotąd nie udusił, i pan Mudrowicz — skamieniały, bez ruchu, zamieniony w słup soli, jak gdyby ogłupiały. Pierwsza odzyskała zmysły straszliwa dziewczyna. Usiadła na ceratowej kanapie, uśmiechnęła się jak gdyby nigdy nic i rzekła:

— Znacznie tu teraz przyjemniej. Przynajmniej będzie ciepło, bo w tych starych murach nawet w lecie jest zima.

Rozejrzała się po pokoju i udając, że nie zwraca uwagi na potworną minę pana Mudrowicza, gadała przyjaźnie:

— To bardzo piękny pokój, tylko zaniedbany, straszliwie zaniedbany! Nie wiem, ile pan płaci Pawłowi, ale ten nie ścierał tu kurzu od stu siedmiu lat. Jeżeli mi pan pozwoli, wpadnę raz na tydzień chociażby i zrobię porządek. Pawła trzeba wziąć pod kuratelę... Co się panu stało?

Pan Mudrowicz najwyraźniej rzeził. Wydawał dziwne głosy, podobne do jęków, i od czasu do czasu przecierał ręką oczy, jakby im nie dowierzał. A kiedy je dokładnie przetarł i przekonał się, że nie jest igraszką piekiel, wpatrzył się w Ewcię takim wzrokiem łakomym, jakim głodny diabeł patrzy na grzeszną duszę.

— Może panu dać wody? — zapytała Ewcia niespokojnie.

Pan Mudrowicz uczynił znak, że nie chce wody, bo za chwilę wypije dwa litry krwi. Położył prawą rękę na stole i zakrzywił palce jak szpony. Ręka ta drżała.

— Nic panu nie jest? — Ewcia uśmiechnęła się tklawie. — Bardzo mnie pan przestraszył... Ja jestem wprawdzie córką lekarza, lecz taka jestem głupia, że nigdy nie wiem, co trzeba robić, gdy się komuś zrobi słabo. Pan się niepotrzebnie wzruszył... Jeśli pan

chce, to ja zamknę okno, ale myślę, że panu dlatego się zrobiło jakoś tak, bo tu było nieznośnie duszno... Już dobrze? Proszę pana, niech się pan uspokoi!

Mówiąc to, uniosła się z kanapy, zbliżyła się do stołu i ręką poczęła gładzić jego dłoń.

Pana Mudrowicza przebiegł nagły, krótki dreszcz, jakby uderzył w niego mocny prąd elektryczny. Chciał cofnąć rękę, ale nie mógł. Stężała tak, jakby była z ołowiu. Stary, straszliwie brzydki człowiek przymknął oczy.

Ewcia usiadła znowu na kanapie i patrzyła w niego z nieudawaną litością. Nie mówił nic. Siedział nieruchomy — jakby mocą nieznaną pobity, do niczego niezdolny.

— Czy mogę coś powiedzieć? — spytała dziewczyna po chwili.

Starzec nie odpowiadał i wciąż miał oczy zamknięte.

— Wtargnęłam tutaj — mówiła Ewcia, nie doczekawszy się pozwolenia — bo ja mam naprawdę wielką i ważną do pana sprawę. Jednak nie będę teraz o tym mówić... Jeżeli pan pozwoli, przyjdę z tym jutro. Ale przedtem muszę panu powiedzieć, że mi pana serdecznie żal...

Stary człowiek otworzył nagle oczy i patrzył na nią jak urzeczony.

— A tak — mówiła dziewczyna cicho. — Jestem tu od godziny i już wiem wszystko. Pan jest bardzo biedny, bo pan jest sam.

Tamten drgnął.

— Ten Paweł się nie liczy. Co tam taki Paweł! Nie wiem dobrze, ale niemal pewna jestem, że pan jest bardzo samotny. Gdyby tak nie było, to mieszkanie nie byłoby takie okropne. Słowo panu daję, że naprawdę tu jeszcze przyjdę. Ja nie robię z gęby cholewy. Gdybym była wiedziała, jak tu jest u pana, byłabym przyniosła trochę kwiatków. Za dwa złote można o tej porze kupić tyle kwiatów, że byłoby tu wesoło. I pelargonie powinny być w oknie. Żeby pan miał chociaż psa! Ja mam takiego psa opryszka, że boki można zrywać. Przyprawdę go do pana... Ale teraz to już sobie pójdę... Ten pakunek, co stoi pod piecem, zostawię, bo to ciężkie, a sama przyjdę jutro... Czy pan pozwoli?

Stary człowiek, który tej gadaniny słuchał jak nieprzytomny, westchnął ciężko i długo nie odpowiadał. Patrzył na dziewczynę, a jej się wydawało, że w jego spojrzeniu zamgliło się wreszcie coś żywego — smutek.

— Nie odchodź — rzekł wreszcie bardzo cicho.

Nie powiedział ani „pani”, ani „panna”, ani bezosobowo, ani pogardliwie.

— Mogę jeszcze zostać? — zapytała Ewcia łakomie.

— Nie odchodź, dziecko! — powtórzył bezbarwnym głosem.

— Dobrze, proszę pana.

Jak gdyby sobie coś przypomniała, zaczęła szukać czegoś w torebce, położonej na kanapie. Zmarszczyła czoło, bo nie mogła znaleźć. Z niepewnym uśmiechem zwróciła się do pana Mudrowicza:

— Czy pan może mi pożyczyć chusteczkę?

On, jak gdyby w pierwszej chwili nie zrozumiał, zastanowił się, skinął głową i wydobył z kieszeni zgniecioną i prawie białą chusteczkę.

— Tego Pawła powinno się wziąć na męki — mruknęła Ewcia, przyglądając się smętnemu skrawkowi.

Podeszła spokojnie do okna i powiała nią trzykrotnie jak sztandarem. Pan Szymbart na ten widok odczepił się od latarni, skinął ręką na pożegnanie i rozwiął się w srebrzystą mgłę.

Stary człowiek patrzył na te praktyki bez zdziwienia.

— To znak dla odsieczy? — zapytał głosem ogromnie zmęczonym i wysilonym.

— Tak, proszę pana! — odpowiedziała Ewcia śmiało.

— To ten sam, co pytał o kanonika?

— Tak! — odrzekła z uśmiechem. — Nie wiem, jak mu to strzeliło do głowy.

— Kto to był?

— Mój znajomy. Dałam mu znak, aby sobie poszedł, bo jestem bezpieczna.

— Bałaś się, gdy szłaś do mnie?

— Trochę się bałam...

— Ktoś cię uprzedził. Czy to zmowa?

W pięknym jego głosie zdrzął smutek.

Ewcia podniosła się i mówiła z wielką powagą:

— Przysięgam panu na Boga, że przyszedłem do pana bez niczyjej wiedzy. Jak mego ojca kocham, bo ja nie mam matki... Dowiedź się pan, po co przyszedłem i dlaczego właśnie ja. Ten pan, co tam czekał na ulicy, pomógł mi przynieść ciężki pakunek i sam się zaoferował, że będzie na mnie czekał. Przecież pan mnie mógł wyrzucić przez okno, a ja się naprawdę dziwię, że pan tego nie uczynił. Teraz mu dałem znak, bo już się niczego nie boję i wiem, że pan mnie wysłucha. Czy mi pan wierzy, dobry, kochany panie?

Ewcia była bliska płaczu.

Zdawało się, że stary człowiek przygląda się każdemu jej słowu pilnie i natoczywie.

— Wierzę ci — rzekł wreszcie cicho — Może jestem głupi, ale ci wierzę.

— Ale pięty to mi pan chciał przypiec — uśmiechnęła się Ewcia przez łzy. — Niech pan powie temu Pawłowi, aby nie marnował gazu.

— U mnie nie ma gazu.

— Nawet gazu nie ma? Ładne gospodarstwo! Pan jest bardzo wesołym człowiekiem...

Z tym pogrzebaczem to było paradne. Czemu pan tak na mnie patrzy? Niech się pan chociaż raz jeden do mnie uśmiechnie. Ja się śmieję do wszystkich jak głupia, ale za to ktoś się czasem do mnie uśmiechnie. I niech pan powie coś miłego. Czy pan wie, że pan ma śliczny głos, o ile pan nie krzyczy?

Stary człowiek spojrzał na nią jakby z przerażeniem.

— Jaki ja mam głos?

— Niezmiernie miły... Prawie jedwabny...

Z panem Mudrowiczem działy się jakieś nadzwyczajne historie. Podniósł się i zaczął krążyć po pokoju tam i z powrotem, tam i z powrotem. Już nie miał tej hardej, zaczepnej postawy, co przed godziną, bo głowę, straszliwie brzydką głowę wtulił w ramiona, jakby ją coś przygniotło, ręce założył za siebie i tak wędrował jak człowiek, za którym wlecze się troska, a om przed nią uchodzi. Nie może jednak umknąć daleko, bo maszeruje jak więzień od ściany do ściany. Zdawało się, że zapomniał o obecności dziewczyny. W pewnej chwili znalazł się przy otwartym oknie i z widocznym lękiem i jakby z odrazą wyjrzał na ulicę. Cofnął się i znowu powrócił do okna. Spojrzał spode łba na błękitne niebo i zmrużył oczy.

— Śliczny dzień, proszę pana — rzekła Ewcia. — Oj, jest mi tak przyjemnie, że panu coś zaproponuję: chodźmy na spacer!

Dzień był istotnie śliczny, lecz z nieskazitelnym błękitem to musiało być jakieś szachrajstwo, albowiem z jasnego nieba strzelił w tej chwili piorun i ugodził wprost w głowę pana Mudrowicza. Nie było wprawdzie błysku, nie było huków, ale coś piorunującego być musiało, bo stary człowiek zachwiał się, odwrócił i spojrzał błędnie. Sprawiał wrażenie chorego, a od niejakiego czasu bardzo chorego.

— Ty... Ty... Poszłabyś ze mną na spacer? — wyjąkał cicho.

— A czemuż by nie? Nawet pod rękę! Z ojcem chodziłam zawsze pod rękę i zawsze go szczypałam w ramię, ile razy miał się komuś odkłonić, bo taki zazwyczaj był zamyślony, że się czasem kłaniał drzewu, a nigdy znajomym.

— Ja nie mam żadnych znajomych — mruknął on.

— W takim razie będzie mi pan dawał znaki, do kogo mam zrobić oko... Więc co, pójdziemy?

Zdawało się, że pan Mudrowicz walczy potężnie sam ze sobą na tak błahy temat; widać było wyraźnie, że dla niego jest to sprawa niezwykła.

— Nie dziś... — powiedział wreszcie. — Jeszcze nie dziś.

— Dobrze! — szczebiotała Ewcia. — Ale trzymam pana za słowo! Pójdziemy którego pięknego dnia, tylko...

— O co idzie? — zapytał starzec z niepokojem.

— Powiedziałyśmy, ale się boję.

— Czy ty się kogokolwiek boisz?! — zawołał on niemal ze zdumieniem. — Niech Ewcia mówi śmiało.

Po raz pierwszy nazwał ją „Ewcią”.

„Dobrze jest!”, pomyślała ona.

Uśmiechnęła się do niego uroczo i zaczęła mówić:

— Chciałabym jedynie zwrócić uwagę pana... A widzi pan, że się boję... Chciałam

Strój

zwrócić uwagę, że pański strój jest cokolwiek osobliwy. O, już się pan będzie gniewał!

Uwaga była podstępna. Pan Mudrowicz wcale się nie gniewał, bo jeśli można było odczytać cokolwiek ze straszliwie brzydkiego oblicza, trochę się zawstydził. A Ewcia mówiła z pośpiechem:

— Po co się pan na taki upał odziewa tak ciężko i tak czarno? To straszny strój i cokolwiek starożytny. Paweł jest tak samo odziany, lecz mnie to nie obchodzi. Ale pan...

— Cóż ja?

Można było przypuścić, że w głowie pana Mudrowicza coś zadrżało.

— Pan powinien być ślicznie odziany. Nie jaskrawo, oczywiście, ale doskonale. Dla pana byłoby wymarzone ubranie ciemnogranatowe i krawat ze złotymi prążkami. Wiedziałam onegdaj<sup>87</sup> na ulicy jakiegoś starszego pana tak odzianego i powiadam panu, że można się było zakochać...

Pan Mudrowicz słuchał jakby głosu z tamtego świata

— I musi się pan ogolić. Koniecznie, proszę pana! Mój ojciec mówił mi kiedyś, że ten angielski pisarz, który powiedział, iż „myśli człowieka ogolonego są inne niż tego samego człowieka nieogolonego”, jest niezmiernie mądrym znawcą życia. Wyborne, co? Jak gdyby szczecina brody wyrastała nie z ciała, lecz z duszy. Czy pan jest tego samego zdania?

— Być może — odparł pan Mudrowicz — być może.

Dotknął ręką zjeżonej swej brody i drgnął. Ewcia patrzyła pilnie na każdy jego ruch i szukała jego spojrzenia. Strach odleciał już dawno. Przez jakąś szczelinę w otwartej skorupie tego człowieka zdołała się przemycić i zdawało się, że widzi jego serce — skostniałe albo pełne jakiejś goryczy, a jednak ludzkie. Przez długie lata samotności czy też nieznanych klęsk człowiek ten zdziwaczał, lecz w chwili, kiedy mu ona przypomniła, że poza tą zatęchłą izbą jest jeszcze świat jasny i barwny, musiała w nim obudzić jakieś wspomnienia. Działy się w nim istotnie dziwne historie. Widać było, że się jeszcze miota, walczy ze sobą, że jest zalekły i zdumiony. Czy nikt z nim nigdy nie rozmawia? Zdaje się, że w tym mrocznym domu jest tylko on i ta karawaniarska kreatura, Paweł.

Konflikt wewnętrzny

Ewcia tak była przejęta straszliwym stanem swojego niespodziewanego pacjenta, że zapomniała o celu swojej śmiałej wyprawy. Rozgadała się szeroko i było jej przyjemnie, że ten potworny wielkolud słucha cierpliwie. On zaś, wysłuchawszy jej traktatu o pożytku golenia brody, począł znowu krążyć wielkimi krokami po swej klatce.

„Znowu go bierze...”, pomyślała Ewcia ze strachem.

Pan Mudrowicz zmarszczył niskie czoło i chodził, chodził. Dziewczyna wodziła za nim spojrzeniem.

Wreszcie przystanął nad nią i jak gdyby żałując wszystkich dotychczasowych słów, rzekł szorstko:

— Proszę mi powiedzieć, po coś tu przyszła?

— W sprawie pani Zawidzkiej! — odpowiedziała dziewczyna jednym tchem.

On zmrużył oczy i jak gdyby się uśmiechnął, ale mniej było widać uśmiech, a więcej zjadliwość.

— Ach, to tak! — powiedział cicho. — A ja, głupi...

— Za pozwoleniem! — krzyknęła niemal Ewcia, czując, że wszystko się wali. — Dałam panu słowo, że nikt o tym nie wie. Pani Zawidzka także nie wie. Niech mi pan pozwoli powiedzieć o wszystkim, na litość boską, niech mi pan pozwoli!

W głosie dziewczyny było tyle gorącego błagania i tak uczciwej prawdy, że w tym człowieku musiało coś zelżeć.

— Gadaj! — rzekł. — Masz dziesięć minut czasu.

Ewcia przymknęła na chwilę oczy, jakby chciała się skupić, i zaczęła mówić — powoli, z namysłem, jasno i treściwie. Opowiedziała wspaniale uproszczonym sposobem swoją historię, wyprawę przez okno i wejście przez drzwi do domu Zawidzkich. O jego telefonie. O rozpacz i pogoni za pieniędzmi. O szarej twarzy pani Zawidzkiej i o jej nocnych, tajemnych rozmowach z synem.

— Oni — mówiła cicho, lecz dobitnie — nie znajdą tych pieniędzy. Pani Zawidzka zmarnuje się do reszty, bo nie tak dawno była śmiertelnie chora. Nie chcę nawet my-

<sup>87</sup> onegdaj (daw.) — dawniej, kiedyś. [przypis edytorski]

śleć o tym, ile tam wyleje się łez. Wtedy pomyślałam sobie tak: „Pan Mudrowicz, bo ja pańskie nazwisko usłyszałam, kiedy pan telefonował, pan Mudrowicz nie chce przecież ludzkiej krzywdy. Ja pogadam z panem Mudrowiczem!”. Znalazła pański adres w książce telefonicznej i przyszłam. Przyszłam pana błagać na kolanach, aby się pan zmiłował. Ja wiem, że to nie moja sprawa i pan Jerzy może mnie stłucze, gdy się o wszystkim dowie, ale mnie wszystko jedno. Mnie mój ojciec tego nauczył, żeby skakać nawet w ogień, jeśli można kogoś ratować. A pani Zawidzka jest najśladszą kobietą na świecie i tak mnie przygarnęła jak matka... Nic o mnie nie wiedziała, a przytuliła mnie do serca. Czy pan słucha? Co by pan sobie o mnie pomyślał, gdybym opuściła przyjaciół w nieszczęściu? Mógłby pan powiedzieć, że jestem zwyczajną małpa. Oto dlaczego tu jestem!

Przerwała na króciutką chwilę, aby nabrać oddechu.

— I będę pana tak długo prosiła, aż się pan ulituje. Może pan robić, jakie chce, miny, ale mnie to nie przerazi. Ja wiem, że pan jest dobry i że pan tylko udaje takiego, co jest niby zły. Tak jak z tym pogrzebaczem, którym pan chciał przypalić uczciwą dziewczynę. No i gdzie ten straszny pogrzebacz? Aha! Ja pana już dobrze znam. Przede mną nic się nie ukryje... I to wiem, że skoro pana z całego serca poproszę, to pan odwlecze termin tego płacenia. Chociażby do jesieni, bo jakże w lecie pani Zawidzka znajdzie pieniądze? Ale ja mam na wszelki wypadek inny jeszcze sposób. Proszę pana, zróbmy interes! Dla pana będzie to nawet złoty interes. Czy pan słucha?

Pan Mudrowicz nie odpowiedział. Nie przeczył, przeto słuchał.

— Otóż historia jest taka: pan Jerzy chciał sprzedać prześliczne obrazy, aby zdobyć dla pana pieniądze, ale nie mógł tego uczynić w pośpiechu i w wyludnionym mieście. Wtedy ja mu powiedziałam, że ja spróbuję je sprzedać. Wzięłam dwa najpiękniejsze i przywlokłam je tu do pana. Tam, pod piecem, niech pan spojrzysz! Tam stoją te obrazy. Teraz dopiero widzę, że to była wprost świetna myśl! Powiadam panu, że skoro je tu powiesimy, w tym smutnym pokoju, będzie cud! Od razu rozjaśni się wszystko i rozweseli. Oczu pan nie będzie mógł oderwać od tych płócien. Przecież obraz to jest cudowna rzecz! Niech pan chwilę poczeka...

Poskoczyła w stronę sympatycznego pieca i ciężko stęknąwszy, przywlokła obrazy w okolicę niesympatycznej kanapy. Rozwikłała gorączkowo sznurki i po chwili ustawiła obydwa płótna na kanapie, na wprost milczącego starego człowieka. Była cała w ogniach i w rumieńcach. Ręce jej drżały i głos, kiedy zaczęła mówić gorąco:

— Niech pan tylko spojrzysz! Widział pan kiedy coś równie pięknego? Ta brzoza tak się srebrzy, że aż strach... Śliczna brzoza! Czuje pan, jak wiosna pachnie? A teraz ten... Ta dziewczyna patrzy w niebo. Ja nie wiem, co jej jest, że taka smutna, ale Pan Bóg ją pocieszy... Płakać się chce na widok jej spojrzenia... Widzi pan?! To naprawdę wspaniale. O, jak się jasno zrobiło w tym pokoju. Czy panu nie zrobiło się jaśniej na duszy? Proszę pana! Nie ma o czym gadać! Te obrazy tutaj pozostaną. Niech pan tylko spojrzysz: złocone ramy! Ten będzie wisiał nad kanapą, a ten drugi nad stołem. Ten las drukowany pan wyrzuci albo da Pawłowi na imieniny, a te fotografie... Zaraz, zaraz. Fotografie tej smutnej pani oprawi pan w piękne ramki i postawi na stole. Więc co, proszę pana, zrobione? Radzę panu uczciwie, niech pan nie wypuszcza z ręki takiej okazji. Pan jest nie tylko dobrym, pan jest z pewnością i mądrym człowiekiem! Zrobimy tak: pan weźmie te obrazy za dwa tysiące złotych, które pani Zawidzka ma panu zapłacić za trzy dni. Panie, kochany, drogi panie! Złoty mój, mój jedyny! Niech pan tak srogo nie patrzy... Mnie się płakać chce... O, Jezus Maria! I dobrych ludzi pan poratuje, i mnie robi pan niezmierną przyjemność... Niech się pan zgodzi... Będę pana bardzo, bardzo kochała.

Pan Mudrowicz raz jeden spojrział na obrazy, ale nie zdejmował wzroku z Ewci. Słuchał wspaniałego przemówienia uważnie, oparłszy głowę na rękach, wciąż w nią wpatrzony; jak gdyby się zdumiał, że z tak niepozornego stworzenia może się wydostać tyle słów, z których każde podobne było do rozżarzonego węgla. Raz jeden przymknął oczy, kiedy go Ewcia nazwała „kochanym, drogim panem”, ale znów je otworzył, jak gdyby nie chciał niczego utracić z widoku wierzącej się, podrygującej, machającej rękami, zarumienionej, z błyszczącymi oczami pannicy. A ona po ostatnich słowach, nagle znużona, do cna wyczerpana, usiadła na kanapie tak, że za nią srebrzyła się śliczna brzoza. Czuli zamęt w głowie i burzę w sercu. Uczyniła wszystko, co było w jej mocy, a teraz to już

Interes

chyba umrze. Ten straszliwy człowiek pozwolił jej mówić przez pół godziny, a teraz patrzy, patrzy, wciąż patrzy. Coś w sobie waży, nad czymś rozmyśla. Ale Ewcia czuje, że już nie wypowie do niego ani jednego słowa, bo wygrzebała wszystkie, do ostatniego, z samego dna serca. Jeżeli ten człowiek każe jej odejść, odejdzie jak zбитy pies. I już chyba na wieki wieków straci wiarę w ludzi i w serce człowieka. Gdyby ten człowiek powiedział chociażby jedno, jedyne słowo, nawet najgorsze, ale niech je powie! On jednak milczy posępnym milczeniem.

Wreszcie drgnął.

Ruchem ręki odsunął leżące na stole rupiecie, znalazł czystą kartkę papieru i zaczął na niej coś pisać szybko, bardzo szybko. Podniósł się potem powoli, zbliżył się do Ewci, raz jeszcze zajrzał jej w oczy i powiedział cicho:

— Weź to, moje dziecko...

Ewcia przeczytała łakomym okiem i krzyknęła. On chciał się cofnąć, jakby załękły, lecz dziewczyna chwyciła jego rękę i ucałowała ją gorąco.

Stary, brzydki człowiek jęknął, wyrwał dłoń i zaczął się jej przyglądać z takim zdumieniem, jak gdyby tę własną rękę ujrzał po raz pierwszy w życiu.

## ROZDZIAŁ ÓSMY, W KTÓRYM PRZĘDZIE SIĘ RADOŚĆ I PACHNĄ RÓŻE

Mieszkańcy miasta stołecznego Warszawy patrzyli z uśmiechniętym zdziwieniem na istotę rodzaju żeńskiego, obdarzoną niepospolitym wdziękiem osobistym i noskiem z lekka zadartym, idącą szybko, lecz w sposób osobliwy. Istota bowiem szła krokiem tanecznym, od czasu do czasu zręcznie podrygując. Mniej więcej w odstępach pięciominutowych wydawała okrzyk i śmiała się w głos szczęśliwym śmiechem. Ponieważ trudno było przypuścić, by istota ta, w wieku lat szesnastu, a do tego w biały dzień, uległa zamroczeniu wskutek spożycia nadmiernej ilości napojów alkoholowych, niektórzy przechodnie myśleli, że dziewica ma zajęczki w młodej głowie. Nikt jednakże nie wpadł na najprostsze rozwiązanie — że Ewcia Tyszowska jest w tej chwili osobą najszczęśliwszą w Europie środkowej. Należy bowiem zauważyć, że ludzkość na widok człowieka, od którego bije radość jak żar z żelaznego pieca, szuka przede wszystkim mętnych i podejrzanych powodów tej radości.

Radość

Ewcia nic sobie nie robiła ze zdziwionych spojrzeń, bo nic na świecie nie obchodziło jej w tej chwili. Świat nie zając, nie ucieknie przeto ze swoimi zaśniedziałymi sprawami. Zająca przypomina raczej wielkie szczęście, mające naturę płochliwą i skłonną do ucieczki. Dlatego Ewcia ścisnęła kurczowo torebkę, bo w niej ukryta była biała karteczka, a na tej karteczce... O Boże! Gdyby tę śmieszna dziewczynę spotkało wielkie szczęście na jej własny rachunek, nie cieszyłaby się nawet w drobnej części tak, jak się radowała tym, które niesie w torebce dla dobrych i kochanych ludzi.

Ewcia ni stąd, ni zowąd wybuchnęła głośnym śmiechem — tak serdecznym, że gruby jakowyś pan, który się o nią otarł, odskoczył jak oparzony i spojrzął na nią niezmiernie dotknięty.

Śmiech

— Przepraszam! — zawołała Ewcia. — To nie z pana! Tylko że mi jest strasznie wesoło.

— Dzięki Bogu — mruknął człowiek, który przypominał beczkę.

A Ewci zrobiło się niezwykle wesoło, bo sobie pomyślała: „Jureczek, niebożątko długonogie, zleci z krzesła... Słowo daję, że zleci z krzesła!”

Biegła szybko do tramwaju, aby jak najprędzej ujrzyć tę wyborną sztukę. Zresztą była tak głodna, że aż ją mdliło. Jest bowiem sprawą tajemniczą i godną uwagi największych myślicieli, że wielkie wzruszenia — zarówno bolesne, jak i radosne — zawsze przede wszystkim nastają na organ tak pospolity jak żołądek i namawiają go do buntu. Całe szczęście, że zbliżała się godzina obiadowa. Ewcia zauważyła teraz dopiero, że spędziła na dziwnej rozmowie z panem Mudrowiczem niemal cztery godziny.

— Co oni sobie, niebożątka, pomyślą, nie zastawszy mnie w domu? A ten bałwan, tramwaj, wlecze się jak Paweł u pana Mudrowicza — gadała sama do siebie.

Pani Zawidzka i Jerzy istotnie byli zaniepokojeni i zdumieni, dowiedziawszy się od kucharzki, że Ewcia zabrała dwa wielkie obrazy i odjechała autem z jakimś panem.

— Co to był za pan? — pytał natarczywie Jerzy.

Dobra kobieta nie umiała na to odpowiedzieć, zauważyła jedynie przez kuchenne okno, że jakiś taki „przyglupek” i że się dwa razy złapał rękami za głowę.

— Po co ona wzięła obrazy? I jakie obrazy? — pytała syna pani Zawidzka. — Czy wiesz coś o tym?

— Nic nie wiem. Zwariowana dziewczyna... Pytała mnie, czy może sprzedać obrazy, skoro przyjdzie ktoś, co by je chciał kupić. Powiedziałem oczywiście, że może, bo i kto miał przyjść?

— Więc Ewcia wiedziała o wszystkim?

— Niestety! — odrzekł Jerzy. — Cokolwiek wynioskowała sama, a ja powiedziałem jej resztę. Nie przypuszczałem jednak nigdy, że urządzi jakąś awanturę z obrazami.

— To złota dziewczyna — rzekła pani Zawidzka w zamyśleniu. — Namęczy się tylko jak i my.

— Nie tylko się namęczy, ale ją jeszcze do tego stukę! Jak mi Bóg miły, że z niej zrobię kwaśną marmoladę!

— Nie trzeba jej było niczego mówić. To byłoby rozsądniejsze.

Zaskrzypiała furtka i szybkie kroki słychać było na ścieżce.

— Teraz jej dam bobu! — mruknął Jerzy. — A, jesteś, smarkulo! Gdzie byłeś? Prosiłem cię, abys pilnowała telefonu, a panienka lata jak kot z pęcherzem! Gdzie obrazy?

Ewcia, która stanęła w progu rozpromieniona i jeszcze dysząca po szybkim biegu, zgasała nagle jak świeca. Chciała coś powiedzieć, ale się powstrzymała. Spojrzała na Jerzego z nagłym, rozżalonym smutkiem. Potem powoli zwróciła się do pani Zawidzkiej i powiedziała cicho:

— Bardzo panią przepraszam...

— Czekamy z obiadem — bąknął Jerzy. — Potem pogadamy.

— Dobrze — szepnęła Ewcia.

Usiadła przy stole i spojrzała nieznacznie na panią Zawidzką, tak smutną jak i wczoraj. Na Jerzego nie zwracała najmniejszej uwagi.

Obiad jedzono w milczeniu, Jerzy cisnął głośno widelec, jakby nie mógł opanować zniecierpliwienia.

„Poczekaj, dryblasie!” pomyślała Ewcia. „Zaraz zlecisz z krzesła”.

Nie miała w tej chwili innych pragnień, tylko to jedno. Postanowiła zachować tajemnicę jak najdłużej, gdy jednak w pewnej chwili spojrzała spod oka na panią Zawidzką, zrobiło się jej jakoś bardzo miękko koło serca. Nie będzie męczyć dobrej pani Zawidzkiej za to, że ma syna ludożercę.

— Aha! — zawołała nagle. — Ja tu mam coś dla pani...

Pani Zawidzka spojrzała zdziwiona.

— Niech pani tylko nie pokazuje pewnym osobom, którym się zdaje, że im wolno napastować bezbronne dziewczęta.

Gdy podawała karteczkę pani Zawidzkiej, serce w niej na chwilę bić przestało.

Pani Zawidzka wzięła kartkę znużonym ruchem i zaczęła czytać.

— Boże drogi! — zawołała w najwyższym zdumieniu.

— Co to? Co się mamie stało? — krzyknął Jerzy. — Co ten brzdąc znowu zmalował?

Pani Zawidzka była przeraźliwie blada i ręce jej drżały. Nie miała nawet tyle siły, by podać kartkę synowi, więc on wyjął ją z jej ręki i czytał półgłosem:

— „Oświadczam, że w dniu dzisiejszym otrzymałem od pani Klementyny Zawidzkiej dwa obrazy i równowartość ich, w wysokości dwóch tysięcy złotych, odpisuję od należnej mi sumy. Zawiadamiam równocześnie, że reszta długu, w sumie ośmiu tysięcy złotych, może być w dowolnych ratach spłacona w ciągu lat trzech. Tym samym termin poprzednio ustalony został unieważniony. W Warszawie, 27 czerwca 1938 roku, Stanisław Mudrowicz”.

Jerzy chciał się zerwać z krzesła, lecz uczynił to tak gwałtownie, że wywalił się na ziemię z niezmiernym hałasem.

— Bóg jest sprawiedliwy! — krzyknęła Ewcia i zaczęła się śmiać tak, że kucharka otworzyła drzwi od kuchni, a Rolmops rozpoczął ujadanie.

Nagle wszystko ucichło, bo dał się słyszeć szloch pani Zawidzkiej — zabiedzonej, znużonej, śmiertelnie wyczerpanej, nagle ponad ludzką miarę szczęśliwej.

Łzy, Szczęście

Ewcia, przestraszona, przypadła do niej, ukłękła i zaczęła ją całować po rękach.

— Niech się pani uspokoi... Moja złocieńka... Moja najdroższa... Niech się pani uspokoi...

— O, dziecko jedyne! — zdołała wyszeptać pani Zawidzka i gładziła ją po głowie.

Powoli pomiędzy łzy czyste, rześiste zaczął się wciskać złoty, szczęśliwy śmiech. Płynęło jeszcze około siedemdziesięciu siedmiu kropel (czterdzieści cztery pani Zawidzkiej i trzydzieści trzy, jak obszył, panny Ewy Tyszowskiej) i już tylko ciche łkanie, ale suche, wstrząsało piersią szczęśliwej kobiety. Ewcia dawno się śmiała, nieludzko rozradowana. Obie damy nie mogły jeszcze dobrać głosu, więc się tylko tuliły, obejmowały i całowały jedna drugą. Żadna nie chciała skończyć, żadna bowiem nie chciała zostać drugiej dłużna.

— Och, ty, ty — jękała treściwie pani Zawidzka, słusznie mniemając, że nie ma w bogatej mowie polskiej godnego Ewci nazwania.

Wyborny ten wykrzyknik stał się znamienitą sposobnością do nowych pocałunków. Wreszcie pani Zawidzka zwołała rozproszone w gorączce słowa i rzekła:

— Pan Bóg cię do nas przysłał!

— Ale ja ją przyprowadziłem — powiedział dość nieśmiało Jerzy.

Ewcia zerwała się na równe nogi, bo ze względu na prawidłową budowę ciała trudno jej było wstać inaczej. Oczy się jej zaokrążyły i rumieniec o mocnej czerwieni świeżej połędwicy zalał jej twarzyczkę.

— Proszę pani! — zawołała. — Niech pani powie temu panu, który rzuca widelcami, żeby nie mówił ani o mnie, ani do mnie!

— Jerzy, słyszałeś? — śmiała się już głośno pani Zawidzka.

— Słyszałem — odrzekł Jerzy głosem czarnym jak najczarniejsza smoła. — Niech mama powie tej pani, że jeśli mi natychmiast nie przebaczy, tym samym widelcem przebiję sobie serce!

— Ewuniu! Czy pragniesz śmierci tego złego człowieka?

— Śmierci nie — odrzekła Ewa z głuchą boleścią — Ale niech się ukorzy, bo jeżeli tego nie uczyni...

Długonogi nie dał jej dokończyć, lecz rzucił się jak tygrys, chwycił ją w ramiona i podniósłszy wysoko, zaczął tańczyć z tym ciężarem. Ewcia wczepiła palce w jego buszmeńską czuprynę jak topielec i wrzeszczała wniebogłosy. A on nic! Tańczył posuwiście dokoła stołu, ze śmiertelną powagą.

— Proszę mnie puścić! — krzyknęła Ewcia.

— Przebacz, a puszczę!

— Dobrze, dobrze! — pischczała Ewcia.

Wtedy dopiero postawił ją na podłodze i krzyknął:

— Matko! Każ podać szampana! Nie ma szampana? Więc każ dać jakiś sok, bo ja muszę z tą kobietą wypić bruderszaft. Prędko, bo znowu zacznę tańczyć!

Pani Zawidzka, jak gdyby odmłodziła, przyniosła jakiś czerwony napój, naląła do szklanek i rzekła:

— Ewciu, uczyni ten zaszczyt mojemu straszliwemu synowi!

— Mogę — odrzekła Ewcia. — Ale jeżeli ta osoba myśli....

— Osoba nic nie myśli, osoba cię uwielbia! — krzyknął Jerzy.

Spełnili uroczysty obrzęd ku niesłychanej radości pani Zawidzkiej i ku czerwonemu jak krew zdumieniu Ewci, gdyż Jerzy z nagłą ucałował ją w obydwie policzki.

— Inaczej nie byłoby ważne! — zawołał. — A za to, drogi małpiszonie...

— Proszę pani, on znowu zaczyna!

— A za to jutro zacznę malować twój portret!

Ewcia znowu pokraśniała i oczy jej się zaśmiały.

— Naprawdę?

— Jak mamę kocham! Nawet nos zrobię ci elegancko... Niech mama uważa, bo ona chce rzucić we mnie czymś ciężkim, a może trafić w moją nieszczęśliwą matkę. Ewuniu! Uwielbiam cię, kocham cię, szaleję za tobą! Jesteś wielka, wspaniała i wzniosła! Niewart jestem zawiązać rzemyka u twoich sandałów! Za to, żeś mi tę oto matkę rodzoną pocieszyła, żeś zwyciężyła potwora...

Obyczaje

— Pan Mudrowicz nie jest wcale potworem, pan Mudrowicz jest znacnym człowiekiem — rzekła Ewcia gwałtownie.

— A ze mną gadać nie chciał!

— Wobec tego jest i mądrym człowiekiem. Pan Mudrowicz nie zadaje się z byle kim, ale gdy zobaczył wytworną damę, rozumną i pełną dystynkcji, od razu zmiękł.

— Trzymajcie mnie, dobrzy ludzie! — krzyczał Jerzy.

— Cicho bądź! — powiedziała pani Zawidzka. — Niech Ewunia wszystko opowie. Ewunia zaczęła mówić o spisku z panem Szymbartem i o zuchwałej wyprawie.

— Trochę to mnie strach obleciał — rzekła. — Powiedziałam sobie jednak: „Nie taki diabeł straszny, jakby go pewien kiepski malarz namalował...”.

— Gwałtu, nie wytrzymam! — stęknął Jerzy.

— Pan Mudrowicz — mówiła Ewunia spokojnie — przyjął mnie trochę groźnie i w pewnej chwili zawołał o rozpalone żelazo, aby mi przypiec piętę...

— To istotnie mądry człowiek — mruknął malarz.

— Nie może być! — krzyknęła pani Zawidzka przestraszona. — I co, i co?

— Nic strasznego, proszę pani. Zaczęłam z nim gadać na rozum...

— Gadał ślepy o kolorach — rzekł malarz niezmiernie smutno.

— Dlatego pan nie mógłby z nim rozmawiać!

— Przede wszystkim nie „pan”, tylko „ty”, a następnie...

— Następnie wylecisz za drzwi — rzekła pani Zawidzka. — Dajże jej mówić! I co dalej, Ewuniu?

— Dalej było wszystko dobrze. Pan Mudrowicz jest, moim zdaniem, bardzo nieszczęśliwym człowiekiem, którego coś gryzie. Nie wiem co, ale myślę, że samotność. Mieszka strasznie, odziany jest okropnie, bardzo... Bardzo jest brzydki... Wolę jednak brzydkiego człowieka, który ma duszę, niż przystojnego amanta, któremu się zdaje, że mu wolno całować uczciwe dziewczęta.

— Słyszysz mama? To było o mnie!

— Cicho bądź, bo każę przynieść rozpalone żelazo — zaśmiała się pani Zawidzka. — Długoście gadali?

— Bardzo długo. To znaczy ja wciąż gadałam, a pan Mudrowicz słuchał. Zdaje mi się, że czasem chciał wybuchnąć, ale wtedy mi się zbierało na płacz...

— Krokodyl też płacze — szepnął Jerzy.

— Wszystko mu opowiedziałam — mówiła Ewunia, nie zwracając uwagi na krokodyla.

— Bardzo się nam przyjemnie rozmawiało. Wreszcie jednak przyszła straszna chwila. Naprawdę straszna...

— O Boże, co się stało? — zapytała z niepokojem pani Zawidzka.

— Wiedziałałam, że z tego będzie nieszczęście — mówiła Ewunia powoli i wyraźnie, łypiąc okiem w stronę Jerzego. — Kiedy mu pokazałam obrazy...

— Oho!

— Wtedy pan Mudrowicz wpadł w szał. Myślałam, że mnie z miejsca udusi. Strasznie krzyczał: „Zabierz natychmiast te kiczki!”. Co to znaczy „kiczki”, panie Jerzy? Nie wie pan... Nie wiesz? To musi być jakaś obelga...

— Krwi, krwi! — krzyczał malarz...

— Wciąż tak krzyczał... „Patrzeć na to nie można! Oszaleć można na widok tych bohomazów!”.

Jerzy zakrył rękami twarz, a Ewunia mrugnęła wesoło w stronę pani Zawidzkiej, która się uśmiechnęła.

Nagle malarz zerwał się z krzesła i mówił szybko:

— A jednak wziął obrazy! Ha!

Ewunia stropiła się na krótką chwilę.

— Owszem, wziął... Ale... Ale powiedział, że je powiesi w przedpokoju. On się świetnie zna na obrazach!

— Ach, ty źmijo nakrapiana! — wrzasnął Jerzy i skoczył ku niej.

Ewunia zaśmiała się głośno; rzuciła się ku oknu, a on za nią. Dziewczyna, zwinna jak wiewiórka, wyskoczyła przez okno do ogrodu, a długonogi najpierw przeczucił przez ramę okna długie nogi, potem wyskoczył w okazałej całości i począł ją gonić po ścieżce.

— Ratunku, bandyta! — krzyczała Ewunia, uciekając.

Coś się jednak musiało stać, bo Jerzy zatrzymał się nagle i ogłupiałym wzrokiem patrzył w inną stronę. Ewcia spojrzała i też przystanąła. W oknie sąsiedniego domu ukazała się jakaś bardzo piękna panienka i słusznie rozumując, że potężny dryblas usiłuje zabić uciekającą dziewczynkę, zawołała rozdzierającym głosem:

— Tatusiu, na pomoc! To rzeźmieszek... O ten... Ten...

Spoza panienki ukazała się potężna głowa — sądząc po wspaniałych wąsach, męskiego rodzaju.

— Ej, panie, panie! — krzyknęła głowa zsiadłym basem. — Czemu pan prześladuje to dziecko?

Jerzy po raz pierwszy od lat dwudziestu kilku zapomniał języka w gębie i stał jakby namalowany przez samego siebie. Z rozpaczą spojrzał na Ewcię, jak gdyby szukając u niej ratunku. Wtedy ona zwróciła się do zsiadłego basa i zawołała wesoło:

— My się tylko tak bawimy, proszę pana. Przepraszam, żeśmy państwa zaniepokoił... Jurek, przeproś panią!

Jerzy spojrzał na piękną panienkę i rzekł:

— Bardzo panią przepraszam!

Panienka uśmiechnęła się, a potężny bas wzruszył ramionami i zniknął.

Ewcia skinęła w stronę panienki ręką, uśmiechnęła się i uciekła do domu. Jerzy stał jeszcze przez chwilę, ponownie się uklonił i powłókł się jej śladem. Panienka patrzyła ciekawie, bo ten zbrodniarz wydał się jej bardzo przyjemnym młodzianem.

Tymczasem Jerzy, chmurny jak Achilles<sup>88</sup> w pierwszej pieśni *Iliady*<sup>89</sup>, ukrył się w pracowni wraz ze swym wstydem, a Ewcia pobiegła do pani Zawidzkiej, o, jakże wspaniale odmienionej! Roześmiała się wesoło na widok rozbrykanej kozy i rzekła:

— Gdzie Jurek?

— Płacze gdzieś na strychu! — odpowiedziała Ewcia. — Ale mu dałam łupnia, co? O, proszę pani, jaka ja jestem szczęśliwa! Jaka szczęśliwa. Ale mam głowę, prawda?

— Mniejsza o głowę — powiedziała pani Zawidzka. — Rzecz najważniejsza, że masz złote serce. Ale powiedz mi, dziewczyno, teraz już poważnie, bo Jurka nie ma, w jaki sposób potrafiłaś udobruchać pana Mudrowicza?

— Mam wrażenie — odrzekła Ewcia — że to było dość łatwe. Zrozumiałam do razu, że się ni stąd, ni zowąd zrobiło wielkie święto z tego, że ktoś do niego przyszedł i po ludzku zagadał. I o obrazach wcale tego nie mówił, co ja nabredziłam. Ja tylko tak, żeby pozartować... A do mnie to nawet raz jeden powiedział „Ewuniu”. Był bardzo dziwny i niby nie chciał ze mną gadać, a gadaliśmy przez cztery godziny. I tylko patrzył i patrzył mi w oczy... Czasem to mi było aż dziwnie... Proszę pani, jak to jest naprawdę z panem Mudrowiczem? Kto to taki? Co mu się stało w życiu, bo że coś się stało, za to dam głowę. Prawda to, co mi się wydaje, że on nie jest zły, tylko bardzo nieszczęśliwy?

Pani Zawidzka zamyśliła się. Potem zaczęła mówić powoli i jakby z głębokim namysłem:

— Cokolwiek o tym wiem, chociaż niewiele. Powiem ci, dziecko drogie, bo zdaje się, że sama dobrze odgadłaś. Mnie mój nieboszczyk mąż mówił o panu Mudrowiczu. Nie bardzo go wprawdzie lubił, twierdził jednakże zawsze, że mu się stała krzywda. Z Jurkiem o tym nie mówiłam, bo i po co, tobie jednak powiem. To człowiek naprawdę nieszczęśliwy. Pierwszym jego nieszczęściem była jego zdumiewająca brzydota. Zawsze mu się zdawało, że ludzie patrzają na niego z odrazą i że każdy uciekłby chętnie na jego widok...

— Od razu tak pomyślałam, gdy mnie zapytał, czy go się boję.

— Tak, tak... Ta brzydota była powodem jego rozpacy. Ludzie uciekali od niego, a on jeszcze chętniej ich unikał. Był biedny, ale ogromnie zdolny i nieludzko pracowity. Wiecznie samotny, bo nawet rodzina nie utrzymywała z nim zbyt serdecznych stosunków, postanowił wybić się w jakikolwiek sposób i pokazać, przede wszystkim swoim najbliższym, że można być brzydkim, a jednak dokazać niezwykłych rzeczy. Wybrał drogę najpospolitszą, umyślił sobie bowiem, że skoro mu się uda zrobić wielki majątek, ukorzy tych, którzy jego chcieli upokorzyć. Pracował niezmordowanie, aby się przygotować do

<sup>88</sup>*Achilles* — grecki heros, bohater mitologiczny, znany między innymi z udziału w wojnie trojańskiej, opisanej w *Iliadzie*. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>*Iliada* — słynny starogrecki epos, którego autorstwo przypisywane jest Homerowi (ok. VIII w p.n.e.) [przypis edytorski]

tego dzieła. Zamierzył wyprawę na Wschód, do Chin czy do Mandżurii<sup>90</sup>, nie wiem tego dokładnie. Zanim jednak tam wyruszył, zdarzyła się rzecz najmniej prawdopodobna. Znalazła się młoda dziewczyna, jakaś sierota, przezacne i przedobre stworzenie. Jak się to stało, tego nikt nie wie, dość że to słodkie biedactwo wzruszyło się jego losem. Była to raczej litość nad człowiekiem odtrąconym niż miłość, tak przynajmniej przypuszczał mój mąż. Obiecała, że za niego wyjdzie po jego powrocie ze Wschodu. Dziewczyna ta...

— Na imię jej było Ewa? Czy tak?

— Tak! Skąd o tym wiesz?

— Gdy pan Mudrowicz usłyszał moje imię, spojrział nieznacznie na fotografię bardzo miłej osoby.

— Więc ma do dzisiaj jej fotografię, mój Boże!

— Nawet dwie.

— Biedny człowiek! — mówiła pani Zawidzka wzruszona. — Jeszcze nie zapomniał...

— Czy to było dawno?

— O, bardzo dawno! Pan Mudrowicz był młodym człowiekiem. Wyjechał niemal obłąkany z wielkiego szczęścia i nie było go przez trzy lata. Opowiadali, że robi wielki majątek na handlu.

— A co się działo z tą panią?

— Otóż to! Co się działo z tą panią? Źle się działo. Ponieważ pan Mudrowicz me pisał do nikogo z rodziny, tylko do niej, więc u niej zasięgano o nim wiadomości. Najczęściej czynił to jego brat stryjeczny, podobno piękny chłopak i jeszcze wspanialszy lekkoduch. Zdaje się, że mu przyszło łatwo wyleczyć ją ze złudzeń litości. Brzydki pan Mudrowicz był daleko, a przystojny Mudrowicz był na miejscu, w Warszawie. Tamten pisał krótkie listy, a ten mówił wiele i zapewne pięknie. Pomińmy bolesne szczegóły... Piękny Mudrowicz, myśląc zapewne, że to, co czyni, będzie doskonale mściwym żartem wobec bogatego i niemiłego krewnego, tak opętał dziewczynę, że wyszła za niego...

— O Boże! Jakżeż mogła to zrobić? — krzyknęła Ewcia.

— Tego ja ci, moje dziecko, nie wytłumaczę. Serce ludzkie jest pełne tajemnic. Litość z niego wywietrzała, a miłości w nim nie było. Ale najstraszniejsze rzeczy stały się potem dopiero. Piękny Mudrowicz porzucił żonę pół roku po ślubie, a ta nieszczęśliwa kobieta, o której Mudrowicz na Dalekim Wschodzie nic nie wiedział i do której wciąż pisał listy... Nie chcę opowiadać ci szczegółów tragicznych... Nie znam ich zresztą sama zbyt dokładnie i to tylko wiem na pewno, że serce tej kobiety, które oszukało się samo i które oszukali inni, nie mogło znieść nazbyt wielkiej udręki...

— Matko Boska!

— Gdy pan Mudrowicz wrócił, bardzo bogaty i szczęśliwy, zastał grozę, pustkę i śmierć. Czy możesz sobie wyobrazić, co się z nim działo? Podobno zapamiętał się i obawiano się, że popełni jakieś szaleństwo. Stało się jednak inaczej. Zdawało się, że ten człowiek stęzał w rozpacz i że skamieniał. Całe dni przebywał na grobie kobiety, tej jedynej, która się do niego uśmiechnęła i którą uwielbiał jak świętą. Jej nie winił. Całą nienawiść skierował przeciwko sprawcy tragedii i przeciwko całej swej rodzinie, bliższej i dalszej, uznawszy wszystkich za wspólnych winowajców. Że się nikt za nim nie ujął i że nikt go nie zawiadomił o tym, co się działo. Dowiedział się przy tym, że jego listy, pisane w ostatnich czasach, jego brat stryjeczny przejmował i głośno je odczytywał wśród rodziny.

— Ależ to wstrętne!

— Któż mówi, że to nie wstrętne? Na świecie jest wielu złych ludzi, Ewuniu... Wyrządzają sobie potworne krzywdy, czasem nie wiadomo dlaczego i po co. Na krzywdzie jednak nikt od początku świata nie zbudował swojego szczęścia... Nie wiadomo, po co złamano życie dzielnego człowieka, który wierzył w ludzką uczciwość. Zrobiono z niego nieszczęśliwego dziwaka i nauczono go złości. Ten człowiek wszystko postanowił zamienić w zemstę, którą ścigał winnych i niewinnych. I to stało się może największym i najdotkliwszym jego nieszczęściem. Zemsta nigdy serca nie nakarmi... Nienawiść jest śmiertelną chorobą. Wypija krew z człowieka i oślepia go, bo człowiek, który żyje tylko myślą o zemście, ma na oczach mętną mgłę. Przestaje odróżniać ludzi sprawiedliwych od

Miłość niespełniona,  
Zdrada, Śmierć

Nienawiść, Zemsta, Obraz  
świata, Rodzina, Krzywda

<sup>90</sup>Mandżuria — kraina historyczna w płn.-wsch. części dzisiejszych Chin. [przypis edytorski]

złych... I z kolei on wyrządza ciężkie krzywdy. A pan Mudrowicz zapamiętał się w zemście i jakoby postanowił ścigać swoją własną rodzinę do najdalszego pokolenia. Od trzydziestu lat dręczy się nieludsko i nic w nim nie zelżało. My, na przykład, nie zawiniłszy mu w niczym, a jednak i nas byłby nie oszczędził... Gdyby nie ty, moje dziecko. Może się tobie udało przypadkiem dotknąć w jakiś sposób jego serca? Może się w nim już smutek wypalił do szczytu? To, co z nami na twoją prośbę uczynił, jest tak dziwne, że się jeszcze uspokoić nie mogę... Szkoda, straszna szkoda tego człowieka. Okropnie go skrzywdzono, ale i on nie znał miary w tym, co dotąd czynił.

— Nieszczęśliwy pan Mudrowicz — szepnęła Ewcia w zamyśleniu. — Pani nie ma pojęcia, w jakim on jest stanie.

Milczały przez chwilę, myśląc o tym człowieku.

— Napisałam do niego list tak serdecznie, jak tylko umiałam — rzekła pani Zawidzka.

— Och, to bardzo dobrze! — zawołała Ewcia. — Trzeba kuć serce, póki gorące.

— Słusznie — uśmiechnęła się pani Zawidzka.

— A czy pani pozwoli, abym ja zrobiła dopisek?

— Ależ oczywiście! Masz ten list i pisz!

Ewcia usiadła z pośpiechem przy stole i niezmiernie starannie dopisała:

„Drogi Panie! Gdyby Pan wiedział, ile radości sprawił Pan nam wszystkim, to by Pan chyba skakał też z radości. Kocham Pana strasznie. Ewa Tyszowska”.

— Czy tak dobrze?

Pani Zawidzka śmiała się, czytając.

— Nie należy starych ludzi namawiać do tego, aby skakali, ale niech i tak będzie. A teraz, Ewuniu, musisz mi obiecać, że Jurkowi nie powtórzysz ani słowa z tego, co ci mówiłam...

— Mogę obiecać, bo z nim nie gadam!

— Jeszcze będziecie gadali! A teraz zawołaj go, bo on ten list zaniesie.

— Bardzo słusznie. Kto ma takie długie nogi, powinien być listonoszem. Już pędzę...

Usłyszawszy dzikie pokrzykiwania za drzwiami pracowni, zawołała potężnie:

— Panie Jerzy! Jurek! Natychmiast na dół do mamy!

— Całuj psa w nos! — odegrzmiał malarz.

— Mama mówiła, że masz pójść kupić wino, bo dzisiaj będzie uroczysta kolacja.

Jurek otworzył drzwi z pośpiechem.

— Naprawdę? Gotów ci jestem przebaczyć, dziewico stepowa. Już idę!

Wpadł z hałasem do pokoju matki, wołając:

— Matko, jesteś wielka! Ile butelek?

— Jakich butelek? — zdumiała się pani Zawidzka.

— Wina.

— Jakiego wina?

— Przecież Ewcia mówiła, że mam pójść po wino... I to zaraz, bo będzie wspaniała uczta. Czyżby ten brzdąc...

— Ależ tak, tak! — rzekła pani Zawidzka z pośpiechem. — Będzie i kolacja, i będzie wino!

— Więc brzdąc nie zęłgał po raz pierwszy w życiu!

— Kupisz wina — mówiła matka, ukrywając śmiech — a przy sposobności zaniesiesz ten list do pana Mudrowicza.

— Podziękowanie? Bardzo słusznie... Ale obrazy mu się nie podobały...

— Bardzo mu się podobały! Ewcia żartowała...

— Mówiła mamie?

— Przed chwilą.

— Zapowiadam mamie, że skoro tylko powrócę, wsadzę ją w pokrzywy. Oho! Widzi mama? Jest! Przyszła mi ciosać kołki na głowie.

— Wynoś się!

Jerzy, przechodząc koło Ewci, stanął i usiłował zrobić straszną minę.

— Wychodzisz, Jerzy? — zapytała Ewcia niewinnie. — Wracaj prędko, bo po godzinie uschnę z tęsknoty.

— Wobec tego wrócę dopiero jutro! — krzyknął Jerzy.

List

Powrócił jednak po dwóch godzinach, rozradowany, z szeroko roześmianą gębą i zwy-  
cięsko pokazał Ewci dwie butelki.

— Co to jest? — spytała Ewcia. — Trucizna dla mnie?

— Jest to krew słońca, którą pospólstwo nazywa winem. Dwie butelki. Po jednym  
kieliszku dla istot słabych, reszta dla mnie.

— Naprawdę wino? — zdumiała się Ewcia.

— Czy niemowlęta nigdy nie widziały butelki? Zapytaj mamy! Gdzie jest moja ro-  
dzicielka?

— W kuchni. Przygotowuje kolację.

— A co będzie na kolację?

— Jakies niesłychane rzeczy, kucharka też wychodziła i wróciła przed chwilą.

— Ale chyba dzisiaj nie będziemy pościć? Matko! — zwrócił się do wchodzącej pani  
Zawidzkiej. — Wino kupiłem, list oddałem. Nie widziałem oczywiście samego pana Mu-  
drowicza, bo otworzył mi jakiś Ramzes z dwudziestej trzeciej dynastii<sup>91</sup> ze spojrzeniem  
morskiej krowy...

— To Paweł! — zaśmiała się Ewcia.

— Może być Paweł. Zajrzałem do przedpokoju, w którym podobno zostały powiesz-  
one moje obrazy, ale okazało się, że rozmaite jaszczurki lgały na potęgę. Ponieważ jednak  
jestem w znakomitym nastroju i nie potrafię żywić w sobie zemsty w obliczu dwóch bu-  
telek wina, gotów jestem po raz ostatni zawrzeć z tobą przymierze. Ewo, matko rodzaju  
ludzkiego, czy odańczysz ze mną taniec pojednania? Podaj mi rękę, księżniczko perska!

— Służę ci, książę czerniakowski<sup>92</sup>! Niech tylko książę nie czyni zbyt wielkich kroków,  
bo nie tańczy z szafą.

Wesoła para zaczęła płaść dookoła stołu. Potem wysunęła się do hallu, wreszcie do  
ogrodu i tańczyła na ścieżce.

— Jerzy — szepnęła Ewcia — Spójrz na lewo... Widzisz?

— Owszem, widzę mur!

— Spójrz wyżej... Panienska! — szepnęła Ewcia.

— Jeżeli znowu urządzisz jakiś kawał, to cię uduszę...

— Nie rób tego, bo panienska po raz drugi narobi krzyku.

Panienska z okna sąsiedniej willi patrzyła z uśmiechem na tych dwoje, którzy się bili  
o godzinie drugiej, a tańczą o siódmej.

— Jerzy, wiesz co?

— Co?

— Rzuć jej różę.

— Rzuć, ale doniczkę na twoją głowę!

— A ja ugryzę cię w ramię. Mówię ci, rzuć jej różę! Patrz, jaka ona śliczna... Nie taka  
śliczna jak ja, ale prawie. Nie szczyp mnie, bo ci podstawię nogę!

W tej chwili wyrwała mu się z ramion, podbiegła do różanego krzewu, zerwała pur-  
purową różę i zawołała:

— Niech pani łapie! To od tego pan z przeprosinami za awanturę.

Róża poleciała w stronę okna, a panienska chwyciła ją w locie.

— Bardzo, bardzo dziękuję! — zawołała, mocno zarumieniona, i prędko cofnęła się  
w głąb pokoju.

— Ty diable! — mówił cicho Jerzy.

— Zwracam panu uwagę, że pan przemawia do damy! Ach, jaki galant!

— Po coś to zrobiła? Co sobie ta pani pomyśli?

— Ja wiem, że pan by rzucił w kobietę nie różą, tylko cegłą albo kamieniem. Malarz!  
Jeszcze nie pił wina, a już wszczynają awanturę... O, ja nieszczęśliwa!

— Będziesz płakać? — zapytał niespokojnie.

— Będę, jeśli mi się zechce. Słyszysz pan?

— Przede wszystkim nie mów do mnie „pan”... I nie płacz!

— A właśnie, że będę, bo ta panienska stoi za firanką i patrzy...

<sup>91</sup>Ramzes z dwudziestej trzeciej dynastii — humorystyczne odwołanie do mumii; Ramzes to imię często  
nadawane władcom starożytnego Egiptu. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>czerniakowski — odnoszący się do Czerniakowa, części warszawskiej dzielnicy Mokotów. [przypis edytor-  
ski]

Panienka bynajmniej nie stała za firanką, ale Jerzy spojrział ze strachem i uciekł.

Zjawił się dopiero na kolację i przyniósł dwie róże: jedną wręczył uroczyście matce, a drugą z zakłopotaniem Ewci, która uśmiechnęła się jednym okiem tkliwie, a drugim szelmowsko. Jerzy usiadł z powagą, ale oczy mu się śmiały. Wszystkim było wesoło i jasno na duszy. Gdy rozlano wino w kieliszki, Jerzy chrząknął i podniósł się.

— Czcigodna matko i ty szlachetna, wielkiego rodu dziewico! — prawil — Kiedy przed kilku dniami o godzinie szóstej rano gonilem po ulicach prastarej stolicy naszej pewnego brzdąca, nie przypuszczałem przenigdy, że gonię istotę szlachetną i wzniosłą. Trudno to było poznać po zadartym nosie i po chudych pedałach<sup>93</sup>...

— Oho! — zawołała Ewcia.

— I chudych pedałach, powtarzam! Natchnienie jednak, które jest znamieniem istot nadprzyrodzonych, wielkich poetów i wielkich malarzy, podszepteło mi, że to rajski ptak, którego należy złapać za ogon, aby nie uciekł. Proszę mi nie przeszkadzać, bo jestem w transie! Schwyciłem go i tutaj przywiódłem. I oto tej istocie, która tylko na pozór cierpi na rodzaj kręćka, zawdzięczamy, o, matko moja rodzona, te szczęsne chwile, ten nastrój niezmierniej radości, te kurczęta i te szparagi, i to wino... Bez niej bowiem, przyznaj to, matko wielkiego malarza, ujrzałbym raczej własne ucho niżli te szparagi i to wyborne wino po dwanaście złotych za butelkę. Ta dziewczica, u której stóp złożyłem przed chwilą najwspanialsze kwiaty z naszych niezmiernych włości, sprawiła, że źli stali się dobrymi, a smutni się weselą. Wzniesmy przeto kryształowe puchary! Panowie, panie! Na cześć tej, co się zowie Ewa i ma buzię jak cholewa, ale serce wielkie, złote, kryształowe i pełne słodyczy. Matko! Unieś z krzesła swoją dostojność i wypij... Masz babo placek! A ta beczy!

Ewcia płakała, śmiejąc się równocześnie. Rozpoczęła się dnia tego po raz drugi seria uścisków i pocałunków.

— Kiedy ja przemawiam — wołał Jerzy — zawsze wszyscy płaczą! Co, jeszcze wina? — zdumiał się, widząc, że Ewcia podstawia swój kieliszek.

— Odrobinę — mówiła Ewcia. — Bo ja chciałam wypić jeszcze jedno zdrowie... Pana Mudrowicza — dodała nieśmiało.

— Świetnie! — rzekł Jerzy. — Czy mam wygłosić mowę?

— Nie, nie! Ale wypijmy...

Uczynili to z milczącą powagą, po czym Jerzy wpadł w szał. Gadał, bredził, śmiał się i szalał. Tyle w nim było radości i złotej pustoty, że były od niego ognie. Pani Zawidzka patrzyła na tego chłopaka z tkliwością, a Ewcia tak serdecznie jak na najukochańszego brata.

W tej chwili zaterkotał dzwonek.

— O tej porze? — zdziwiła się pani Zawidzka — Kto to może być?

— Ktoś poczuł wino! — odrzekł Jerzy.

Honorcia poszła otworzyć.

Czekali w napięciu, wreszcie weszła Honorcia.

— Przyszedł, proszę pani, ten, co był rano. Ale on jest jakiś pomyłony! Pyta się, czy tu mieszka najgłówniejszy kanonik.

— Kanonik? Najgłówniejszy! — zdumiała się pani Zawidzka.

— Pan Szymbart! — krzyknęła Ewcia radośnie. — Przyszedł się dowiedzieć...

— Ale dlaczego pyta o kanonika?

— Ach, bo to cała historia, potem ją opowiem. Niech Honorcia powie, że mieszka tu kanonik.

— Dzieciom nie należy dawać wina! — mruknął Jerzy.

A pan Szymbart wszedł — rozpromieniony jak gwiazda wieczorna.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY, W KTÓRYM EWICIA RZUCA BU- TEM I ZAPOWIADA, ŻE STANIE NA GŁOWIE

Pani Zawidzka siedziała przy otwartym oknie, dziergając jakąś koroneczkę, i spoglądała czasem na syna, malującego w ogródku portret Ewci. Model tkwił, piekielnie znudzony, w trzcinowym fotelu. Apelles<sup>94</sup> zaś, ćmiąc fajeczkę, którą mu wolno było zatruwać po-

Portret

<sup>93</sup>pedał (pot.) — tu: noga. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>Apelles (ok. 370-ok. 300 p.n.e.) — starożytny malarz grecki. [przypis edytorski]

wietrze jedyne w przyzwoitej odległości od siedzib ludzkich, ustawił sztalugi na trawniku i przedziwne wyprawiał awantury. Zbliżał się do obrazu, odskakiwał i przechyliwszy głowę, patrzył zmrużonymi oczami; potem wpatrywał się długo, bardzo długo w twarzyczkę Ewci, jak gdyby chciał ją sobie zapamiętać na wieki wieków i znalazłszy w jej wyrazie coś, czego długo szukał, zaczynał gwałtownie jeździć pędzlem po płótnie. Serdecznie z tego zadowolony albo śmiał się głośno, albo gwizdał, albo cicho sobie podśpiewywał. W pewnej chwili straszliwie znudzona Ewcia zaczęła słuchać pilnie, albowiem malujący ją dryblas zanucił bezecnie:

— „Malowałem ludzi, malowałem brzozy, alem nie malował dotąd takiej kozy, oj dana!”.

Jeszcze nie przebrzmiały ostatnie dźwięki skoczego krakowiaka, a już spotwarzona Ewcia zerwała but z lewej nogi i cisnęła go wspaniałym rzutem w dorodną postać.

„I całus, i policzek ozwały się razem”<sup>95</sup> — jak mówi Mickiewicz<sup>96</sup> w *Panu Tadeuszu*.

Malarz, zręczny niczym małpa, odbił obelżywy pocisk w locie jak piłkę, ten zaś, znając z natury rzeczy prawa fizyczne, odbity z wielką siłą zmienił kierunek, łagodnym łukiem paraboli przeleciał przez mur i uderzył w szybę sąsiedniej willi. Szybkie musiało ze strachu pęknąć serce, bo zabrzączała smutno i wyleciała z oprawy w siedemdziesięciu siedmiu kawałkach.

— Co się stało?! — krzyknęła pani Zawidzka.

— Nic — odrzekła Ewcia. — Jerzy stłukł szybę w tamtym domu.

— W jaki sposób? — zdumiała się pani Zawidzka.

Jerzy chciał coś odrzec, ale nie mógł dokonać tej pospolitej czynności, bo zranione okno zostało otwarte i ukazała się w nim zdumiona panienska, trzymająca w prawej ręce bucik z lewej nogi, jakby na dowód, że życie dziwnie się kręci — raz w prawo, raz w lewo. I ona chciała coś powiedzieć, lecz zamilkła, ujrawszy już po raz trzeci w krótkim czasie przerażoną minę Jerzego i zauważywszy, że Ewcia daje jej jakieś tajemnicze znaki, błagając dość wyraziście o milczenie. Panienska mrugnęła wobec tego figlarnie i znikła.

Pani Zawidzkiej zdawało się przez chwilę, że się jej zakręciło w głowie. Niczego nie rozumiała.

— Dlaczego ta panienska trzymała bucik w ręce? — spytała zdumiona.

— Bucik? — rzekł Jerzy. — To ciekawe! Czy się mamie nie zdawało?

— Może być, że mi się zdawało — mówiła pani Zawidzka. — Ale co było z tą szybą? Czy to naprawdę ty ją stłukłeś? Co to wszystko znaczy? Czemu Ewcia się śmieje?

— Ona tak zawsze... Czy mama nie zna Ewci?

W tej chwili w głębi domu zadzwonił telefon. Pani Zawidzka podniosła się i kręcąc głową, udała się do środka. Ewcia, korzystając ze szczęśliwie nadarzącej się przerwy, podskoczyła do muru i zawołała zduszonym głosem:

— Proszę pani, proszę pani!

Panienska ukazała się w oknie.

— Niech mi pani prędko rzuci but... Oj, prędko... A za szybę zapłaci ten dryblas... Dziękuję!

Po raz trzeci Jerzy zamienił się w słup soli i spojrzął na Ewcię jak morderca, który obmyśla dla niej rodzaj najokrutniejszej, siedmiokrotnej śmierci. Musiał jednak odłożyć na czas niejaki straszliwe zamysły, gdyż pani Zawidzka zawołała z okna dziwnie poruszonym głosem:

— Ewuniu! Prędko do telefonu...

Ewcia pobieгла, zdumiona. Po chwili słychać było nawet w ogródku jej pisk w nieprzyzwoicie wysokiej tonacji:

— O, jakże się cieszę, proszę pana... Aha! Świetnie... A pan? Doskonale! Kiedy? — Dłuższa chwila słuchania. — W niedzielę? Oczywiście! Po południu... Pójdziemy ma lody! Musimy pójść... Mowy nie ma, mój złocieńki... — Pisk ustał na czas dłuższy. — Prawda, że śliczne? Nie mówiłam? Dobrze, dobrze... Dziękuję... Z wszelką pewnością... Murowane! Do widzenia, do widzenia!

<sup>95</sup>*I całus, i policzek ozwały się razem* — fragment utworu *Pan Tadeusz*, autorstwa Adama Mickiewicza (1798–1855). [przypis edytorski]

<sup>96</sup>*Mickiewicz, Adam* (1798–1855) — polski poeta romantyczny, działacz polityczny, publicysta, tłumacz, filozof, działacz religijny i mistyk. [przypis edytorski]

Powróciła z wypiekami na twarzy.

— Pan Mudrowicz! — ogłosiła zwycięsko.

— Poznałam go po głosie — mówiła pani Zawidzka. — To zdumiewające.

— Prosił, żeby panią pozdrowić... Zaprosił mnie na niedzielę po obiedzie...

— Pójdziesz? — zapytał Jerzy.

— Oczywiście, dlaczego nie miałabym pójść? Powiadam wam, że go jeszcze pogodzę z całym światem! A tym skwapliwiej go odwiedzę, że coś się temu biedakowi porobiło z oczami. Zdaje się, że traci wzrok...

— Mówił ci o tym? — zapytał Jerzy.

— Tego mi nie mówił... Powiedział mi tylko, że im więcej przygląda się twoim obrazom, tym więcej mu się podobają...

— Ja jednak zabiję tę poczwagę! — krzyknął Jerzy. — Niech jej mama nie zasłania, bo przecież to niesłychane, ile ja cierpię przez tego baka.

Pani Zawidzka nie zwróciła jednak uwagi na to, że w najbliższym czasie będzie matką mordercy, gdyż zapomniawszy i o szybie, i o dziwnej panience, co się w oknie ukazuje z butem w ręce, bardzo głęboko się zamyśliła.

— Chodź, Ewciu — rzekła po chwili — mam ci coś do powiedzenia.

— Jerzy! — zawołała Ewcia, odchodząc — zaczekaj na mnie w ogrodzie, bo ja ci też mam coś do powiedzenia.

— Dobrze, tylko pójdę przedtem po truciznę na szczury.

Pani Zawidzka zamknęła się z Ewcią w swoim pokoju i przez dłuższy czas tajemnie nad czymś radziły. Dziewczyna musiała być niezwykle z tej narady zadowolona, gdyż wyszła bardzo przejęta i uśmiechała się sama do siebie.

Odnalazła swego śmiertelnego i najmilszego wroga w pracowni, lecz nie weszła tam od razu, zbójca ten bowiem mógł albo zwyczajem wielu malarskich pracowni umieścić nad drzwiami kubek z wodą, albo też stanąć w ukryciu z pędzlem, umoczonym w czarnej farbie i przejechać nim po niezwykle inteligentnej jej twarzy.

— Jureczku — mówiła zza drzwi tonem słodko przyjaznym — nie rób awantur, bo mama się położyła. Otwórz drzwi!

— Otwórz sama, diable wenecki<sup>97</sup>!

— Kiedy się boję, Jureczku... A muszę z tobą pomówić!

— Napisz podanie, bo ja nie gadam z byle kim!

Ewcia na wszelki wypadek otworzyła drzwi nogą, sama zaś cofnęła się przezornie. Ponieważ nic nie zleciało z góry, a Jurek siedział na dole na pace po mydle, więc weszła ostrożnie.

— Słuchaj, Jureczku — rzekła ona — musimy się naradzić, co zrobić z tą szybą.

— Szyba została stłuczona twoim butem!

— Moim butem, ale ja nie mierzyłam w szybę, tylko w poetę od siedmiu boleści.

— Nic mnie to nie obchodzi! Po raz trzeci naraziłaś mnie na pośmiewisko wobec jakiejś pannicy.

— Ja? Ja w nią rzucam różami, a ty butem. Ale wszystko jedno... Musimy zapłacić za szybę i zapłaćmy po połowie. Dobrze? Mama ucięła sobie drzemkę, więc chodźmy teraz do tej panienki...

— Nigdy — zawołał Jerzy gwałtownie. — Nienawidzę panienek! Po co w ogóle to tałatajstwo wałęsa się po świecie i zatruwa ludziom życie?

— Naprawdę? — uśmiechnęła się Ewcia niewinnie. — Jureczku.. Przepraszam za pytanie. Czy ty się nigdy nie kochałeś?

— Ja? Cha! Cha! — zaśmiał się Jerzy jak szatan z Siedlec<sup>98</sup> albo z Radomia<sup>99</sup>.

— Ach, więc nigdy? A mnie mówiono...

— Kto ci mówił? — zapytał malarz, czerwony jak zachód słońca, zrobiony akwarelą.

— To obojętne. Mówiono mi, że pewien znakomity, choć długonogi, malarz bardzo się kochał w pewnej panience, ale ona powiedziała, że wolałaby skoczyć z dziesiątego piętra, niż wyjść za malarza.

<sup>97</sup>*diabeł wenecki* — odniesienie do Mikołaj Chwałowica a. Diabła Weneckiego (ok. 1330–1400), senatora wielkopolskiego, znanego z bezwzględności wobec przeciwników politycznych. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>*Siedlce* — miasto w województwie mazowieckim. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>*Radom* — miasto w województwie mazowieckim. [przypis edytorski]

— Nieprawda! Przede wszystkim nie ona to powiedziała, tylko jej matka, i nie tak było powiedziane, tylko podobnie. Ta panna zaś napisała mi, że gdyby to od niej zależało... Czemu się śmiejesz? A przede wszystkim, kto ci o tym opowiadał?

— Nikt. Pierwszy raz o tym słyszę, właśnie od ciebie. Powiedziałam tak sobie i jakoś się zgodziło!

Malarz najwyraźniej osłabł.

— Słuchaj, dziewczyno — rzekł konającym głosem. — Ty naprawdę nie zginiesz w sposób naturalnie przyzwoity. Znowu mnie ocyganiłaś... Tańczysz, jaszczurko, po moim sercu... Dobrze, dobrze! Przyjdzie jednak kiedyś mój dzień i wtedy będziesz skwierczeć na ogniu... A ja ani drgnę! Poczekamy, ja mam czas!

— Doskonale, a teraz chodźmy do tej panienki. Ile może kosztować taka szyba? Ze cztery złote? Dawaj dwa i ja dam dwa.

— Nie dam!

— I nie pójdziesz?

— Nie pójdę!

— Dobrze. Więc ja pójdę sama, ale co powiem, to powiem. Będzie ci gorąco.

Jerzy spojrział niespokojnie.

— Od razu ci uwierzą — zaśmiał się niepewnie. — Idź sama.

— Jureczku! Błagam cię, chodź ze mną. Przepraszam, zapłacimy i pójdziemy. To jakieś strasznie miłe stworzenie. I mądre! Od razu zrozumiała, kiedy jej dałam znak, że ma siedzieć cicho. I ma prześliczne, orzechowe oczy...

— Kiedyś ty mogła widzieć jej oczy?

— Już wtedy, kiedy mnie chciałeś zabić.

— Tak od razu zobaczyłaś? Dziwne! Kobieta, choćby pędrak, ma tyle oczu co mucha.

Po półgodzinnych namowach i zakłękach Jerzy poszedł jak na ścięcie.

— Nie powiem jednak ani słowa! — rzekł przedtem ponuro.

— Byłeś nie stłukł lustra albo nie wywrócił stołu, możesz nie gadać... Aha! Weź jakiś mały obrazeczek...

— Po co? Na co? Obrazek za szybę?

— Oczywiście. Założę się z tobą, o co zechcesz, że ta panienka nie zgodzi się przyjąć pieniędzy... Wtedy ty powiesz: „W takim razie proszę to wstawić zamiast szyby!”. To będzie heca koło pieca! O, zabierzmy ten... Dużo nie stracisz, bo obrazek wart jest niewiele więcej niż cztery złote.

Panienka z naprzeciwnika była szczęśliwie zdumiona.

„Ona ma istotnie orzechowe oczy...”, pomyślał Jerzy.

Ewcia gadała za wszystkich, spryskując śmiechem każde słowo, a Jerzy czasem cichutko jęczał.

— Ten pan — terkotała Ewcia — jest cudownym malarzem... A kiedy nie maluje, usiłuje mnie udusić. A ja tłukę szyby... Ładne towarzystwo, co?

Panienka oświadczyła z radosnym śmiechem, że szybę wprawi z własnego kapitału i jeśli tylko Ewci zrobi to przyjemność, niech jeszcze kilka wytłucze, bo taka miła znajomość warta jest odrobiny szkła.

— Słyszysz, Jerzy! — rzekła z tryumfem Ewcia, dając tajemne znaki. Malarz odwinął obrazek i powiedział głucho:

— W takim razie proszę to wprawić zamiast szyby!

Panienka z laskowymi orzechami zamiast oczu splonęła wielkim pożarem radości i na czas niejaki straciła głowę z wielkiego wzruszenia. Bardzo jej było z tym do twarzy i Jerzy, patrząc spode łba, zauważył to z niezwykłą przyjemnością.

— Ja nie mogę przyjąć za mizerną szybę tak cudownego obrazka — rzekła wreszcie panienka tak ciepłym głosem, że można było ugotować w nim jajko na miękko.

— Musi pani! Pan Jerzy oświadczył mi uroczyście, że do tak ślicznej osoby nie pójdzie z pierwszą wizytą z pustymi rękami.

— Ja wcale nie jestem śliczna... To obrazek jest śliczny! — wołała z zapalem panienka, z której oczu można było zrobić tort orzechowy.

I nie wiadomo właściwie, dlaczego rzuciła się Ewci na szyję, jak gdyby to ona namałowała to чудо.

Sąsiad, Dar, Piękno

— Boże drogi, jacy wy jesteście dobrzy! — mówiła, ściskając Ewcię i patrząc na Jerzego, który zauważył, że słońce wyrabia przedziwne cudzy z płowymi jej włosami, że panienka ma głos podlany złocistym miodem i niezwykłej piękności ręce.

Ewcia oświadczyła z głęboką powagą, że ona sama jest straszliwym drapichrustem i jedynie zbawienne rady pana malarza kierują jej duszę na spokojne wody.

(Jerzy słuchał ze śmiertelnym zdumieniem).

— To ja rzuciłam butem, bo mi się zdawało, że jakiś dziki kot chce porwać wróbla.

(Jerzy zakwilił cicho jak ptaszyna polna).

— Więc pan Jerzy kazał mi tu przyjść i przeprosić panią jak najserdeczniej...

(Jerzy dotknął ręką czoła, badając, czy pięć klepek głowy trzyma się kupy).

— To cudownie, to cudownie! — mówiła panienka. — Czy ja mogłam spodziewać się kiedykolwiek, że poznam tak sławnego i tak znakomitego człowieka...

(Jerzy zdrzął jak sejsmograf, który poczuł trzęsienie ziemi w pobliżu).

Pożegnanie odbyło się wśród okrzyków i wielu nawrotów. Ewcia musiała przyrzec panience, której orzechowe oczy mogły doprowadzić do zgłodniałej radości każdą wieiórkę, że ją odwiedzi choćby jutro. Jerzy zaś usłyszał raz jeszcze, że ile razy panienka spojrzy na jego obrazek, tyle razy zobaczy niebo, choć na płótnie kwitły drzewa i nieba nie było widać.

— Czy wiesz — mówił Jerzy do Ewci po powrocie — że ty możesz człowieka przyprowadzić o utratę zmysłów?

— Aha? Widziałam, jak się chwytaleś ręką za głowę... Żałujesz obrazka?

— Wcale nie żałuję! To jakieś dobre stworzenie... Ale po co ty jej tak zakręciłaś w głowie?

— Ja? — zdumiała się Ewcia.

— A kto? Czy to ja łągałam?

— Ja też nie łągałam, tylko mówiłam poetycznie... Ależ ona śliczna! Tylko że cokolwiek przesadza...

— Czemu przesadza?

— A żeś ty taki „sławny”, taki „znakomity”...

— Tak mówiła? — rzekł Jerzy cichutko.

— A ty, biedactwo, nie słyszałaś?

Jerzy nie odrzekł nic, bo się zadumał. Potem, wzruszywszy ramionami, poszedł do pracowni — zapewne po to, by ukoić wzburzoną duszę.

„Co by on zrobił beze mnie!”, pomyślała Ewcia. „Wszystko na mojej głowie...”.

Wesołe awantury z wesołym Jerzym były pierwszorzędną zabawą. Jerzy, malarz istotnie znakomity, obdarzony talentem zdumiewającym, miał w sobie tyle chłopięcej, niefrasośliwej pustoty, że Ewci się wydawało, jakby znali się od stu siedmiu lat. Roztkliwiała ją jego wzruszająca miłość do matki, uwielbiała jego obrazy, nic sobie natomiast nie robiła z jego powagi. Wiedziała od dawna w chytrym rozumie, że Jerzy za nią przepada; od czasu zaś świetnej wyprawy do pana Mudrowicza skoczyłby za nią w ogień. I wiedziała też z wszelką pewnością o tym, że w tym wesołym malarzu tkwi serce niewypowiedzianie dobre, którym by się podzielił bez wahania z każdym cierpieniem i z każdą rozpaczą. Prostota zaś i ufność tego serca były tak wielkie, że wesołego malarza można by snadnie za niewielkie pieniądze sprzedać do Egiptu, on by zaś zauważył to szachrajstwo dopiero po przybyciu na miejsce. Na szczęście Jerzy nie miał braci, potrzebujących gwałtownie pieniędzy<sup>100</sup>.

Wybuchnęła śmiechem, przypomniawszy sobie jego pogańskie miny podczas odwiedzin u panienci z sąsiedniego domu i jego słowa, gdy ofiarując jej obrazek, powtórzył dokładnie zdanie wedle przepisu Ewci. Było to dość zdumiewające, biorąc pod uwagę znakomite jego wygadanie — skoro bowiem dosiadł bachmata<sup>101</sup> wymowy, musiał gnać na nim na złamanie karku.

„Coś mu padło na rozum!”, pomyślała Ewcia ze śmiechem. „Ale teraz temu też...”, dodała szybko, widząc z ogródka, że jakiś młody człowiek, stojący przed bramą, wyprawia dziwne historie.

Spotkanie

<sup>100</sup>Jerzy nie miał braci, potrzebujących gwałtownie pieniędzy — nawiązanie do biblijnej historii Józefa, którego bracia sprzedali w egipską niewolę. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>bachmat — koń dawniej używany przez jazdę tatarską i polską. [przypis edytorski]

Był to bardzo wyrosnięty młodzieniec lat około dziewiętnastu, z płową czupryną niczym nieprzykrytą, choć słońce paliło niemiłosiernie. Sprawiał wrażenie bardzo zabiedzzonego, odziany zaś był tak smętnie, że jako strach na wróble dostałby od razu zajęcie u każdego kmiotka. Twarz miał jasną i spojrzenie tak pogodne, jak gdyby nigdy nie widział deszczu, chmur i nocy. Stał przed bramą od dłuższego czasu i już ze dwadzieścia razy skierował palec ku dzwonnkowi przy bramie i tyleż razy go cofnął, jak gdyby guzik dzwonnka rozpalony był do czerwoności; a wreszcie, żeby sobie dodać odwagi, przeżegnał się i wyciągnął rękę z takim strachem na sympatycznej fizjonomii, że Ewcia zawołała:

— Zaraz panu otworzę!

Młodzieniec spojrział i chciał w pierwszej chwili uciec, bo zachwiał się na piętach. Zarumienił się, ujrawszy Ewcię tuż przed sobą, i prawą nogę dzielnym ruchem przesunął do lewej, co miało oznaczać, że się nisko kłania.

— Do kogo pan? — spytała Ewcia uprzejmie.

— Do pana Zawidzkiego — bąknął młodzian i skłonił się raz jeszcze sposobem posuwistym.

— Proszę wejść! — rzekła Ewcia.

Młody człowiek po przejściu przez bramę uklonił się po raz trzeci.

„Bardzo grzeczny człowiek”, pomyślała Ewcia, a głośno rzekła:

— A pan Zawidzki zna pana?

— Doskonale, proszę pani — odrzekł młodzian; zarumienił się raz jeszcze i uklonił się po raz czwarty, zapewne żeby było do pary. — Niech mu pani łaskawie powie, że przyszedł Rogalik.

— Kto przyszedł?

— Rogalik... Bo ja się tak nazywam, proszę pani. Nieco wesołe nazwisko, prawda, proszę pani.

— Bardzo smaczne! — zaśmiała się Ewcia. — Och, przepraszam pana... Tak mi się wyrwało!

Pogodny Rogalik uśmiechnął się pięknym uśmiechem i rzecz prosta — uklonił się.

— Nie szkodzi! — rzekł wesoło. — Proszę pani... Może ja tu w ogródku poczekam na pana Zawidzkiego. Och, jakie to śliczne! — zawołał nagle ściszym głosem, wskazując palcem na sztalugi z portretem Ewci, dotąd stojące w ogrodzie.

— To ja! — rzekła Ewcia z odrobiną dumy.

— Boże, Boże! Jaki to talent z pana Zawidzkiego... Ten ci dopiero maluje, cholera! O! Przepraszam...

— Za cholere? To drobiazg — rzekła rozradowana Ewcia. — Zaraz przyprowadzę pana Zawidzkiego.

Pobiegła szybko do pracowni z wesołą nowiną, że jakiś niezmiernie miły, chociaż mocno zabiedzony, Rogalik czeka w ogrodzie.

— Rogalik?! — zawołał Jerzy. — Przyszedł, biedaczyna? Przynieś go tutaj!

— Sam go sobie przynieś. A kto to jest ten Rogalik?

— Złoty chłopiec — mówił Jerzy, układając obrazy, które przeglądał — Syn biednego szewca, dlatego chodzi bez butów, jak to zapewne zauważyłaś. Chce za wszelką cenę zostać malarzem. Bardzo, bardzo zdolny chłopiec... I ja, i moi przyjaciele pomagamy mu od czasu do czasu, ale nikt z nas nie wie, co on w ogóle jada...

— Biedactwo...

— Wielkie biedactwo... Najgorsze z nim jest to, że nie będzie miał za co skończyć Akademii... Przebrnął przez gimnazjum i jeden rok przetrwał na malarstwie. Bóg jeden wie, jakim sposobem. Ojciec, mizerny szewc, sam chyba smołę gryzie. Młodzieniec ma jakichś tam krewnych w Krakowie, którzy by go może przytulili i tam mógłby się uczyć dalej, ale za co będzie się uczył? Obiecałem mu, że jadąc z Zakopanego wstąpię do Krakowa i rozpatrzę się w sytuacji.

— I co, Jureczku, i co?

— Istotnie, mieszkać miałby gdzie. Bo tu, w suterenie u ojca, nawet tego nie ma. Ale co z resztą? Biedny Rogalik...

— A taki miły. Na widok mojego portretu aż zawył z zachwyty...

— To dobry chłopak. Gdzie on jest, w ogrodzie?

— W ogrodzie. A przed bramą stał przez pół godziny.

Jerzy wyszedł na schody i wyjrzał przez niewielkie okienko. Powrócił do pracowni zatroskany.

— Przecież z tego chłopca wszystko leci! — rzekł, zamyślony. — Słuchaj no, Ewuniu! Wiesz, gdzie stoi szafa z moją garderobą? Wisi tam brązowe ubranie, nieco sfatygowane, ale jeszcze porządne. Dobry kolega nie obrazi się... Zawini to starannie, aby nie było widać, co jest wewnątrz, i połóż w przedpokoju na krześle... Musimy sprawić, aby szlachetny Rogalik wyglądał jak arcyksiążę.

— Rozumiem!

— Sama się już nie pokazuj, aby mu nie było przykro, bo to ambitny gość. Od malarza przyjmie, ale jeśli nikt o tym wiedzieć nie będzie... Zrobisz to?

— Z całego serca!

— A teraz przyślij go tutaj.

Rogalik, uprzejmie poproszony, aby się raczył wspiąć na szczyty domu, ukłonił się, zarumienił, uśmiechnął i poszedł.

„Idź złoto do złota!”, pomyślała Ewcia i pobiegła badać wnętrze szafy.

Bardzo starannie przygotowała zawiniątko i po głębokim namyśle odwiedziła Honorcię w kuchni.

— Pani Honorciu kochana — powiedziała z najmiłym uśmiechem. — Pan Jerzy prosi o herbatę do pracowni... O dwie herbaty... Bo to widzi Honorcia, pan Jerzy ma gościa. Ach, byłabym zapomniała! Czy nic nie zostało z obiadu?

— Jeżeli Rolmops nie ukradł, to coś się znajdzie. A bo co?

— Bo widzi Honorcia... Ten gość... Z daleka przyjechał... I jest bardzo głodny. Więc pan Jerzy mówił... Rozumie Honorcia? Gdyby tak coś do zjedzenia... Ale dużo! Ja dzisiaj nie mam apetytu, więc niech Honorcia weźmie i to, co miało być dla mnie. Honorciu najdroższa, dobrze?

Honorcia spojrzała na nią bystro.

— Niech panienska nie kręci! — rzekła dobrotliwie. — Jeżeli przyszedł do pana Jerzego gość, to jest to malarz. A jeżeli on jest malarz, to po co tyle gadać? Czy to pierwszy?

— Honorciu złota! — zawołała Ewcia, ściskając pocziwą kobietę. — Jaka Honorcia jest mądra!

Zdumiał się Jerzy, ujrzawszy przenośną restaurację, z którą Honorcia wkroczyła do pracowni. Zdumiał się, ale pomyślał wesoło, że Ewcia jest wprawdzie koza, ale kuta na przednie i tylne nogi. Rozmawiał przeto wesoło z kolegą Rogalikiem, który na wszelkie pytania odpowiadał ruchami głowy, rąk, nóg i tułowia, albowiem właściwy narząd, przeznaczony przez naturę do gadania, zajęty był nieustannie jedzeniem, na co Jerzy patrzył z rozrzuwioną przyjemnością.

Po upływie godziny ujrzała Ewcia stowarzyszenie malarzy złożone z dwóch osób (święty Łukasz<sup>102</sup>, patron malarskiego cechu, był oczywiście obecny, ale niewidzialny), zdążające ku bramie. Starszy i już sławny odprowadzał grzecznie malarskie piskłę, mierzące na oko metr dziewięćdziesiąt — ale jednak piskłę. Kolega Rogalik był przejęty, szczęśliwy, promienny, najedzony, zarumieniony, uśmiechnięty i wciąż się kłaniał; zaś kolega Zawidzki klepał go po plecach i coś do niego wesoło gadał. Młody malarzyna cisnął do wezbranej piersi tobolek tak serdecznym ruchem, że mocno zastanowiłby się ten, kto by mu go wyrwać usiłował. Musiałby przedtem wyrwać serce z miłego Rogalika.

Ewcia rozrzewniła się tym widokiem.

„Jurek”, myślała, „zaczny chłop! Ale ten Rogalik też nadzwyczajny... Kamienie będzie gryzł, a malarzem zostanie”.

Zaczęła się głęboko zastanawiać nad tym, jaka straszliwa moc tkwi w sztuce, skoro człowiek ponosi dla niej najcięższe ofiary. Sama tego nie odgadnie, ale musi na ten temat pogadać z Jerzym. On dużo wie. A Ewcia dałaby głowę za to, że gdyby Jerzemu ofiarowano nawet skarby, by się wyrzekł malarstwa, on w odpowiedzi na to wybiłby ofiarodawcy pokazną liczbę zębów w gwałtownym i słusznym gniewie, chociaż go można do rany przyłożyć.

<sup>102</sup>święty Łukasz — apostoł, twórca trzeciej Ewangelii, święty Kościoła katolickiego i prawosławnego; przypisywane mu jest także autorstwo cudownego portretu Madonny. [przypis edytorski]

— Ewuniu! — szepnął Jerzy, niespodzianie stanąwszy przy niej i przy jej zadumie. — Nie chcę robić plotek, ale zda się, że spadłaś miłemu Rogalikowi na głowę jak cegła z dachu.

— Nie rozumiem — odpowiedziała Ewcia, zarumieniwszy się jak zorza poranna.

— Skoro nie rozumiesz — zaśmiał się Jerzy chytrze — dlaczego się w takim razie rumienisz? Ale ci powiem. Mój kolega najpierw jadł, ale kiedy przestał jeść, gadał tylko o tobie. Nie bałamuć Rogalików, przewrotna kobieto!

— Każ przenieć swój dowcip, bo już bardzo znoszony! — parsknęła Ewcia i uciekła.

Doniesiono jej wkrótce, że w kuchni czeka na nią jakiś chłopczyna z listem. List był od pana Szymbarta i brzmiał tragicznie krótko:

„Droga Ewciu! Przyjdź do nas natychmiast. Jest bardzo źle. Szymbart”.

Ewcia miała zamiar odwiedzić Szymbartów w niedzielę rano, po południu zaś udać się z uroczystą wizytą do pana Mudrowicza. Postanowiła jednak natychmiast stawić się na wezwanie, jeżeli bowiem „jest bardzo źle” — nie ulega wątpliwości, że źle może być tylko z Zosią. Wprawdzie i panu Szymbartowi bywało czasem „bardzo źle”, jednakże jej nie wezwałby na pomoc. Wybrała się natychmiast w drogę; zostawiła karteczkę z wiadomością dla pani Zawidzkiej i już miała wybiec, lecz przypomniała sobie o czymś w ostatniej chwili. Zapukała do drzwi Jerzego i objaśniwszy go krótko o wezwaniu pana Szymbarta, powiedziała cicho:

— Jureczku, pożycz mi osiemdziesiąt groszy!

— Nawet całego złotego — rzekł Jerzy, wyjmując portmonetkę; Ewcia była już u drzwi, gdy wtem Jerzy zawołał:

— Za pozwoleniem!

— Gadaj, prędko, bo się śpieszę...

— Zaraz, zaraz... Jeszcze wcześniej. Powiedz mi, na co ci te osiemdziesiąt groszy!

— Na tramwaj na dziś i od razu na jutro. A bo co?

— Na tramwaj... A przecież pani hrabina miała własnego majątku trzydzieści siedem złotych...

— No to co?

— Niby nic... Gadaj natychmiast, co się z nimi stało?

— Przede wszystkim nie trzydzieści siedem, tylko trzydzieści jeden. Miałam istotnie trzydzieści siedem, ale pięć wydałam na auto, kiedy wozilałam rozmaite twoje smarowidła, a resztę na tramwaje. A poza tym, czyje to były pieniądze?

— Oczywiście, że twoje, ale ponieważ ja jestem twoim opiekunem, mam prawo wiedzieć... Czemu ty, brzdącu, tak się rumienisz? Ha! To jakaś nieczysta sprawa! Pokaż mi natychmiast swoją torebkę!

Zamiast torebki, której widok nie jest obelżywy, Ewcia pokazała mu język, co u niektórych ludów oznacza wysoki stopień obrazy.

Po chwili nie było jej w zasięgu pocisku, którym za wytworną damą mógł być rzucić szalony malarz.

Ewcia zdążyła z odrobiną trwogi w sercu, jak ją powita pani Szymbartowa. Po dłuższym namyśle doszła jednakże do przekonania, że należy wszystko ścierpieć wobec tego, że Zosi stało się zapewne coś złego i trzeba jej pośpieszyć z pomocą.

Nagle przystanęła, jak gdyby coś ją zatrzymało w drodze.

— Tak, tak będzie najlepiej! — rzekła sama do siebie.

Zmieniła kierunek i idąc szybko wzdłuż prawej strony ulicy Wspólnej<sup>103</sup>, przyglądała się pilnie umieszczonym obok bram wywieszkom i tabliczkom. Jedna z nich oznajmiała czarno na białym, że w tym domu mieszka pan doktor Różański. Był to kolega i serdeczny przyjaciel pana Tyszowskiego, przy czym zaprzysiężony przyjaciel Ewci, którą znał od chwili zbędnych jej narodzin i miłował gorąco. Zdumiał się na jej widok i oświadczył na wstępie, że musiała zająć do niego przez pomyłkę — on jest bowiem specjalistą od chorych płuc nie od pomyłonych głów i zadartych nosów. Wysłuchał jednak cierpliwie spletaną historię pani Szymbartowej, śmiertelnie obawiającej się lekarzy i leczącej jedyńką córkę okładami z posiekanych śledzi. Frasobliwie kręcił głową, słuchając szczegółów

<sup>103</sup> *Wspólna* — ulica w centrum Warszawy. [przypis edytorski]

ucieczki przez okno, i poradził Ewci serdecznie, aby w dniu powrotu ojca przyszła znów do niego, a on jej da doskonałą maść, która wybornie goi miejsce, dotkliwie znieważone karzącą ręką ojcowską.

Ponieważ sobotnie popołudnie wolne było od przyjęć, pan doktor oznajmił gotowość natychmiastowej wyprawy do Szymbartów, wyraziwszy nadzieję, że go pani Szymbartowa jednak nie obleje ukropem.

— Ja wejść pierwsza, a pan poczeka u pana Szymbarta — rzekła Ewcia.

— Czy jego mam też zbadać?

— Nie, ale gdyby mu pan przepisał butelkę koniaku, pocziwy ten człowiek byłby panu serdecznie wdzięczny. Ja bardzo lubię pana Szymbarta.

Właśnie on otworzył im drzwi, co Ewci dodało otuchy. Pan Szymbart wzruszył się głęboko, dowiedziawszy się, kim jest jej towarzysz. Objął ją pośpieszonym szeptem co i jak i wprowadził lekarza do swego pokoju.

Ewcia zapukała cichutko do izdebki, w której przy łóżku ciężko chorej Zosi siedziała od wielu, wielu godzin pani Szymbartowa. Patrzyła na córkę oczami, w których nie było spojrzenia, lecz samo tylko przerażenie. Ręce spłotła tak kurczowo, że na przegubach palców było widać białą, bezkrwistą skórę. Nieszczęśliwa matka nie śmiała głębiej odetchnąć, aby nie spłoszyć tej miękkiej ćmy snu, która czasem zlatywała na jej obłądnie ukochane dziecko. Mogło się zdawać, że pani Szymbartowa zapamiętała się w boleści; wszystko dokoła niej — żywe czy martwe — przestało istnieć, a świat cały zmniejszył się przeraźliwie do kształtów biednej, biedniutkiej dziewczyny. Leżała ona blada, z zimnymi kroplami potu na czole. Usta jej, białe niemal, lekko były rozwarłe. Ręce chude, do cna wynędzniałe, spoczywały bez ruchu na ciężkiej koldrze, a przy jej jaskrawo rozkrzyczanej czerwieni białosc dziewczyny była tym bardziej przeraźliwa. W pokoju panował mrok duszny, ciężki, nagrany — jak suta draperia zwisająca z pułapu. Śmiertelnie smutny był widok leżącej nieruchomo nędzy i nieruchomo siedzącej rozpacz, rozpacz już do niczego niezdolnej, zmartwiałej, już nie siedmiokrotnej, lecz stukrotnej. Zdawało się, że ta matka czeka bez ruchu na ukazanie się śmierci, aby drgnąć na jeden moment i całą treść życia zmieścić w słowach: „Weź mnie, nie zabieraj tego dziecka!”

Choroba, Matka, Rozpacz

Ewcia, nie usłyszawszy odpowiedzi na pukanie, weszła cicho, cichuteńko. Stała w drzwiach i ujrzała w mroku dwie plamy śmiertelnie białe — twarze matki i córki. Pani Szymbartowa powoli i bez śladu zdziwienia skierowała na nią spojrzenie i coś jak gdyby niewyraźny szept zadrzało na jej ustach. Widać jednak, że nie mogła się ani podnieść, ani skłęcić jednego słowa. Ewcia ukloniła się i spojrzała na nią z bezmierną tkliwością. Potem, stąpając na palcach, podeszła do łóżka i pochyliła się nad ukochaną przyjaciółką. Zosia nie mogła słyszeć jej wejścia, lecz coś w jej serduszkach, ledwie bijącym, musiało zadrzeć, bo powoli, jakby z trudem podnosiła powieki. Zdawało się, że coś sobie z trudem przypomina i że sobie wreszcie po chwili przypominała, bo uśmiechnęła się bledziutko i wyszeptowała:

— Ewcia... Ewcia...

Ewcia odpowiedziała jej złotym uśmiechem. Położyła palec na ustach, niby że jej mówić zakazuje, i powiedziała sama cichutko:

— To ja, Zosieńko, to ja... Usłyszałam, że udajesz chorą, więc prędko przybiegłam i wciąż będę przychodziła.

Położyła swoją rękę na rączynie Zosi i poczuła, że ta rączyna jest wilgotna. Coś ją chwyciło za gardło, lecz opanowała się szybko.

— Zosieńko — mówiła z taką słodyczą, że głos jej brzmiał jak cichutka muzyka — strasznie się za tobą stęskniłam...

— Ja też... — starała się mówić dziewczyna.

I znowu się uśmiechnęła.

Pani Szymbartowa, ujrawszy dwa uśmiechy na woskowej twarzy córki, zadrzała, jak gdyby te grymasy, nikłe jak tchnienie, blade jak świt jeszcze nienarodzony, wielkim były szczęściem. Zdawało się, że się stał jakiś cud. Od dwunastu godzin patrzyła w twarz córki i widziała na niej jedynie stężały smutek. Zdawało się, że teraz dopiero poznała Ewcię — spojrzenia ich się spotkały i wtedy Ewcia dała znak, że ma jej coś do powiedzenia.

Pani Szymbartowa, myśląc z jakichś mroków powracająca, podniosła się ciężko z krzesła.

— Zosieńko — powiedziała Ewcia — zaraz tu wrócimy. Ja tylko coś pokażę mamusi...  
— Dobrze...

Ewcia ujęła panią Szymbartową pod ramię i łagodnie zwróciła ją ku drzwiom. Zbolała kobieta, jak gdyby opuściła ją wola, szła pokornie. Ewcia zawiodła ją do dawnego swego pokoiku, posadziła na krześle i poczęła mówić gorąco:

— Proszę pani... Przepraszam za to, co zrobiłam. Ale to teraz nie ma znaczenia... Zosia jest bardzo chora i to jest najważniejsze... Widzi pani, co się dzieje... Proszę pani... Ja przyprowadziłam lekarza, znakomitego lekarza... Jest u pana Szymbarta...

Mogło się wydawać, że nieszczęśliwa kobieta nie rozumie ani słowa.

— Przyprowadziłam lekarza! — rzekła Ewcia dobitnie.

— Lekarza... — powtórzyła pani Szymbartowa głucho. — U nas nikt... Nigdy... Lekarza...

— Otóż to! — mówiła Ewcia gorąco. — Byłabym to uczyniła już dawno, ale nie przypuszczałam, że pani do tego doprowadzi... Przepraszam panią... Nie przypuszczałam, że Zosia jest aż tak chora. Na litość boską! Czemu pani...

Nie dokończyła, spojrzawszy na twarz tej dziwnej matki, co dałaby sobie uciąć rękę za każdy rumiany uśmiech dziecka, a trwożącej się, że każdy obcy je skrzywdzi.

— Mogę go zaprowadzić do Zosi? Słyszysz mnie pani?

— Tak, słyszę... Czy to... Czy to dobry lekarz?

— Jeden z najlepszych!

— Pozna się na wszystkim?

— Tak, oczywiście...

— Ewciu... — szepnęła pani Szymbartowa. — Ona nie umrze?

— Niech pani odpuka! — zawołała Ewcia. — Ani jej się śni!

Pani Szymbartowa tak patrzyła na jej usta, jak gdyby to one miały wygłosić nieomylny wyrok. Potem nagle rzuciła się Ewci na szyję ze szlochem.

Dziewczyna przytuliła się do niej i mówiła szybko:

— O, droga pani! Wszystko będzie dobrze... Spokojnie, spokojnie... Niech pani nie płacze... Niech pani nie płacze, bo Zosia jeszcze usłyszy...

Szloch pani Szymbartowej ustał jakby siłą zdławiony. Otarła oczy i rzekła:

— Bóg cię nagrodzi, Ewuniu... Bóg cię nagrodzi... Jak ona się do ciebie uśmiechnęła! Chodźmy. Zawołaj lekarza... Może on... Może on... Ja wszystko zrobiłam... Pewnie źle...

Ewcia nie słyszała już ostatnich słów.

Pan doktor Różański zdrzął, wszedłszy do pokoiku, w którym leżała Zosia w martwej duszności powietrza. Rzucił ciężkie spojrzenie na stojącą we drzwiach, pełną śmiertelnego lęku, panią Szymbartową. Niecierpliwym ruchem rozgarnął franki i wezwał Ewcię do pomocy. Uśmiechnął się do Zosi dobrym, serdecznym uśmiechem i zagadał do niej wesoło:

— Przyjaciółki naszych przyjaciółek są naszymi przyjaciółkami... Zaraz zobaczymy, czego dziewczynce brak? Ewci brak piątej klepki, ale chyba nie wszystkie panny skaczą przez okno jak kozy... Ewciu, podnieś poduszkę... Tak... Tak... Kiedy teraz zapukam palcem w plecy, proszę mi nie odpowiadać: „A kto tam?“, bo powiem „Swój!“. Ho, ho! Dziewczynka się śmieje, a Ewcia też się ze mnie natrzęsa...

Wciąż tak gadał niby wesoło, lecz w spojrzeniu miał troskę.

Zosia, zdziwiona i przejęta, uśmiechała się naprawdę, gdyż pan ten był niezmiernie miły. Pani Szymbartowa patrzyła jak na czary i gusła<sup>104</sup>. Skoro ujrzała uśmiech córki, który się zjawiał coraz częściej od chwili wejścia Ewci i tego człowieka, serce w niej zadygotało z niezmiernego wrażenia. Ucichło jednak gwałtownie, gdyż lekarz skończył badanie i pożegnawszy Zosię wesołym i żartobliwym pozdrowieniem, przeszedł do sąsiedniego pokoju. Wszyscy poszli za nim. Pani Szymbartowa, blada i złękciona, stanęła na uboczu. Lekarz usiadł i przez dłuższą chwilę nic nie mówił. Raz jeden spojrzął twardo i ciemno na zaślepioną matkę.

Wreszcie rzekł cicho, jak gdyby się obawiając, że go może usłyszeć chora dziewczynka.

— Proszę państwa, jest bardzo źle...

— Jezu! — jęknęła pani Szymbartowa.

Lekarz

<sup>104</sup>gusła — obrzędy towarzyszące praktykom magicznym, zabobony. [przypis edytorski]

— Gruźlica mocno posunięta... Zbrodniczo zaniedbana... To dziecko zabijano na raty...

W tej chwili lekarz napotkał błagalne spojrzenie Ewci, która mu wskazywała oczami panią Szymbartową. Zrozumiał je i dodał szybko:

— Dziewczynę można jednak uratować... Nawet z wszelką pewnością można uratować...

Pani Szymbartowa, bliska omdlenia, szeptała coś, czego nie można było zrozumieć. Ewcia przysunęła się do niej i objęła ją miękko.

— Trzeba jednak zabrać się do leczenia natychmiast, gdyż każda chwila jest bezcenna. Dziewczynę należy wysłać do sanatorium do Otwocka<sup>105</sup> na czas długi, najkrócej na rok. Wtedy będzie uratowana. Słyszysz pani?!

Pani Szymbartowa patrzyła w niego rozszerzonymi oczami i skinęła ciężko głową na znak, że słyszy.

— Panie Szymbart! — rzekł lekarz. — Kładę panu na serce troskę o ten wyjazd. Natychmiastowy wyjazd! Wyjazd taki pośpieszny, jak gdyby to były wyścigi ze śmiercią.

W pokoju drżała cisza smutna i przygniatająca.

Lekarz zaczął po dłuższej chwili mówić znowu powoli i dobitnie. Pisał potem długo recepty, wreszcie podniósł się i zbierał się do odejścia. Wtedy pan Szymbart zbliżył się do niego nieśmiało i zaczął szeptać.

— Nic! — odrzekł lekarz. — Przecież to przyjaciółka Ewci... Moje honorarium ofiaruję na auto dla tej biednej dziewczynki. Bądź zdrowa, smarkulo... Idź do licha, czemu się mnie czepiasz? Wynoś się! Daj mi od czasu do czasu znać, co słyhać... Odczepisz się wreszcie czy nie? Dość, dość, bo mi żebra połamiesz! Moje uszanowanie...

Pan Szymbart poszedł odprowadzić lekarza do drzwi. Gdy powrócił, miał twarz szarą. Usiadł ciężko i mówił:

— Bóg cię zesłał, Ewuniu... I ten lekarz, zacy człowiek... Lecz co my zrobimy, co my zrobimy?

— Z czym? — spytała Ewcia.

— Na miesiąc pobytu w sanatorium może się znajdzie, a co potem?

Ewcia zmarszczyła czoło w głębokim zamyśleniu.

— Znajdzie się! — zawołała ściszym głosem. — Żebym miała stanąć na głowie!

Nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego w tej dziwacznej pozycji Ewcia potrafi zdobyć pieniądze. Jakoś łżej jednakże westchnął pan Szymbart, a pani Szymbartowa spojrzała na nią z takim zdumieniem, jak gdyby Ewcia już stanęła na głowie.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY, W KTÓRYM EWCIA PRZYSPARZA STOLICY DWÓCH ELEGANTÓW NAJWYŻSZEJ KLASY

Jerzy nie uszanował świętej niedzieli i rozpoczął dzień od awantury.

— Gdzie jest mój czerwony, jedwabny krawat? — wołał, wsadziwszy zatroskaną głowę w głąb szafy.

Ponieważ szafa nie odpowiedziała, powtórzył pytanie, zwróciwszy się w stronę matki i Ewci, siedzących przy śniadaniu. Pani Zawidzka wyraziła domysł, że może Jerzy zgubił krawat w podróży do Zakopanego. Malarz oświadczył w tonie rozjęczanym, że najwspanialszego swojego krawata nie zabierał w góry. Ewcia nie złożyła żadnego oświadczenia.

— Ha! — zawył Jerzy. — A gdzie jest moja jedwabna koszula?

Ponieważ i tego nikt nie mógł odgadnąć, poczęto snuć śmiało przypuszczenia, wśród których najodważniejszym było posądzenie Rolmopsa o kradzież; było ono jednak oczywiście niesłuszne, bo chociaż mogło się zdarzyć, że kundel w przystępie nagłego obłędu zjadł krawat, nie mógłby jednak pożreć i strawić koszuli. Wobec tego Jerzy był bliski rozpaczliwego zamiaru rozwalenia głową twardej szafy. Zanim to jednak wykonał, krzyknął po raz trzeci, zauważywszy brak jednej pary pończoch, jednej pary rękawiczek odświętnych i jednej chustki do nosa. Wtedy dopiero osłabł, zatoczył się, jak gdyby na szlachetną jego głowę spadła z piątego piętra cegła, usiadł na krześle i głucho jęczał. Jawne się sta-

Strój

<sup>105</sup>Otwock — miasto położone w pobliżu Warszawy. [przypis edytorski]

ło, że niepojęta strata najwytworkniejszych części garderoby musiała mu coś pomieszać w rozumie.

Pani Zawidzka wezwała Honorcię, która przysięgłszy na cienie ojców i dziadków, że nie ma pojęcia, kto mógł poczynić to straszliwe spustoszenie, poradziła życzliwie Jerzemu, żeby odmówił gorącą modlitwę do św. Antoniego<sup>106</sup>, patrona rzeczy zagubionych. Malarz zamiast usłuchać dobrej rady lypał oczami i od czasu do czasu chwycił się rękami za głowę mołojecką<sup>107</sup>. Nagle znieruchomiał, bo ostatnim błyskiem świadomości zauważył, że milcząca Ewcia nasypała do herbaty trzy łyżeczki soli, a na jajko na miękko, z którego nie obtlukła skorupki, cukier. Czujny jak szatan, czyhający na zbladłą z trwogi duszę, począł patrzeć pilnie i spostrzegł — jeszcze bardziej zdumiony — że Ewcia zaczęła mieszać herbatę widelcem, co mu się wydało wynalazkiem całkowicie nowym.

— Oho! — mruknął. — W tym coś jest...

Ale co mogło być? Przecież Ewcia nie mogła zabrać ani krawata, ani potężnie rozrosłych rękawiczek, za obszernych nawet na jej nogi. Coś jednak wie! Jerzy postanowił nie spuszczać z oka tej zbrodniczej duszy. Przyszło mu na myśl, że Ewcia mogła ukryć jego odświętne stroje, aby mu urządzić psotę. Gdyby jednak tak było, uśmiechałyby się „pod wąsem”, a nie posypywałyby skorupki jajka cukrem, co dowodziło niewątpliwie rozterki ducha.

Czując na sobie świdrujący wzrok Jerzego, Ewcia zaczęła mówić bez ładu i składu o wczorajszej awanturze u Szymbartów i o dzisiejszych odwiedzinach u pana Mudrowicza. Zwracała się tylko do pani Zawidzkiej i ani razu nie spojrzała w stronę Jurka.

„Coś ty kręcisz, małpiszonie!”, pomyślał Jerzy, a głośno złożył uroczyste oświadczenie:

— Jeżeli moje rzeczy nie znajdą się do wieczora, zapowiadam mamie, że podpalę dom! Czy wszyscy słyszeli? W tej chwili jest godzina dziesiąta piętnaście. O godzinie ósmej wieczorem stanie się nieszczęście. Ktoś sobie żarty ze mnie stroi?

— Ani ja, ani Ewcia! — rzekła pani Zawidzka. — Poszukaj jeszcze w pracowni.

— W pracowni byłem przed godziną. Nie widziałem tam żadnej koszuli. Jedwabnej koszuli! Kogo tam znowu przyniosło? — zakrzyknął, usłyszawszy dzwonek.

Honorcia oznajmiła, że niejaki pan Rogalik zapytuje z ukłonem, czy może być przyjęty, mimo tak wczesnej pory, na minut pięć. Zanim Jerzy zdołał odpowiedzieć, że gotów jest udzielić nadzwyczajnego posłuchania panu koledze Rogalikowi, stało się coś niezwykłego — Ewcia zerwała się z krzesła i uciekła pędem sarny, która otrzymała wiadomość, że wilk jest w pobliżu.

— Czemu ona uciekła? — zapytała zdumiona pani Zawidzka.

— Furie<sup>108</sup> ją gonią! — odrzekł jej syn głosem z grobu. — Za chwilę się dowiemy. Niech Honorcia poprosi pana Rogalika.

Do pokoju nie wszedł młodzieniec. Do pokoju weszło słońce. Do pokoju wszedł królewicz z bajki. Wszedł *arbiter elegantiarum*<sup>109</sup>, świetny dandys<sup>110</sup>, kawaler d'Orsay<sup>111</sup>, książę Walii<sup>112</sup>. Pan Rogalik, lecz jakże odmieniony — w pięknym, brązowym ubraniu, z czerwonym, jedwabnym krawatem na niezłomnej szyi, w koszuli jedwabnej w czerwone paski i we wspaniałych, niezwyklej cienkości pończochach. Z kieszonki na piersi jak płomień wychylała się jedwabna chusteczka. Musiało być coś płomieniście olśniewającego w tej wybornej postaci, bo Jerzy zaniemówił ze zdumienia, albowiem kolega Rogalik pysznił się jego krawatem, jego koszulą itd., itd. Przywitawszy się dwornie z panią Zawidzką, wyszczerzył w uśmiechu niesłychaną liczbę zębów (zęby nie były własnością Jerzego) i rzekł nieśmiało:

Strój, Uroda

<sup>106</sup>święty Antoni a. Antoni Padewski (1191–1231) — portugalski teolog, franciszkanin, święty Kościoła katolickiego. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>mołojeczki — dotyczący mołojca, kozackiego żołnierza; mówi się tak też o kimś odważnym, zapalczym. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>Furie — w mitologii rzymskiej demony świata podziemnego, boginie zemsty. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>arbiter elegantiarum (łac.) — esteta, znawca dobrego smaku. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>dandys — człowiek o wyszukanym guście i swobodnych obyczajach. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>kawaler d'Orsay a. Alfred d'Orsay (1801–1852) — francuski malarz i rzeźbiarz, słynny dandys. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>Walia — część Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej, celtycka kraina historyczna; książę Walii to tytuł następcy brytyjskiego tronu. [przypis edytorski]

— Przyszedłem się panu pokazać w tych wszystkich wspaniałościach... Nigdy nie marzyłem o czymś podobnym... Bo to, proszę pani, pan Jerzy ofiarował mi i to ubranie, i tę koszulę, i to wszystko...

Pani Zawidzka uśmiechnęła się do świetnego dandysa, na syna jednak spojrzała z odrobiną smutku, słusznie rozumując, że pierwotny zwiariował od samego rana, najpierw bowiem ofiarował miłemu Rogalikowi rozmaite rzeczy, a potem groził spaleniem domu, jeżeli się nie znajdą do wieczora. Po czym pozostawiła młodzieńców samych i poszła szukać Ewci, aby jej oznajmić, co i jak się stało.

Kolega Rogalik uśmiechnął się raz jeszcze, ponownie uściskał dłoń Jerzego i rzekł:

— Proszę pana! Pan jest najzacniejszym człowiekiem na tym złym świecie. Ja zaś długo się wahałem, czy mogę przyjąć rzeczy tak kosztowne, lecz pomyślałem sobie, że nie wolno mi odmową robić panu przykrości. Jednego jednak przyjąć nie mogę!

— Czego pan nie może przyjąć? — zapytał Jerzy głosem, który i ciemną barwą, i niską temperaturą przypominał mrożoną kawę.

— Pieniądzy — rzekł cicho Rogalik. — To już za wiele... I ubranie, i koszula, i krawat, i jeszcze do tego pieniądze...

— Ja panu dałem pieniądze?

— Niech pan nie udaje — zaśmiał się serdecznie Rogalik. — Włożył pan do kieszeni kamizelki trzydzieści jeden złotych... Byłbym już onegdaj je oddał, ale dopiero dzisiaj znalazłem... Dlatego przyszedłem o tak wczesnej porze...

— Trzydzieści jeden złotych! — krzyknął Jerzy. — O zmijoj!

— Co pan mówi? — zdumiał się Rogalik.

— Nic, nic... Ja tak do siebie... Panie Michałku kochany! Przyjął pan ubranie, musi pan przyjąć i to, co było w ubraniu.

— Ależ to niepodobieństwo!

— Musi pan! Żadne niepodobieństwo... Między nami, malarzami... Daję słowo, że gadać z panem nigdy już nie będę, jeśli pan nie weźmie tych paru groszy.

Tak długo prosił, że Rogalik rzekł wreszcie:

— Dobrze, wezmę je, ale tylko jako pożyczkę.

To powiedziawszy, poprawił nabożnym ruchem jedwabny, czerwony krawat, wygłosił siedem słów górnio brzmiących i pełnych uwielbienia dla Jerzego, ukłonił się również siedem razy i wyszedł na ulicę, na której przechodnie tylko dlatego nie padali przed nim na twarz, że właśnie nikt ulicą nie przechodził.

Jurek zaś schwycił się raz jeszcze tego dnia rękami za głowę i wyl cicho, a boleśnie:

— Stracony na wieki mój precudny krawat, stracona na wieki moja jedwabna koszula!

— Czemu tak zawodzisz? — spytała, wchodząc, pani Zawidzka.

— Czemu tak zawodzę? Posłuchaj tylko...

I opowiedział, jak to ten potwór, ten wąż, ten czort, ta młoda czarownica, słowem — ta Ewcia — miała na jego prośbę przygotować dla Rogalika ubranie i jak samowolnie dodała do ubrania najwytworniejsze części jego garderoby; żeby zaś Rogalik, wspaniale wystrojony, mógł wieść życie ponad stan, włożyła do kieszeni ubrania cały swój majątek.

— Już mnie coś tknęło, kiedy wczoraj pożyczyła ode mnie osiemdziesiąt groszy na tramwaj! Słyszała mama o czymś podobnym? Trzydzieści jeden złotych ofiarowuje biednemu chłopcu, którego widziała przez pięć minut, a sama pożyczka na tramwaj.

— Ona oddałaby biednemu ostatnią koszulę — rzekła pani Zawidzka.

— Niech oddaje, ale czemu przy sposobności oddaje i moje? Jak chciała zrobić kawał, mogła wybrać inną, ale ona — ziółko! — starannie skompletowała wszystko co najlepsze. Zaraz na ten temat z nią pogadam, że jej oko zbieleje. Gdzie ona jest?

— Jureczku! — rzekła pani Zawidzka. — Tylko bez awantur! Tobie zostało jeszcze wiele i koszul, i krawatów, a ona oddała ostatni swój grosz. Poza tym pojęcia nie mam, gdzie jest Ewcia. Chyba pod ziemię się zapadła!

— Nie może być! — zawołał Jerzy zaniepokojony. — Ależ trzeba szukać jej natychmiast... Wszędzie jej mama szukała?

— Wszędzie.

— Z domu chyba nie wyszła?

— Nie wiem. Musiała się ciebie przestraszyć...

— Ona mnie? — zaśmiał się Jerzy boleśnie. — Ona tak się mnie boi jak koza kapusty. Przecież wczoraj zmoęła nawet panią Szymbartową. A nie ma jej przypadkiem na strychu?

— Strych zamknięty, piwnica też...

— Oj! — myślał Jerzy głośno. — Licho wie, co jej może strzelić do głowy... Przez ten głupi krawat i jeszcze głupszą koszulę.

Pani Zawidzka uśmiechnęła się.

— Nareszcie! Idź jej teraz szukać. Biedactwo miało wczoraj przejścia u Szymbartów, dzisiaj wybiera się do Mudrowicza, a w międzyczasie musi uciekać przed tobą.

Jerzy poskrobał się w głowę i poszedł na poszukiwanie Ewci. Przetrzęsął cały dom, obszedł wszystkie zakamarki, wreszcie wyszedł — już naprawdę zatroskany — do ogródka, aby spojrzeć, czy jej nie ma na dachu, dość słusznie rozumując, że osoba tak sprawna i pomysłowa mogła tam wleźć po rynnie. Na dachu siedział jedynie wróbel.

— Ewciu! — zawołał Jerzy. — Ewuniu!

Wróbel uciekł, a Ewcia się nie ukazała.

— Zdaje się, że narobiłem bigosu — mówił Jerzy sam do siebie. — Ewuniu! — wrzasnął jeszcze raz, niemal z rozpaczą.

— Czy pan kogoś szuka? — odezwał się głos za nim.

Jerzy obejrzał się szybko i zobaczył pannę z orzechowymi oczami, wyglądającą spoza niskiego muru, co dzieli dwie sąsiadujące wille. Musiała stać albo na drabince, albo na krześle.

— Tak, proszę pani! — odrzekł Jerzy, kłaniając się. — Ewcia gdzieś mi się zapodziała... Nie widziała jej pani przypadkiem?

— Niedawno widziałam wychodzącego od państwa jakiegoś świetnego młodzieńca, który miał prześliczny, czerwony krawat...

Jerzy spojrział szybko na panienkę, badając, czy z niego nie kpi, ta jednak uśmiechała się tak niewinnie, jak gdyby próbowała przed chwilą doliczyć do trzech i nie zdołała dokazać tej wspaniałej sztuki. Chciał zawołać wniebogłosy: „To był kiedyś mój krawat!”, ale zdławił w sobie boleść tego okrzyku i zapytał podejrzliwie:

— Czy pani dawno siedzi na tym murze?

— Dość dawno... A bo co?

— I nie widziała pani Ewci?

— A czemu pan jej szuka? Czy pan chce ją zabić? — mówiła, śmiejąc się.

„Ta też kręci...”, pomyślał Jerzy. „Oho! Baby zrobiły spółkę...”. Potem rzekł głośno:

— Gdyby pani przypadkiem zobaczyła Ewcię, niech jej pani powie, że wszystko się wyjaśniło i że moja matka bardzo jest zaniepokojona jej zniknięciem.

— A pan?

— Ja to jakoś przeżyję — odrzekł Jerzy ponuro.

— A czemu pan zaglądał aż na dach? I czemu pan wołał tak ślicznie: „Ewuniu”?

„Kobiety są strasznym wynalazkiem!”, jęknął Jerzy w głębi duszy.

— Widać, że i pan jest zmartwiony — mówiła panienka z takim uśmiechem, że zdawało się, iż złoty promyczek spływa z prześlicznych jej oczu. — Ale niech się pan nie martwi! Ja jestem upoważniona do rozmów na temat wieczystego pokoju... Czy pan złoży na moje ręce przyrzeczenie, że pan nie pociągnie Ewci do odpowiedzialności za krawat, za koszulę...

Zawahała się na chwilę, jak gdyby zapomniała roli, lecz gdy następne słowa podszeptał jej niewidzialny sufler, dodała szybko:

— Aha! Za pończochy i rękawiczki? Czy pan przyrzeka?

Jerzy zaśmiał się głośno.

— Niech pani powie temu potworowi, co tam siedzi za murem i zapewne ciągnie panią w tej chwili za nogę, że na razie ujdzie z życiem, do następnej awantury oczywiście. Aha! I niech jej pani powie, że zawdzięcza to jedynie pani. Ewciu, słyszysz?

Na murze ukazały się dwie ręce, a za chwilę ponad nim zadarty nosek, wreszcie z małpią zręcznością wygramoliła się cała osoba — po lewej stronie oblicza jeszcze zatrwożona, po prawej już uśmiechnięta.

— Panno Basiu! — zawołała. — Pani jest aniołem! A ty, szatanie, łap mnie, bo skaczę!

Jerzy nie miał czasu wyciągnąć ramion, a Ewcia już skoczyła. Wprawdzie chwycił ją w locie, lecz pocisk był tak ciężki i z takim cisnął się rozmachem, że najpierw na trawę wykopyrtnął się Jerzy, a na niego i potem przez niego przekopyrtnęła się Ewcia.

— Widziała pani? — zawołał, podnosząc się z ziemi. — Tak się z nią zaczyna wieczysty pokój.

Ewcia zaś już tłumaczyła pani Zawidzkiej, dlaczego tak rozrzutnie wystroiła Rogalika. Jerzy zbliżył się i słuchał.

— Proszę pani! Jerzy powiada do mnie najpierw, aby Rogalikowi dać ubranie. A potem to się zamyślił i dodał: „Zróbmy tak, żeby wyglądał jak arcyksiążę!”. O, jesteś Jureczku! Zaprzecz, że tak powiedziałaś.

— Powiedziałem. I cóż z tego?

— Jak to, „coż z tego”? Czy arcyksiążę może mieć ubrane i nie mieć koszuli? Czy może chodzić bez krawata? Zrozumiałam, że pragniesz naprawdę go jako tako odziać. Jednego mi tylko żal. Tęgo mianowicie, że mu nie dałam butów, a miałam w rękach.

— Buty sobie kupi — odrzekł Jerzy zjadliwie. — Znalazł przecież w kamizelce trzydzieści jeden złotych.

— Och! — jęknęła Ewcia. — Skąd o tym wiesz?

— Rogalik jest honorowym człowiekiem. Przyszedł je zwrócić.

Na twarzy Ewci ukazało się nagłe przerażenie.

— I ty je przyjąłeś?

— Chciałem, pomyślałem sobie jednak, że nawet arcyksiążę bez pieniędzy byłby zwyyczajnym łapserdakiem.

— Jureczku! — zawołała Ewcia. — Gotowa jestem powtórzyć za Basią, że jesteś znakomitym człowiekiem.

— Za jaką znowu Basią? — zdumiała się pani Zawidzka. — Co wy wygadujecie?

— Basia, proszę pani, jest to panienka z naprzeciwka — mówiła Ewcia niewinnie — do której Jurek robi wciąż oko i dlatego... Pamięta pani? Chciała w niego rzucić butem.

— Jerzy, co to wszystko znaczy?

— To znaczy, proszę mamy, że ja tego brzdąca upiekę na rożnie, potem ją położę na lodzie, aby ostygła, i znowu będę piec.

— Wart Pac pałaca! — zaśmiała się pani Zawidzka. — Ewciu! Czy ty byłaś przed chwilą u tej Basi?

— Tak, proszę pani. To rozkoszna panienka i bardzo mądra. A oczy ma jak marzenie. Zdaje się, że będziemy żyć w wielkiej przyjaźni...

— A cóż ona robi?

— Zdaje mi się, że studiuje historię polskiego malarstwa... Wciąż się wpatruje w jakiś obrazek.

— Oszałeję! — mruknął Jerzy i wyszedł z taką miną, jak gdyby szedł na własny pogrzeb.

Pani Zawidzka patrzyła i słuchała wszystkiego zdziwiona.

— Co mu się stało? — spytała.

Ewcia zamyśliła się, pokręciła głową i rzekła z powagą:

— Proszę pani... Już najwyższy czas, aby Jurka ożenić!

— Co takiego?

— Ja wiem, co mówię... I chyba ja się tym zajmę, bo on sam nigdy się na to nie zdobędzie!

Pani Zawidzka wzruszyła ramionami, głęboko przekonana, że i jej synowi, i Ewci upał pomieszał w głowach. Nie mogła zastanowić się nad tym głębiej, gdyż przyszedł pan Szymbart z uroczystą wizytą do Ewci, aby jej podziękować za wczorajsze bohaterstwo i oznajmić, że Zosia wyjedzie za trzy dni i że sama nadzieja wyjazdu znacznie ją ożywiła. Zwierzył się następnie ścisłym głosem, że pani Szymbartowa przyszła wreszcie do siebie, wyplakała się serdecznie i obficie, a wspominając Ewcię, wznosi oczy w stronę nieba.

— Moja żona kazała ci powtórzyć, Ewuniu, że gdybyś chciała do nas powrócić, kwiaty rozsypie przed drzwiami.

— To na nic — odrzekła uszczęśliwiona dziewczyna — bo wyszłam oknem i wrócę przez okno, ale dopiero przed samym powrotem ojca.

— Zresztą — mówiła, śmiejąc się, pani Zawidzka — musiałyby i od nas uciekać przez okno, bo my jej nie wypuścimy.

— Siedem miast walczy o moją osobę<sup>113</sup>! — zawołała Ewcia radośnie. — Panie Szymbart! Czy wie pan, dokąd ja idę dzisiaj po obiedzie? Niech się pan trzyma mocno krzesła, bo pan zleci. Do pana Mudrowicza!

— Ha! — rzekł ów zdziwiony. — Czy mam stanąć na straży?

Ewcia poszła do pana Mudrowicza bez zbrojnej asysty, niosła natomiast kilka róż z ogródka pani Zawidzkiej, która szepnęła jej przy pożegnaniu:

— Ewciu, pamiętasz?

— Oczywiście! Niech Jurek przygotowuje mowę.

Już z ulicy zauważyła Ewcia, że okna w mieszkaniu pana Mudrowicza są szeroko otwarte, czyli że do posępnej twierdzy obojętnego na wszystko smutku mógł wpłynąć świeży powiew. Ba! Z podstawy tych okien tryskały płomienie — czerwone pelargonie.

„Jeżeli jeszcze ten wilkołak Paweł”, pomyślała Ewcia „będzie miał kwiat w butonierce, nastąpi koniec świata”.

Człowiek widno nie przystroił się jednak kwiatem, lecz — co było dziwniejsze — usiłował z niebieskiej porcelany swoich oczu wykrzesać przyjemny błysk na widok dziewczyny. Wprawdzie z równym powodzeniem mogłaby krowa morska zaśpiewać neapolitańską piosenkę, Ewcia jednak doceniła w lot dobre chęci tego żalobnika, który — zdawało się — nosił w sobie wszystkie bóle, cierpienia i zmartwienia Starego Miasta.

— Jak się miewamy, panie Pawle? — rzekła Ewcia przyjaźnie. — Pan jest?

— A gdzieżby się podział? — odpowiedział ten żywy karawan i tak był głęboko przekonany, że udało mu się zrobić niesłychany dowcip, że z zachwytu zamknął oczy.

Ewcia weszła śmiało i z odrobiną hałasu do znanego jej pokoju, lecz przystanąła w drzwiach i zawołała:

— Panie Boże Wszchemogący!

Nie: „Boże!” ani nie: „Ach Boże!” — bo taki wykrzyknik, choć nabożny, byłby zbyt chudy na widok rewolucyjnych zmian, poczynionych tu w przeciągu tygodnia. Przez pokój ten musiał przejść Herkules<sup>114</sup> i dokonać w nim swojej trzynastej pracy. Musiał tędy przewiać tajfun, co wymiółł zakurzoną stęchliznę. Smutna pieczara smoka zmieniona została w przybytek wcale radosny — na ścianach wisiały wspaniałe obrazy Zawidzkiego. Ceratowa kanapa została wyniesiona i zapewne spalona nad brzegiem Wisły. Na miejscu rozkraczonego i zarzuconego szpargałami stołu pyszniło się biurko, na którym w srebrnych ramkach stały dwie fotografie i wazon z kwiatami. Podłoga pokryta była wzorzystym dywanem, zniknęły stare krzesła, nawet sympatyczny piec został dokładnie wymyty jak kominiarz w okresie Wielkanocy. Ewcia nie wierzyła własnym, w tej chwili bardzo szeroko otwartym oczom.

W tym pokoju nie było nikogo, lecz drzwi do sąsiedniego były uchylone. Ewcia czuła, że stoi za nimi pan Mudrowicz, i wiedziała z całkowitą pewnością, że nie śmie wyjść na jej powitanie, sam zapewne zatrzwożony swoją rolą króla Odnowiciela<sup>115</sup>. Jest z pewnością przejęty, a może nawet odrobinę szczęśliwy. Ewcia zaś była naprawdę wzruszona. Przecież ten stary, smutny człowiek uwierzył jej słowom zielonym, niedowarzoną, lecz mającym kształt serca.

— Proszę pana, proszę pana! — zawołała gorąco.

Pan Mudrowicz wyszedł zza drzwi — nieśmiały i jakby zawstydzony. Ją coś pchnęło, bo, nie namyślając się, rzuciła się w jego objęcia.

A on mówił cichym, głębokim głosem:

— A co, Ewciu, a co? Tak, jak mówiłaś... Witam cię, drogie dziecko...

Pytanie było uzasadnione, bo Ewcia nagle aż usiadła nowym fotelu i patrzyła na niego jak na zamorskie dziwo. Pan Mudrowicz czy pan Mudrowicz? W ciemnogrnatowym

<sup>113</sup>*Siedem miast walczy o moją osobę* — odniesienie do słynnego sporu o pochodzenie Homera, w którym brało udział siedem miast: Argos, Ateny, Chios, Itaka, Kolofon, Pylos i Smyrna. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>*Herkules* — postać z mitologii greckiej, jeden z herosów; znany jest między innymi z wykonania dwunastu bardzo trudnych i niebezpiecznych prac. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>*Odnowiciel a. Kazimierz I Odnowiciel* (1016–1058) — książę z dynastii Piastów, władca Polski w latach 1034–1058; znany z powodu odbudowy zniszczonej najazdami organizacji państwowej i kościelnej w kraju. [przypis edytorski]

odzieniu, niemal wytorny, krawat w złote prążki. Ogolony chyba najostrożniejszą brzytwą świata. Wysoki, prosto się trzymający pan Mudrowicz był imponujący. Nowej twarzy kupić wprawdzie nie mógł, lecz na tej dawnej, starej i brzydkiej, zjawily się przeblyski radosnego zakłopotania. Uśmiechnął się wstydlwym uśmiechem i rzekł:

— Kapelusz też mam nowy...

— Nie może być!

— I laskę...

— Nie może być!

Pan Mudrowicz przykrył oczy powiekami i dodał bardzo cicho:

— Zdaje mi się też, że i duszę mam jak gdyby nową...

— A nie mówiłam? Tylko się ogolić!

Uslyszawszy to, zaśmiał się głośnie były pan Mudrowicz, a Ewcia za nim.

— Widzisz, Ewuniu — mówił — rozmyślałem długo nad wszystkim... Nad tym, co było i co jest... To ty, dziecko, pokazałaś mi swiatelko... Jedną iskierkę... Ale to wystarczyło. Zacząłem się zastanawiać, czy warto unikać słońca i ludzi. Gnuśnieć, obrastać mchem, oddychać stęchlizną, rozdrapywać rany... Ty nie znasz mego życia — Ewcia przybladła. — Wiedz o tym jedynie, że było ono bardzo, bardzo smutne... Doszedłem do przekonania, że pławienie się w czarnej wodzie smutku jest sprawą nierozumną. Nie powiem ci od razu wszystkiego, co mi przyszło na myśl. Wiele, wiele rzeczy! Kiedyś może się dowiesz... Te wszystkie nowe graty i te kwiatki, i ten mój strój to drobiazg. To tylko teatr... Wiesz ty jednak, Ewuniu, czego ci się udało dokonać? Udało ci się poruszyć we mnie coś...

Głos mu zadrżał i pan Mudrowicz przesunął ręką po czole.

— Po co ja żyłem na tym świecie? — Mówił gwałtownie, z nagle obudzoną namiętnością i jakby z żalem. — Byłaś tu przed tygodniem, a ja przez siedem nocy rozmyślałem nad tym: co ja czyniłem przez tyle, tyle lat? Mówię o tym do ciebie, choć jesteś maleńka, choć masz dopiero szesnaście lat. Ale to przecież wszystko jedno! Zanim ty przemówiłaś do mnie, nie robił tego nikt. Ja byłem zły czy oschły, czy jaki tam! Dlaczegoż ktokolwiek miał być inny wobec mnie? Może mi się uda teraz przekonać chociażby ciebie tylko, mała dziewczynko, że na coś się przydam jeszcze... Uwierzylem ja tobie, teraz ty uwierz mnie...

— O, jak panu serdecznie wierzę!

— To dobrze, to dobrze... Nie mówmy już o tym... Stało się! Przenicowałaś mnie na stare lata... Może jednak wiedział Pan Bóg, co robi, że przysłał do mnie takiego złotego pędzaka... Nie wysłuchałbym zapewne pierwszego nawet słowa, gdyby ktoś inny przyszedł mi gromić i nawracać. A z tobą, mała dziewczynko... Ale naprawdę nie mówmy już o tym! Powiedz mi, co ty robiłaś i co się z tobą działo?

Pan Mudrowicz, były odludek, mało — widać — znał kobiety, skoro tak nieopatrzonym pytaniem odkręcił kurek wodociągu.

Ewcia, zaprawiona w długodystansowym gadaniu, przeszła samą siebie. Jak Wojski, zaczerpnąwszy oddechu, zainaugurowała opowieść siedmiu dni, zacząwszy ją od owego wspaniałego, pokropionego winem wieczoru, podczas którego troje istot ponad miarę szczęśliwych wzniosło zdrowie pana Mudrowicza.

— Doskonałym winem! — terkotała Ewcia. — Musiał pan mieć czkawkę... A pani Zawidzka miała łzy w oczach. Czy pan wie, że ile razy wspomni ktoś u nas pańskie nazwisko, to wszystkim oczy się śmieją? My pana uwielbiamy, słyszy pan? Uwielbiamy! A ja panu przysięgam, że pani Zawidzka codziennie modli się za pana.

Pan Mudrowicz słuchał w oszołomieniu. Chciał coś rzec, lecz roztrajkotana Ewa nie raczyła go dopuścić do słowa, wobec czego dowiedział się o portrecie i o wybitej szybie, o biednej Zosi Szymbartównie, o ślicznej pannie Basi i o Rogaliku, o stu rzeczach i jeszcze jednej. Każde słowo Ewci było maleńkim lusterkiem, co odbiwszy w sobie promień słoneczny, rzucało nagły błysk na twarz pana Mudrowicza. Z jego brzydkiego oblicza można było odczytać bardzo bystrymi oczami, że temu człowiekowi jest w tej chwili dobrze, że, jeszcze nieśmiało, cieszy się, lecz coraz bardziej oswaja się z niespodziewanym szczęściem; że dziecinnej, śmiesznej i wesołej, i smutnej opowieści dziewczyny słucha zachłannie jak wielkiej nowiny. A ona ani myślała kończyć swoją opętaną gadaninę. W ten sposób dowiedział się stary samotnik — który dotąd jedynie wieczorami wychodził z domu i uciekał

przed każdym spotkaniem — o wszystkim, co się działo o dwa kroki, za najeżonym murem jego samotności, wśród dobrych ludzi. Oni chcą być dobrzy nawet dla niego, nawet dla niego...

Ponieważ najbardziej wygadanej damie potrzebna jest chwila odpoczynku, przeto i Ewcia zatrzymała się w potężnym pędzie wymowy, którym można by przez miesiąc poruszać niewielki młyn lub elektrownię. Skorzystał z tego pan Mudrowicz, zabrał głos i rzekł:

— Czym ja się tobie, dziewczyno, odwdzięczę?

— Za co?

— Za wszystko... Chociażby za to, że tu jesteś...

Ewcia zaśmiała się srebrzyście.

— Znam ludzi, którzy wiele daliby za to, aby mnie czasem nie było!

Nagle zamysliła się i dodała szybko:

— Chce mi się pan odwdzięczyć? Dobrze! Ale niech pan to weźmie pod uwagę, że jestem piekielnie chytra.

— Nie może być! — zawołał już naprawdę wesoło pan Mudrowicz.

— Może być, bo jest. W każdym razie w szkole w mojej klasie jestem najchytrzejsza. Proszę pana, zróbmy układ.

— Zrobione!

— Niech się pan nie śpieszy! Ostrzegam pana... Zróbmy tak: niech mi pan przyrzeknie, że pan nie odmówi dzisiaj mojej pierwszej prośbie.

— Jakaż to prośba?

— Otóż właśnie, że jeszcze nie wiem. Myślę jednak, że pana o coś poproszę. Na lody to mnie pan zaprosił przez telefon, więc to się nie liczy.

— Sama się zaprosiłaś! — zaśmiał się stary człowiek i patrzył wesoło na najchytrzejszą kobietę stulecia. — A co do tej twojej prośby, zgoda!

— Ręka?

— Ręka! — zawołał pan Mudrowicz.

Uderzyli w dłonie, jak to czynią dwaj przemysłni Cyganie po ukończeniu targu końmi.

— Już szósta! — rzekła Ewcia. — Niech pan weźmie nowy kapelusz i laskę. Panie Pawle!

Czarne widmo ukazało się jak na zawołanie.

— Proszę podać panu kapelusz i laskę! Ach... Jeszcze jedno... Co Paweł przygotował na kolację dla pana?

Widmo odrzekło, że kwaśne mleko z kartoflami jest zwyczajnym pożywieniem wieczorowym i pana, i slugi. A gdyby i panienska zapragnęła wybornej tej potrawy, znajdzie się i dla panienki.

— Dzisiaj będzie Paweł jadł sam kwaśne mleko z kartoflami. Pan nie będzie jadł w domu.

— Dlaczego? — zdziwił się pan Mudrowicz, wobec czego Paweł nie powtórzył tego pytania, lecz zdziwił się też na rachunek własny.

Ewcia uśmiechnęła się najpierw do patrona, następnie do jego famulusa i rzekła wesoło:

— Jeden Pan Bóg wie, gdzie my dzisiaj będziemy jedli. Idziemy? Zaraz, zaraz...

Wyjęła z wiązki jedną różę i wspiąwszy się na palcach, włożyła ją w klapę ubrania pana Mudrowicza. Widok ten tak oczarował Pawła, że oparł się w zdumieniu o piec. Nie uczynił tego pan Mudrowicz jedynie dlatego, że starym zwyczajem w pokoju był jeden tylko piec. Bąknął ledwo:

— Ależ, Ewuniu!

Ona jednak, nie zwracając na nic uwagi, wetknęła swoją rękę pod jego ramię i mrugnąwszy wesoło w stronę nieruchomego jeszcze Pawła, wywiodła, lekko opierającego się, starego swego przyjaciela „z ziemi egipskiej, z domu niewoli”<sup>116</sup>.

Mogłoby się wydawać, że pan Mudrowicz szedł jak ma ścieście. Gdyby był damą, zapewne powtórzyłby: „I chciałabym, i boję się”. Ewcia czuła wyraźnie, że dla tego nieszczęśnika, który żył jak puchacz w swojej mrocznej dziupli i bał się dziennego światła,

<sup>116</sup>z *ziemi egipskiej, z domu niewoli* — Wj 20,2 (cytat za *Biblią Warszawską*). [przypis edytorski]

wyprawa ta w biały dzień jest udręką. Zaczęła gadać niezmordowanie o wszystkim i o niczym, byle tylko odwrócić jego uwagę od śmiałego czynu. Widziała kącikiem oka, jak pan Mudrowicz patrzy dokoła spode łba, jak gdyby badał, czy ktoś się na jego widok nie wzdrygnie. Przechodnie jednak mijali tę dziwną parę obojętnie.

„Widać, że na świecie jest pokaźna liczba brzydkich ludzi” — pomyślał pan Mudrowicz i zaczął stąpać raźniej.

— Pojęcia pan nie ma, jaki pan jest elegancki! — szepnęła Ewcia.

Stary dziwak wyraźnie się zarumienił.

— Tylko niech pan nie stawia takich potężnych kroków, bo ja będę musiała biec. Proszę pana! Idziemy naprawdę na lody, czy to było tylko takie lodowate gadanie?

— Idziemy, oczywiście, że idziemy — odrzekł on szybko. — Tylko dokąd? Nie chciałbym...

Ewcia spojrzała na niego spod oka. Wiedziała, czego by nie chciał: wielkiej cukierni i tłocznej, ludzkiej ciżby.

— Ja znam — mówiła Ewcia — taką świetną mleczarenkę, w której zjadłam niedawno cztery bułki, a mój pies siedem. Jureczek Zawidzki mnie tam zaprowadził, kiedy mnie schwytał na ulicy. Tam muszą być też i lody!

W mleczarence istotnie były lody, natomiast całe szczęście, że tym razem nie było psa, gdyżby ich zabrakło. Okazało się natomiast, że nawet wyborne lody „w trzech smakach”, z których jeden niczym nie różnił się od drugiego, a drugi od trzeciego (chyba barwą), nie zdołały zamrozić ognistej wymowy Ewci. Dziewczyna była szczęśliwa, ale i ten siwy, sterany, brzydki człowiek promieniał na swój sposób. Dwa razy zaśmiał się głośno, a trzy razy cicho. Patrzył na Ewcię z takim gorącym rozrzewnieniem, że lody topniały. Siedzieli w ciemnym kąciku, lecz tam było w tej chwili najjaśniej.

Nagle Ewcia chwyciła pana Mudrowicza za rękę.

— Oj, bo skonam! — szepnęła.

I nieznacznie pokazała panu Mudrowiczowi ruchem głowy świetnego młodziana, który z pięknym ukłonem poprosił o szklankę czystej wody sodowej.

— To Rogalik! — szepnęła Ewcia. — Pamięta pan, co panu opowiadałam? To ten kochany biedaczyna, syn szewca, co chce zostać malarzem. Prawda, jaki śliczny wycygał dla niego krawat? Ależ szaleje, nieboraczek! Musiał się długo namyślać, nim się odważył na tę wodę sodową za dziesięć groszy...

— Ewuniu! — również szeptem mówił szybko pan Mudrowicz. — Zaproś go na lody.

— Naprawdę?

Miły Rogalik byłby wypuścił szklankę z ręki, gdyby nie straszliwa moc jego ducha. Stanął cały w płomieniach, jak stóg siana podczas pożaru, i wciąż się kłaniał.

— To jest — mówiła Ewcia ze wzruszoną powagą — pan Rogalik, malarz, a to... To jest najukochańszy wujaszek.

Dwaj wspaniale wytworni panowie skłonili się sobie i — o dziwo! — uśmiechnęli się wzajemnie. Ewcia zaś wołała o największe lody, jakie ludzkość widziała kiedykolwiek.

Rogalik, na skrzydłach wichru niespodziewanie wyniesiony aż pod sam pułap siódmego nieba, nawet nie zauważył, że Ewcia do rodzzonego i najukochańszego wuja mówi wciąż: „proszę pana” — bo najpierw zajął się niebiańskim smakołykiem „o trzech smakach”, a następnie począł się pilnie wpatrywać w twarz pana Mudrowicza. Stary człowiek poczuł niepokój, a Ewci zrobiło się przykro.

Nagle wniebowzięty Rogalik rzekł gorąco:

— Och, jakżebym ja chętnie pana namalował, gdybym umiał!

— Czemuż to? — zapytał sucho stary człowiek.

— Bo pan ma tak wspaniale wyrazistą twarz! Strasznie wyrazistą! Bardzo męską...

A oczy niebywale przenikliwe!

„Niech ci Bóg da zdrowie, Rogaliku!”, pomyślała Ewcia, głęboko odetchnąwszy.

A pan Mudrowicz wpił się spojrzeniem w jasną, szczerą, cudownie chłopięcą, otwartą twarz młodzieńca i długo patrzył. Ale nie znalazł w niej zdrady.

— Dobrze! — rzekł cicho. — Pogadamy o tym. A czy pan ma jakieś swoje obrazy?

— Mam, oczywiście! — zdumiał się Rogalik.

— W takim razie niech je pan przyniesie... Rad je zobaczę... Mam już dwa obrazy Zawidzkiego...

— W takim razie ma pan dwa arcydzieła! — wykrzyknął malarzyna. — Gdzie mnie do Zawidzkiego!

„Chłopcze drogi”, pomyślała Ewcia.

Musiąło i panu Mudrowiczowi podobać się pokorne oświadczenie Rogalika, bo spojrział na niego życzliwie.

— Przyniesie pan obrazy! — rzekł z uśmiechem. — Ewcia powie panu dokąd. Ewuniu, czemu patrzysz na zegarek?

— Bo na mnie już czas...

Wyszli z cukierenki, przy czym Rogalik uklonił się dwa razy panu Mudrowiczowi, a trzy razy Ewci i poszedł pokazać swój krawat reszcie mieszkańców Warszawy, która go jeszcze dotąd nie widziała.

— A teraz pan mnie odprowadzi... — mówiła Ewcia jakoś dziwnie niepewnie. — To niedaleko... To już bardzo niedaleko... Miły chłopak, prawda?

— Bardzo miły!

— Tędy... Tylko przez tę ulicę jeszcze...

Pan Mudrowicz spojrział na nią uważnie, bo Ewcia stała się jakaś niespokojna, ale nic nie powiedział.

— To już tu... — mówiła ona cicho. — O, ten dom, który pan ocalił... Prawda, jaki przyjemny dom?

— Ewuniu! — szepnął stary człowiek. — Zrobiłaś mi dziś wielką, wielką przyjemność... Dziękuję ci z całego serca. Kiedy się znowu zobaczymy?

— Alboż my się już żegnamy? Proszę pana...

— Co, moje dziecko?

— Czy pan pamięta, co mi pan przyrzekł?

— Pamiętam...

— I dotrzyma pan?

— Zapewne...

— W takim razie... Oj, jak mi w gardle zaschło! Ja mam do pana jedną, szaloną prośbę... Gwałtu, jak mi serce bije... Pan wie, jak ja pana kocham... Otóż jest taka sprawa... Pani Zawidzka...

— Co pani Zawidzka?

— Pani Zawidzka błaga pana przeze mnie... Błaga pana, aby pan był tak dobry... Bo widzi pan, pani Zawidzka chce panu podziękować osobiście... Więc powiada do mnie: „Uproś pana Mudrowicza, niech dzisiaj, w niedzielę...”.

Pan Mudrowicz cofnął się w zdumieniu.

— Co w niedzielę?

— „Niech odwiedzi nasz dom... Jako największy przyjaciel... Przyjmiemy go całym sercem...”. To pani Zawidzka tak powiedziała... A ja jeszcze serdeczniej proszę... Proszę pana! Pan mi przyrzekł... Ja nie mam żadnej innej prośby, tylko tę jedną. Pojęcia pan nie ma, jak panu będzie dobrze! O, drogi panie!

Pan Mudrowicz patrzył w twarz Ewci i zdaje się, że sam nie wiedział, czy śmiać się czy gniewać? Ujrzawszy jednak jej minę i zastrachaną, i pełną nadziei, i smutną, i wesołą, rzekł:

— Istotnie! Tak chytrej kobiety, jak ty, dotąd jeszcze nie widziano. Czy nie zwolnisz mnie z przysięgi?

— Nigdy! — zawołała Ewcia.

— I to jest wdzięczność za lody! — zaśmiał się pan Mudrowicz niepewnie.

— A czy pan wie, co u nas dzisiaj będzie na kolację? — rzekła Ewcia z dumą.

Pan Mudrowicz nie słyszał jednak tej zachęty, bo się sam ze sobą mocował.

— Chodźmy! — rzekł cicho. — Jestem przekonany, że mnie kiedyś zaprowadzisz do piekła.

— Mnie nawet w piekle nie przyjmą! — krzyknęła Ewcia, straszliwie szczęśliwa.

Podstęp

## ROZDZIAŁ JEDENASTY, W KTÓRYM JEDEN MALARZ ZOSTAŁ POGORZELCEM, A DRUGI Z WIELKIEGO SZCZĘŚCIA OMAL NIE POSTRADAŁ ROZUMU

Pan Mikołaj Zawilowski, wielki przemysłowiec, przybył do Warszawy w celu leczenia żony, której groziła utrata wzroku. Powierzono ją opiece najznakomitszych specjalistów, lecz leczenie miało trwać długo i nieprzerwanie. Dlatego pan Zawilowski kupił willę obok Zawidzkich, spokojną i zaciszną, dokąd sprowadził meble z prowincji. On z córką zajmował parter, pani Zawilowska zaś przebywała stale w zaciemnionych pokojach na pierwszym piętrze. Panna Basia, anioł opiekuńczy uwielbianej matki, nie odstępowała jej prawie nigdy i z największym trudem udało się czasem ojcu namówić ją na wyjście do miasta — całą jej przeto radością był niewielki ogródek przy willi. Radość ta, dotąd smutna, powiększyła się wspaniale po poznaniu Ewci. Wprawdzie panna Zawilowska miała już lat dwadzieścia dwa, lecz, pozbawiona towarzystwa, całym sercem przyłgnęła do tej uroczej dziewczyny, ponad wszelki podziw inteligentnej i bystrej, wesołej i pełnej prześlicznej pogody. Pannę Basię wzruszyło głębokie współczucie Ewci, kiedy ta usłyszała o nieszczęściu pani Zawilowskiej. Dziewczyna, czuła na wszelką niedolę, miała lzy w oczach. Ich widok wystarczył, by panna Basia zamieniła się na serca z Ewcią, która — jako że z lekarskiej pochodziła rodziny — zaczęła wymownie i gorąco przekonywać starszą przyjaciółkę, że jej matka odzyska wzrok. Przyjaźń, pokropiona serdecznymi łzami jak kwiat srebrną rosą, rosła też jak kwiat. Wesola awantura z wybiciem szyby i ciche porozumienie podczas ucieczki Ewci przed Jerzym przez „mur graniczny” były zabawnym wstępem do gorącego przywiązania. Radosna z usposobienia Basia, na którą gęstym cieniem padł smutek, sączący się z zaciemnionych pokoiów matki, zaczęła w każdej wolnej chwili wypatrywać tego wesołego bąka z zadartym nosem, który zawsze na wszystko miał czas, zawsze był gotów do najwymyślniejszych awantur i wiódł srogie boje ze znakomitym malarzem.

— Nie masz pojęcia, najdroższa Barbaro<sup>117</sup>, patronko górników i ciężkiej artylerii — mówiła Ewcia, która już po tygodniu była z Basią po imieniu — jak ja strasznie kocham tego dryblasza. Na świecie nie ma chyba bardziej dobrego chłopca.

— A dlaczego rzucasz w niego bucikiem? — śmiała się Basia.

— Bo inaczej on rzuciłby we mnie swoim butem, a przypatrz się tylko jego pedałom! Ja musiałam go wziąć za łeb, aby on tego nie zrobił ze mną. Trzeba umieć postępować z mężczyznami. Nie masz zresztą pojęcia o tym, jak się z Jurkiem wesoło wojuje. Wczoraj byłam troszkę zmęczona, więc mi się nie chciało urządzać żadnych awantur, a ten przychodzi bardzo markotny i powiada: „Ewelindo! Zróbmy jakiś kawał, bo nudno”. Pani Zawidzka też była zaniepokojona, gdyż było u nas cicho. Na szczęście jednak wieczorem cały dom zaczął chodzić na głowie.

— Co się stało? Mów prędko, co się stało?

— E... Nic wielkiego! Jurek narysował moją karykaturę i oparł ją o szklankę przed moim nakryciem.

— To przecież żadna awantura — rzekła Basia zawiedziona.

— Żadna awantura? A czy wiesz, co on ze mnie zrobił? Na obrazku byłam ja, strasznie podobna, ale z rogalikiem w ręku, który przyciskam do serca. Miało to oznaczać, że mi ten przyjemny malarz Rogalik leży bardzo na sercu.

— A co ty na to? — zaśmiała się Basia.

— Ja? Nic... Poszłam do kuchni, wycygałam od Honorci dwa orzechy i bez słowa położyłam przed nim. Pani Zawidzka myślała, żeśmy oboje postradali zmysły, bo niczego nie mogła pojąć, ale Jurek od razu zrozumiał. Zacerwienił się jak rak i zaczął wrzeszczeć, że mnie powiesi za nogi. I inne takie obiecywał mi przyjemności...

— Cóż miały znaczyć te orzechy? — spytała zdumiona przyjaciółka.

— Aj! — pisnęła Ewcia i zaśmiała się cichutko. — Nic, nic nie miały znaczyć... Bo to nie szło o orzechy, tylko o orzechową barwę. Mam wrażenie, że Jurek dostał kręćka na ten temat. Trudno to wytłumaczyć... Ale on wie, że ja wiem!

<sup>117</sup>święta Barbara a. Barbara z *Nikomedi* — postać znana ze średniowiecznej legendy, męczennica chrześcijańska, święta Kościoła katolickiego i prawosławnego. [przypis edytorski]

Sąsiad, Choroba,  
Współczucie, Przyjaźń

Oko, Piękno

— Nie rozumiem!

— To nic nie szkodzi, może kiedyś zrozumiesz. Ja ci to tylko mogę powiedzieć, że gdyby Jurek musiał namalować anioła, to ten anioł miałby oczy orzechowego koloru.

— Ewa! — szepnęła ze zdumieniem panienka.

— Co się stało? — zapytała Ewcia. — Istnieje przecież wielu ludzi, mających taki dziwny kolor oczów. Czy tobie słabo, Basieńko?

— Nie, nie...

— Bo mi się zdaje, że trochę zbladłaś.

— To z gorąca! — szepnęła Basia.

— Oczywiście! — rzekła Ewcia z głęboką powagą. — Może odpoczniesz?

— Tak, tak... — mówiła Basia, bardzo zamyślona. — A co ty będziesz robiła?

— Najpierw muszę napisać list do mojego Chińczyka, zajdę do pani Szymbartowej zapytać o Zosię, a po południu przyjdzie Rogalik, który się ze swoimi obrazkami wybiera do pana Mudrowicza. Muszę go pouczyć o wszystkim.

Panna Barbara знаła dobrze ostatnie rozdziały bujnej historii Ewci, która zdołała w krótkim czasie wytrajkotać — wedle słynnego schematu siedmiu pytań rzymskich: „Kto? Co? Gdzie? Kiedy? Jak? Dlaczego? Z czyją pomocą?”<sup>118</sup> — o wszystkim, co było, co jest i co będzie. Basia знаła i nazwiska, i złączone z nimi opowieści. „Nic co Ewci nie było jej obce”. I pan Zawilowski znał Ewcię, i pani Zawilowska, niezmiernie radzi, że ich córka, zmuszona do przebywania podczas upalnego lata w Warszawie, znalazła duszyczkę tak przyjazną i tak uroczą. „Uroczą duszyczką”, znająca sto siedem sposobów zdobywania ludzkich serc, złowiła ojca Basi w swoją sieć jak ogromną rybę, przypominającą opasłego i wąsatego suma. Sum gadał wprawdzie ciężkim, armatnim basem, co nie jest zwyczajem ryb, lecz czynił to bardzo rzadko, zawsze nad czymś frasobliwie zamyślony. Bardzo pracowity człowiek, skazany na długotrwałą bezczynność, nie wiedział, co ze sobą począć; dlatego z radosną ulgą odkładał książkę czy gazetę i przysłuchiwał się nieco oszalalej rozmowie swojej córki z Ewcią, która czasem zwracała się do czcigodnego sąsiada z należytą powagą, zapytując chytrze o jego fabrykę i o stosunki w przemyśle ciężkim. Pan Zawilowski serdecznie uradowany, że może dosiąść swojego rumaka, rozpędział się jak wielkie koło dynamomaszyny<sup>119</sup> i wspaniałym basem gadał wspaniale, i sypał cyframi jak drobnym makiem, nie bacząc, że uprzejmą Ewcię tyle to właśnie obchodziło, co teoria względności lub najgłębsze tajemnice chemii. Po każdej jednak takiej rozmowie mówił do swej córki:

— To nadzwyczajna dziewczyna! Nadzwyczajna!

Tęgo samego zdania, chociaż z innych powodów, była i biedna pani Zawilowska. Ewcia odwiedziła ją raz jeden tylko w jej ciemnym pokoju. Bystre i widzące ręce pani Zawilowskiej, które dotknęły twarzy dziewczyny, ujrzały tyle, ile by mogły zobaczyć oczy. Z tym cudownym uśmiechem, jakim uśmiechają się ludzie bardzo cierpiący, słuchała matka Basi szczebiotania jej małej przyjaciółki, „przyjaciółki całego świata” — jakby ją był nazwał Kipling<sup>120</sup>. Gdy Ewcia po długim pobycie w ciemnym pokoju wyszła, pani Zawilowska rzekła do córki:

— Pragnęłabym jak najczęściej rozmawiać z tą dziewczyną, ale, niestety, nie będzie to możliwe.

— Czemu, mamusiu? — zapytała zdumiona Basia.

— Bo ja muszę przebywać w ciemnym pokoju, a kiedy ona tu była, miałam wrażenie, że jest w nim jasno.

Gdyby jak Indianin skalpy Ewcia nawlekała na sznurek zdobyte serca, byłby to różaniec pokaźnej długości. Pierwszorzędnym okazem, godnym złotego medalu, byłoby serce Rogalika, który patrzył na Ewcię jak w tęczę, chociaż ludzie pozbawieni poetyckiej wyobraźni mogliby rzec ponuro, płasko i bezbarwnie, że patrzy na nią urzeczony jak

Serce

<sup>118</sup> *Kto? Co? Gdzie? Kiedy? Jak? Dlaczego? Z czyją pomocą?* — (łac.) *Quis, quid, ubi, quibus auxiliis, cur, quomodo, quando?*; wyrażenie napisane heksametrem, zawierające kryteria tworzenia utworu literackiego; jego autorem jest Ciceron (106–43 p.n.e), a pochodzi ono z traktatu *Rhetoricorum, seu De invente rhetorica* o zasadach konstruowania oracji. [przypis edytorski]

<sup>119</sup> *dynamomaszyna* (daw.) — dynamo, alternator. [przypis edytorski]

<sup>120</sup> *Kipling, Rudyard* (1865–1936) — angielski prozaik i poeta; określenie „przyjaciel całego świata” pochodzi z jego powieści *Kim*. [przypis edytorski]

cielę na malowane wrota. Z drugiej strony przesadą jadowitą było narysowane twierdzenie Jerzego, że Rogalik „leży Ewci na sercu”; nie można było zaprzeczyć jednakże, że na widok młodego, przystojnego, wytwornego i wciąż kłaniającego się młodziana serce Ewci przypominało rzecz zgoła nieprawdopodobną — jajko na miękko. Jakoś dziwnie miękko bowiem robiło się jej w tym organie, który toczy odwieczną walkę z bystrym rozumem i nigdy nie chce być z nim w zgodzie. Serce jest to istota niezwykle zarozumiała i dlatego przekonana, że posiada własne siedlisko rozumu i własną radiostację. Tym tylko można wytłumaczyć, że największy filozof, mądry jak siedmiu ogoniastych szatanów, w niezmiernym swoim rozumie gardzący miłością, zakocha się często jak uczeń; albowiem serce jego powiedziało: „Gadaj zdrow, filozofie, a ja wiem, po co mnie Pan Bóg stworzył!”.

Miły Rogalik zjawił się z kilkoma obrazkami pod pachą i nie wchodząc do domu, odbył z Ewcią walną naradę w ogródku. Dziewczyna patrzyła na obrazki, a Rogalik patrzył na nią, wskutek czego Ewcia nie mogła spokojnie patrzeć na obrazki i czasem spod oka patrzyła na to, jak Rogalik patrzy na nią, wskutek czego patrzenie to zostało dziwnie zmacone, na co z niezmiernym podziwem z okienka przy pracowni patrzył Jerzy. Aby zaś nieopatrnie nikogo nie zabrakło na tym widowisku, mruknął zapatrzony Jerzy:

— Patrzcie, patrzcie, państwo!

Obrazki Rogalika były jeszcze niezdarne i można je było nazwać „podlotkami marlarstwa polskiego”. Człek biegły w sztuce dojrzałby w nich jednak od razu bujny talent, chociaż na jednym z nich słońce przypominało przejrzały pomidor, a na drugim woda świecąca blachę. Ewcia jednak była głęboko przekonana, że Matejko<sup>121</sup>, cicho w grobie śpiący, otworzył oczy i szepce niespokojnie: „Ho! Ho! Żeby tylko ten wytworny Rogalik nie zapędził mnie w kozi róg!”. Powiedziała o tych projektach obrazów kilka słów purpurowych jak róże, następnie wyjaśniła kłaniającemu się Rogalikowi, jak się ma dostać do pana Mudrowicza, który jest człowiekiem zacnym — wbrew pozorom, tępym rylcem wypisanym na twarzy. Pożegnała go potem ciepło i nie wiadomo czemu dodała uroczyście:

— Niech pana Bóg prowadzi!

Słowa te tak wzruszyły dobrego Rogalika, że chciał paść na kolana, lecz nie uczynił tego, bo głos Jerzego chwycił go jak arkan<sup>122</sup> i zatrzymał w nieprzytomnym ruchu. Starszy kolega zbiegł do ogrodu i wesoło witał młodszego, klepiąc go po łopacie tak żywo, jak gdyby chciał przetrzepać własne niegdyś ubranie. Równocześnie mrugał zgoła bezpiecznie w stronę Ewci, która, wygłosivszy błogosławieństwo, chciała już odejść. Ujrzawszy jednak małpie miny Jerzego, rzekła, zwracając się do Rogalika i tylko do Rogalika:

— Niech pan przyjdzie jutro i zda mi sprawę z przebiegu audjencji.

— Dobrze, panno Ewo! — zawołał Rogalik z zapalem, porwał obrazki, uklonił się Jerzemu, domowi Zawidzkich, domowi Zawilowskich, jednemu drzewu i wybiegł.

— Na jaką to on wybiera się audjencję? — zapytał zdziwiony Jerzy.

— U ministra — odpowiedziała Ewa chłodno. — Minister chce zakupić wszystkie jego świetne obrazy do zbiorów państwowych.

I odeszła z godnością bociana, który połknął żabę.

Przez dwie godziny pisała list do ojca — jak na kobietę dość treściwy, bo tylko dziesięciostronicowy — z trzydziestoma dopiskami, zaklinając go w ostatnim, by nie zapuszczał chińskiego warkocza, bo mu nie będzie w nim do twarzy. „Chińskie listy” Ewci były poematami czułości, miłości, tkliwości, rzewności i znowu od końca — rzewności, tkliwości itd. Pisała w nich o wszystkim, co się dzieje w jej sercu; bardzo jednak mętnie, dyplomatycznie i ozdobnie wspominała o przeraźliwych historiach swojego życia. Nieznacznie tylko i w słowach ulotnych zapowiadała, że po powrocie ojciec zostanie niejakiem zmiany i „dowie się mnóstwa rzeczy”. W chytrym rozumie pomyślała sobie słusznie, że byle tylko była zdrowa, nie złamała ręki lub nie skrzyła karku, inne jej „tragedie” nie bardzo zajmą pana Tyszowskiego, który zresztą — jako przedstawiciel rodzaju męskiego — nie zna się na wielu subtelnych sprawach. Nie może mu przecież napisać, że Rogalik

List

<sup>121</sup>Matejko, Jan (1838–1893) — polski malarz. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>arkan — łąka. [przypis edytorski]

chciał dzisiaj paść przed nią na kolana, czemu sromotnie przeszkodził ten niedźwiadek Jurek, który zawsze czyni to, o co go nie proszą.

Odniosłszy list na pocztę, wstąpiła Ewcia do państwa Szymbartów. Okazało się jednak, że pani Szymbartowa pojechała do Otwocka, gdyż był to dzień odwiedzin u chorych. Zastała tylko pana Szymbarta, który pilnował mieszkania i z nudów obliczał, ile kilogramów mięsa zjadłby człowiek, gdyby żył siedem tysięcy lat.

— Jak z Zosią? — wołała Ewcia, jeszcze się nie przywitawszy.

— Dzięki Bogu coraz lepiej! Żona moja własnym oczom nie wierzy... Nie poznasz, Ewciu złota, mojej małżonki. Czy ty wiesz, co się u nas stało?

— Cóż się stało?

— W niedzielę była moja żona w Otwocku i wróciła bardzo szczęśliwa, bo sam naczelnny lekarz sanatorium powiedział jej, że Zosia będzie jeszcze zdrowa. I pomyśl sobie, co zrobiła pani Szymbartowa! Od czasu naszego wesela zostało w domu pół butelki koniaku, bo moja żona jakimś cudem ocalała go przed gośćmi...

— Wiem, wiem — zaśmiała się Ewcia. — To ten koniak, do którego chciał się pan dostać przez słomkę.

— Ten sam! Otóż moja żona naląła duży kieliszek tego bezcennego płynu. Podaje mi go i powiada: „Masz, wypij za zdrowie Ewci!”

— Nie może być!

— Jak mnie tu żywego widzisz...

— Co za kobieta!

— Co za koniak! — wykrzyknął, nie dosłyszawszy, pan Szymbart.

Wnet jednak zgasła promienistość tego wspomnienia i dobry ten człowiek zachmurzył jasne czoło. Zagadnięty o powód, o niczym mówić nie chciał, lecz Ewcia zrozumiała od razu, co go trapi.

— Proszę pana — powiedziała serdecznie — ja wiem, czym się pan martwi. Będziemy szukali, będziemy bardzo szukali. Przecież Pan Bóg nie dopuści, aby Zosieńka nie mogła leczyć się, jak długo potrzeba. Ja wierzę w cudy. Pan wie, jak mi się cudownie udało wyratować panią Zawidzką i trafić do pana Mudrowicza...

— Wiem, wiem. To był naprawdę cud! Widujesz go czasem, Ewuniu?

— Pana Mudrowicza? — zaśmiała się Ewcia. — A jakże! Tego pan jeszcze nie wie, co się u nas stało przed tygodniem. Pan Mudrowicz był u Zawidzkich przez cały wieczór.

— Nie może być!

— Był, bo ja go przyprowadziłam.

— I co, i co?

— Z początku było ciężko i pan Mudrowicz wyglądał trochę tak, jakby się chmurzył, a trochę tak, jakby był przerażony. Ale pani Zawidzka taka jest dobra i słodka, a pan Jerzy taki wesoły, że pan Mudrowicz niechętnie, zdaje się, odchodził. Bardzo mu się podobało pomiędzy ludźmi. Nazajutrz przysłał pani Zawidzkiej mnóstwo kwiatów, a mnie całą cukiernię. I teraz będzie przychodził w każdą niedzielę. Dobrze, co?

— Nadzwyczajnie!

— A ja wpadam czasem do niego, nagadamy się, naśmiejemy...

— Naśmiejemy?

— A cóż pan myśli? Pan Mudrowicz, biedaczyna, nie śmiał się od tylu lat, że teraz musi to nadrobić. Jedno mi się tylko nie udało. Widział pan lokaja pana Mudrowicza, Pawła?

— Aha! Przecież z nim gadałem.

— Otóż ten człowiek ani razu jeszcze się nie uśmiechnął! Ani razu. Piec już by się zaśmiał, a on nie. To chyba taki kaleka.

Rozmawiali o tym i o tamtym i uzgodnili swoje stanowisko wobec świata i ludzkości. Wreszcie Ewcia rzekła niespodzianie:

— Proszę pana, prawda, że pan jest mądrym człowiekiem?

— Ci, co mnie dobrze znają — odrzekł z uśmiechem pan Szymbart — są przeciwnego zdania; ci zaś, co mnie znają mniej, są pełni wątpliwości.

— Mnie się jednak zdaje, że pan jest bardzo mądry. I dlatego chciałam pana zapytać o radę... Niech mi pan powie, jak to zrobić, aby ożenić młodego człowieka ze śliczną panną, chociaż oni oboje o tym nie wiedzą!

Alkohol

Śmiech

— Co takiego?  
— Mówię wyraźnie: on nic o tym nie wie, ona nic o tym nie wie, tylko ja bym tego bardzo chciała.

— Dziewczyno! — zawołał pan Szymbart. — Co ty nowego zamýślasz? Chcesz żenić ludzi wbrew ich woli? Co ci się stało? Ej, nie igraj z ogniem, bo się sparzysz! Powiada pewien wschodni mędrzec, że można jeździć na tygrysie, ale niebezpiecznie jest z niego spaść, a ja widzę, że ty już siedzisz na tygrysie. I zlecisz! Słowo daję, że zlecisz!

— Widzę, że się pan na tym nie zna — rzekła Ewcia zawiedziona. — Kobieta zrozumiałaby mnie od razu i dałaby mi doskonałą radę. Gdyby wszystkie moje koleżanki nie rozjechały się na wakacje, zrobiłybyśmy naradę i wszystko byłoby gotowe. Przecież trzeba pomagać ludziom, którzy sami nie wiedzą, jak to zrobić, aby się pobrać.

— Czy ten młodzieniec chce tego?

— Przyznaję, że nie wiem.

— A ta panna?

— Któraż panna nie chce wyjść za mąż? Musi oczywiście przedtem zakochać się na śmierć. A mnie właśnie o to idzie, aby się zakochała.

Ponieważ pan Szymbart, wszystkie zmysły wysiliwszy, nie mógł znaleźć sposobu na śmiertelną miłość panięńską, Ewcia pozostawiła go w wirze zwątpienia i przerażenia. Spokojny ten człowiek — któremu przed dwudziestu laty rzekła chłodno matka przyszłej pani Szymbartowej: „Od dwóch miesięcy zjada pan u nas obiady, myślę więc, że się dzisiaj pan oświadczy mojej ukochanej córce!” — patrzył za odchodzącą Ewcią wzrokiem osłupiałym.

„Niekórtym ludziom”, myślał posępnie pan Szymbart, „brak jest piątej klepki. Ta dziewczyna jednak ma ich co najmniej sześć. Czy to jest lepiej, czy to jest gorzej?”

Odpowiedź na to niezmiernej wagi pytanie znalazł Jerzy, który z ogródka willi malował pełne słońca, ogromne topole, co jeszcze w tych stronach ocalały przed kamiennym zalewem miasta. Ewcia, powróciwszy ze swoich wędrówek po mieście, tak napęczniała cudzymi zmartwieniami jak czarna chmura deszczem, przysiadła obok na trawie i przypatrywała się w milczeniu, nie śmiąc żadnym słowem zmącić przyjaznej ciszy. Wreszcie Jerzy przerwał pracę, usiadł na składanym krzeselku i wydobył fajeczkę. Kopący ten przyrząd miał tę własność, że wciąż gaśł.

— Jureczku... — odezwała się Ewcia tak czule, że malarz spojrział na nią zdumiony.

— Czego pragniesz, Ewelizardo?

— Nie pogniewasz się na mnie, skoro cię zapytam o jedną dziwną rzecz?

— Jestem dzisiaj łagodnie usposobiony i dlatego wspaniałomyślny. Gadaj!

— Powiedz mi... Ale naprawdę się nie pogniewasz? Powiedz mi, czy ty byś się chciał ożenić?

— Nigdy! — krzyknął Jerzy. — A zresztą co to cię obchodzi?

— Pewnie, że mnie nie obchodzi — odrzekła Ewa słodko. — Ale dlaczego nie chciałbyś się ożenić?

— Bo mój duch wolny i nieśmiertelny nie znosi tyranii. To jedno. A następnie: malarz nie powinien się żenić, bo jest istotą wyższego gatunku i musiałby szukać przez sto lat godnej siebie kobiety. Rozumiesz, bąku? — mówił, śmiejąc się głośno.

— Rozumiem, oczywiście, że rozumiem — odrzekła Ewa dziwnie zgodnie. — A gdyby jednak znalazł taką wyjątkową istotę, to co wtedy?

— Wtedy także nic.

— Są jednak malarze żonaci...

— Podobno są, ale to nieszczęśliwi ludzie. Żony każą im strzyc włosy, zjawiać się o właściwej porze na obiad; nie pozwalają im wycierać pędzla o ubranie ani niedopałków papierosów wtykać w zagłębienie fotela, jakby to komu coś szkodziło. Każą im w przedpokoju zdejmować zablocone buty, gdy malarz malował na zorany polu, zmuszają ich do łażenia na wizyty; a dochodzi nawet do tego, że żona jednego z moich przyjaciół malarzy kazała mu przeczytać powieść swojej przyjaciółki. Czy dobrze słyszałaś, rajska Ewo? Powieść przyjaciółki! Ten człowiek płakał, prosił, groził i tłukł głową o ścianę. Omalże się nie rozchorował. I żeń się tu, człowieku!

— No, dobrze — zaśmiała się Ewcia. — Ale gdyby przyszła żona przyrzekła malarzowi, że mu nie każe strzyc włosów i czytać powieści, to co?

Artysta, Sztuka,  
Małżeństwo

— Nie ma aniołów na tym świecie!

— Jureczku... A gdybym ja ci znalazła takiego anioła, ożeniłbyś się?

Jerzy spojrział na nią przenikliwie i rzekł:

— Słuchaj no, Ewo, córko Hieronima! W mojej pracowni pod szafą leży książeczka z obrazkami, której używam czasem do tępienia much. Weź ją sobie i zajmij się czytaniem wierszyków i oglądaniem ilustracji. To w sam raz dla ciebie. A jeżeli jeszcze raz zaczniesz ze mną gadać o moim małżeństwie...

— Dobrze, dobrze... Już nie będę. Ja tylko tak sobie... Bo co mnie to obchodzi, czy ty się ożenisz czy nie? Prawda? Ja myślałam tylko, że mama to by się strasznie ucieszyła... O, znowu ci fajka zgasła... Basia mówiła mi onegdaj, że ci bardzo do twarzy z fajeczką i że wyglądasz jak młody angielski arystokrata.

— Kto, ja?

— Przecież ja fajki nie palę. Aha! I prosiła mnie, abym cię zapytała, czy dobrze ka-  
zała oprawić twój obrazek. Bo dała srebrną ramę. Cieniutką, srebrną ramę... I gdzie go powiesić? W słońcu czy w cieniu?

— A gdzie go powiesiła?

— W swoim pokoju nad łóżkiem. Powiedziała mi, że skoro się obudzi, musi od razu spojrzeć na ten obrazek, bo wtedy nawet dżdżysty dzień wydaje się jej pogodny. Co ci się stało, Jureczku?

Pytanie było uzasadnione, gdyż Jerzy schował gwałtownie fajkę do kieszeni, nie uważając, że tli się w niej wyjątkowo ogień. Porwał paletę i począł szybko jeździć pędzlem po płótnie.

Ewcia zapadła w mroczne milczenie i siedziała ze zmarszczonym czołem, co jest wewnętrznym objawem potężnej, niemej pracy ducha. Po chwili przerwała to filozoficzne zajęcie i zawołała z przestraszeniem:

— O, Jerzy! Zdaje mi się...

— Siedz cicho! — odrzyknął Jerzy, nie dając jej dokończyć zdania.

— Ale ja ci mówię, Jureczku...

— Siedz cicho! — powtórzył malarz. — Znamy się na twoich kawałach.

— To żaden kawał, tylko...

Jerzy wzruszył ramionami i zaczął gwizdać w dość fałszywej tonacji.

— Doskonale! — zawołała Ewa. — Zobaczymy, co z tego będzie. Ja już ani pisnę.

Słychać było jedynie szorstki dotyk pędzla i ćwierkanie wróbla, który przysiadł na rynnie. Z tymi skąpymi głosami natury poczęły się mieszać różnorodne jej zapachy, dotąd nikłe i ledwie wyczuwalne — od pewnego czasu jednak wybił się ponad nie jeden, mocno drażniący i niemiły. Jerzy pociągnął nosem i mruknął:

— Coś się pali...

— Aha! — rzekła Ewcia — Coś się pali.

— Jakiś papier czy pierze?

— Mnie się zdaje, że wełna. Coś jakby ubranie.

— Ubranie? Czyje?

— Twoje — odrzekła Ewcia spokojnie. — Pali się już od dziesięciu minut. Chciałam ci dawno o tym powiedzieć, ale ponieważ ty się znasz na moich kawałach...

— Aj, aj! — wrzasnął Jerzy i zerwał z siebie kurtkę, w której zawsze gasnąca fajka wypaliła kieszeń i poczęła okazywać dalsze żarłoczne chęci.

— Gdybyś miał żonę, może by ci to naprawiła! — rzekła Ewcia, lecz szybko zerwała się z trawnika, gdyż Jerzy zdradzał obłąkane zamiary uczynienia jej jakiejś doraźnej krzywdy; przystanąwszy w bezpiecznej odległości, mówiła dalej z powagą: — Trzeba zawsze, mój chłopcze, słuchać tego, co mówią ludzie rozsądni i zrównoważeni, choć nie umiejący malować, co na jedno wychodzi.

Nieszczęsny pogorzelec zabił ją spojrzeniem najpierw prawego, potem lewego oka, po czym zaczął oglądać szkody, dokonane przez fajkę.

— Ewciu, Ewciu! — ozwał się przez okno głos pani Zawidzkiej. — Chodź no prędko, mam dla ciebie niespodziankę.

— Przez drzwi czy przez okno? — zawołała Ewcia.

— Nawet przez komin, byle prędko!

Pani Zawidzka podała jej gazetę i wskazując palcem niedługi artykuł, rzekła:

Pożar

— Czytaj, drogie dziecko, a bardzo się ucieszysz.

— O tatusiu! — krzyknęła Ewa, ledwie rzuciwszy okiem.

Poczęła czytać korespondencję z Chin, w której pośród czerni liter błyskało od czasu do czasu promieniście nazwisko jej ojca. Korespondent oznajmiał całemu polskiemu światu, że doktor Hieronim Tyszowski zdobył sobie w Chinach sławę szeroką i zasłużoną, że mądrzy Chińczycy błogosławią jego działalność, a najwyższe władze składają mu hołdy; że polski uczyony pomnożył niepospolicie chwałę imienia polskiego i że nie szczędzi sił, aby zamierzone swoje dzieło doprowadzić do końca.

Czarne literki zaczęły tańczyć przed oczami Ewci, migotać, złościć się i promienić. Potem spadła na nie niespodziana ulewa łez czystych i rześzystych, a jeszcze później Ewcia ucałowała papier w tym miejscu, w którym czarno na białym wypisano nazwisko jej ojca. Nie było dotąd wypadku, aby gazetę, w którą dobrzy ludzie zawijają śledzie, całowano z rozczuleniem. Może dlatego pani Zawidzka uśmiechała się nieco dziwnie, bo też jakby przez łzy.

— A co? — wołała Ewcia — Udał mi się Hieronim!

Artykuł został głośno odczytany siedem razy, tak że nawet i Rolmops cośkolwiek wreszcie z tego zrozumiał i zawył z wielkiego ukontentowania. Gazeta została wzięta przez Ewcię na własność, gdyż należało ją odczytać jeszcze Basi, panu Mudrowiczowi, Szymbartom i trzeba ją wysłać pani Halickiej.

Jerzy, wzruszony serdeczną radością Ewci, zapomniał o spalonej kieszeni i rzekł:

— Jutro pójde do redakcji i kupię ci kilka egzemplarzy tej gazety. Znaj pana!

Dnia tego nie mówiono oczywiście o niczym innym, tylko o chińskiej cholercie, lecz prędko wyczerpano temat ze względu na dość skąpe o niej wiadomości. Przybył wprawdzie niespodzianie nowy, światły umysł, lecz nie mógł wziąć udziału w naukowej dysertacji<sup>123</sup>, sam bowiem zdradzał objawy jakiejś niepokojącej i gwałtownej choroby. Oto do pokoju wszedł miły Rogalik, lecz jakże odmieniony! Musiało mu się coś zakręcić w rozumie albo serce przeskoczyło w nim na prawą stronę, albo też zwykła cegła na niezwykłą upadła głowę. Na twarzy miał wypieki, a w pocziwych oczach wyraźny oblęd. Ukłonił się, bo ukłonić się musiał — nikomu jednak z żyjących, lecz gdańskiej szafie. Potem się zatoczył i padł na krzesło, ciężko dysząc.

„Upił się Rogalik!”, pomyślał Jerzy z trwogą.

— Co się panu stało! — rzekła zaniepokojona pani Zawidzka.

— Może wody?! — zawołała Ewcia.

— Nie... nie... — zaszemrał Rogalik. — Ja zaraz... Biegłem prędko... O, panno Ewo!

Ewcia, zdumiona, że jej imię zostało wypowiedziane z łzawym wzruszeniem, zerwała się z krzesła.

— Czy pan jest chory? — szepnęła.

— Nie! Nie! — krzyknął Rogalik z mocą. — Ja jestem szczęśliwy! Przez panią! Przez panią jestem szczęśliwy!

Ewcia spojrzała z widocznym przerażeniem na Rogalika, a błagalnie — na panią Zawidzką, która, niczego nie rozumiejąc, spojrzała z kolei na Jerzego, wzywając na ratunek męskiej pomocy.

— Panie kolego! — rzekł Jerzy dobitnie. — Niech się pan uspokoi. Jeżeli pan jest szczęśliwy, to dobrze. I ja się cieszę, i moja matka, i Ewcia...

Miły Rogalik słuchał go uważnie, jak gdyby każdemu słowu przyglądał się z osobna. Widać, że coś zdołał pojąć resztką niezwarzonego rozumu. I jakby teraz dopiero zrozumiał, że oprócz gdańskiej szafy i Ewci ktoś jeszcze znajduje się w pokoju, zerwał się, ukłonił się ze wspaniałym rozmachem i rzucił się do rąk pani Zawidzkiej.

— Przepraszam, bardzo przepraszam — mówił gorąco. — Ale ja jestem taki szczęśliwy, o Boże, jaki ja jestem szczęśliwy.

— Dobrze już, dobrze! — powiedziała pani Zawidzka. — Ale co się panu przydarzyło?

— O, proszę pani... Niedawno w cukierni panna Ewa jadła lody i mówi: „Niech pan siądzie z nami”.

— Ach! — szepnęła Ewcia, zaczynając pojmować.

— Nic nie rozumiem! — rzekła pani Zawidzka.

<sup>123</sup>dysertacja — tu: dyskusja naukowa. [przypis edytorski]

— Niechże mama uważa — zaśmiał się Jerzy. — Pan Rogalik był w cukierni z Ewcią...  
— Wcale nie! — zawołała Ewcia. — Ja byłam w cukierni z panem Mudrowiczem...  
— Tak, tak! — potwierdził gorąco miły Rogalik. — I pan Mudrowicz kazał mi przyjść...

— A mówił pan, że Ewcia...

— Panna Ewa kazała mi przyjść do stołu, a pan Mudrowicz do siebie. Mówił: „Niech mi pan pokaże swoje obrazki, panie Rogalik!”. I ja tam dzisiaj byłem.

— U pana Mudrowicza? — zdumiał się Jerzy.

— Tak, tak! Zaniósłem mu obrazy, a on patrzy, patrzy i mówi: „Jeszcze nie to, co być powinno, ale z ciebie, chłopcze, coś będzie! Patrz, jak maluje Zawidzki, i ucz się!”.

— O! — szepnął Jerzy. — Tak powiedział?

— Tak. A potem długo myślał, poklepał mnie do ramienia i powiada: „Słuchaj, chłopcze! Ja mam, a ty nie masz, więc się podzielimy... Na trzecim piętrze jest tu wolny pokoik... Tam sobie będziesz mieszkał. A żebyś miał co jeść, dostaniesz ode mnie stypendium do czasu ukończenia nauki!”.

— O Boże! — zdławionym głosem wykrzyknęła Ewcia.

— Ja też tak zawołałem, proszę pani — mówił zdyszonym, gorącym głosem Rogalik. — Świat się zakręcił razem ze mną... Zacząłem mu dziękować, a on powiada: „Nie mnie dziękuj, nie mnie, ale pannie Tyszowskiej musisz podziękować!”. I bardzo się cieszył... A ja zawołałem: „Pannie Tyszowskiej? Już leć!”. I wybiegłem... Tak biegnę, że zostawiłem u pana Mudrowicza kapelusz... O, panno Ewo! O, panno Ewo! Bo gdyby nie pani...

— Na kolana, Rogalik! — wrzasnął Jerzy przeraźliwym głosem.

Zdawało się, że ten głos był wystrzałem armatnim, co ugodził Rogalika w szlachetną pierś i powalił go do stóp Ewci, która, pisnąwszy cieniutko, skryła się w ramionach pani Zawidzkiej.

Pani Zawidzkiej zaś zdawało się, że jest w teatrze na tak dziwnej sztuce, iż nie wiedziała, czy śmiać się czy płakać.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY, W KTÓRYM ROZTROPNA GŁOWA ROZMYŚLA, JAK ZBLIŻYĆ DO SIEBIE DWA SERCA

— Co pan z nami wszystkimi wyprawia? — mówiła Ewa do pana Mudrowicza, który był najwyraźniej zawstydzony.

— Najpierw uszczęśliwił pan panią Zawidzką, a przez to Jerzego i mnie. A wczoraj Rogalik postradał ze szczęścia zmysły...

— Rogalik zostawił u mnie kapelusz... — mruknął pan Mudrowicz.

— I kapelusz, i głowę, i serce. Pan nie może sobie wyobrazić, co się z nim działo.

— Ach, mówić nie warto...

— O, żeby wszyscy byli tacy jak pan!

— Wtedy byłoby smutno na świecie — bąknął pan Mudrowicz. — Przestań, Ewuniu. I wierz mi, że mnie było znacznie przyjemniej niż temu Rogalikowi. Ale, ale... Czy zostaniesz u mnie na obiedzie?

— Nie mogę, bo jadę do Otwocka, do Zosi Szymbartówny.

— W takim razie ja jadę z tobą! — rzekł pan Mudrowicz z mocą.

Nie dał się odciągnąć od tego zamiaru, twierdząc, że od wielu lat nie wyjeżdżał poza Warszawę, więc szalona wyprawa aż do Otwocka będzie dla niego wyprawą do Ziemi Obiecanej<sup>124</sup>, czemu trudno było zaprzeczyć, gdyż Otwock, żywicą pachnący, dziwnie przypomina izraelskie rubieże. Nie zgodził się też na jazdę pociągiem i ku niesłychanej radości Ewy kazał Pawłowi sprowadzić automobil.

— Niech mu to pan wyraźnie wytłumaczy — rzekła Ewcia — gdyż Paweł gotów sprowadzić karawan.

Oleisty smutek nie zalał jednakże całkowicie rozsądku Pawła, więc pojechali automobilem. Pan Mudrowicz wstąpił po drodze do sklepu, w którym sprzedają słodkie rozkosze żywota.

<sup>124</sup>Ziemia Obiecana — biblijne miejsce, do którego Mojżesz prowadził Izraelitów po ucieczce z Egiptu. [przypis edytorski]

— Dasz to swojej przyjaciółce — rzekł, wręczając Ewci pudełko wielkości młyńskiego koła.

Ona nie podziękowała słowami, lecz spojrzała na pana Mudrowicza takim wzrokiem, że się staruszek uśmiechnął dziwnie jakoś nieporadnie. Zastanowiło ją to, że pan Mudrowicz, dotąd puszczyk, unikający dziennego światła, przemykający się chyłkiem przez resztę swego niezmiernie smutnego życia, sam się teraz z gorącą skwapliwością garnie do ludzi. Odmieniła się nie tylko zboląa i skostniała wśród zgryzot dusza tego człowieka, lecz stał się z nim cud inny jeszcze: brzydki pan Mudrowicz przestał się bać swojej własnej twarzy. Rozwiał się jego chorobliwe urojenie, że ludzie będą się odwracać ze zgrozą na jego widok. Od czasu kiedy go Ewcia wywiodła „z ziemi egipskiej, z domu niewoli”, samotności i udręczeń, nie zdarzyło się jeszcze, aby go ktoś obraził lub dotknął zaleknionym lub zdziwionym spojrzeniem; nabrał przeto odwagi, a gdy był w towarzystwie Ewci, stawał się bohatersko odważny. Za to wszystko był jej nieskończenie wdzięczny. I dlatego na dnie serca — jak na dnie wyschłej studni — odnalazł uśmiech, o którym zapomniał. Jadąc teraz z tą dziewczyną, czuł się jak szkolny żak<sup>125</sup>, co wybiera się na wakacje. Pomrukiwał z zadowolenia, gadał o tym i o owym i pytał, wciąż pytał... Wiedział o wszystkim, co się działo dookoła ukochanej Ewuni, lecz mu było wciąż za mało. Wiedział też o czarnych zgryzotach państwa Szymbartów, niemogących utrzymać córki przez cały rok w sanatorium.

Biedniutka Zosia nie mogła w pierwszej chwili przemówić z radości i zachwytu. Ponieważ dzień był prześliczny, leżała na werandzie, otwartymi usteczkami pijąc to zdrowie, co się jak złota żywica sączy z gęstwiny karłowatych sosen. Wzdłuż długiego, ogromnego budynku leżało mnóstwo takich jak ona, dotkniętych podstępna, straszna, jadowita chorobą — gruźlicą. Byli to przeważnie ludzie młodzi, czepiający się życia łakomym, często aż drapieżnym spojrzeniem szeroko rozwartych oczu. Wypatrywali nadziei, co się wychyli z tego sosnowego lasu, co przyleci spod słońca, co przypłynie Wisłą. Na bladziutkich, często aż sinych ustach drżały niesłyszalne szepty, modlące się cicho, cichuteńko o promienistą łaskę życia. Ręce niektórych dziewczynek leżały nieruchomo na kołdrze, blade i długie jak lodygi nadwędzłych kwiatów. Innym kropelki potu zwilżyły czoło barwy słoniowej kości, jak gdyby całe ciało płakało z trwogi, co w tej chwili, przerażona białością dnia, odeszła i przyczaiła się gdzieś w mroku, lecz powróci w nocy, wypełnie z kąta i chyłkiem się podkradłszy, chwyci biedniutkie, zrozpaczone serce, aby je w zimnej, kościstej dłoni zdławić jak bezbronny ptaka. Śmierć w postaci posępnego, cichoskrzydłego jastrzębia krąży nad tą okolicą i nieruchomymi oczyma wypatruje ofiary wśród tych piskląt. Bóg ich strzeże i ci bialo odziani, przez Boga dobrotliwego posłani ludzie, co się snują tu i ówdzie — baczni, bystro patrzący, czujni na każdy odgłos zniszczonych płuc. Są to apostołowie świętego miłosierdzia. Cichutko, ze ślicznym uśmiechem na słodkiej twarzy, siostra, która temu miłosierdziu poświęciła życie, stąpa powoli wzdłuż szeregu leżących dziewczynek. Jednej rzuci słowo promieniste jak kwiat, drugiej pogładzi czoło ręką, innej podniesie poduszkę, aby jej było wygodniej. Przechodząc obok Zosi, uśmiechnęła się i do niej, i do Ewci, i do pana Mudrowicza, który odkrył szybko głowę i skłonił się jej z głęboką czcią.

Dziewczęta zaczęły rozmawiać — Zosia powoli i z trudem, Ewcia szybko i perliście. Pan Mudrowicz patrzył i słuchał. Nie chciał przeszkadzać przyjaciółkom i nie chciał im zabierać ani jednej chwili. Ewcia wygadała przez pół godziny dwa grube tomy, w których było wszystko i o Zawidzkich, i o Basi, i o panu Mudrowiczu. Zosia spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczami, pełnymi mądrej tkliwości cierpiącego człowieka; potem uśmiechnęła się bledziutkim uśmiechem i położyła rękę na jego dłoni. Starszy człowiek zadrżał.

— Pan musi być strasznie dobry — mówiła cichuteńko — skoro Ewcia pana tak kocha.

Pan Mudrowicz chciał coś powiedzieć, ale nie mógł. Na szczęście przypomniał sobie o pudełku ze słodyczami, które postawił przy sobie na ziemi. Podniósł je niezręcznym ruchem i położył obok Zosi.

— Boże złoty! To dla mnie?

<sup>125</sup>żak (daw.) — student, uczeń. [przypis edytorski]

— Od Ewci — zamruczał dziwnie pan Mudrowicz.

— Od Ewci, od Ewci! Wszystko zawsze od Ewci! — zaśmiała się Ewa. — Nie wierz panu, Zosieńko! To pan Mudrowicz ci przywiózł, a dlatego takie małe pudełeczko, bo w całej Warszawie nie było większego.

Okazało się jednak, że ogromne pudło było zbyt małe, gdyż poszło ono natychmiast w okrężną drogę do sąsiadek. Ewcia biegła z nim na polecenie Zosi i karmiła biedne dziewczęta jak wróble. Zdawało się, że każda czekoladka jest „pigułką szczęścia”, która wywołuje uśmiechy i ciche okrzyki. Pan Mudrowicz pomyślał ponuro, że jest złym człowiekiem, bo przywiózł tylko jedno pudełko. Nie wiadomo, czy z tego czy też z innego powodu podniósł się nagle i rzekł:

— Pogadajcie tu sobie dziewczęta, a ja obejrzę sanatorium.

Szedł powoli, z gołą głową, jakby jej nie śmiał nakryć w obliczu cierpienia, i po chwili zniknął za zakrętem.

Podczas powrotnej drogi był zamyślony i milczący. Raz tylko powiedział tak, jak gdyby głośno rozmyślał:

— Człowiekowi zdaje się zawsze, że jego osobiste cierpienie jest największe na świecie. A to jego cierpienie jest tylko kropelką w oceanie... Niech mi Bóg przebaczy...

Ewcia nie przemówiła ani słowem, nie chcąc mącić jego zatroskanej zadumy. Wiedziała, o czym mówi sam do siebie, pomyślała jednak, że może on nie pragnie, aby wiedziała.

Dopiero gdy już dojeżdżali do Warszawy, pan Mudrowicz jak gdyby się obudził.

— Powiedz mi, Ewuniu — mówił, nie patrząc na nią i jakby niechętnie — kto są ci... Jakże im tam? No! Ci Szymbartowie?

— To biedni ludzie — odrzekła. — Pan Szymbart jest człowiekiem roztropnym i żyje z małej emerytury, a pani Szymbartowa jest kobietą nieszczęśliwą.

— Tak, tak, wiem... Mówiłaś mi o tym. Biedna ta Zosia... A gdzie to oni mieszkają?

Ewcia odpowiedziała bardzo ściśle, mocno zdziwiona, po co panu Mudrowiczowi ta wiadomość. Jeszcze więcej zdumiała ją następne jego słowa:

— Ewuniu — mówił powoli i z namysłem — chcę cię o coś bardzo serdecznie poprosić. Otóż rzecz jest taka: może się zdarzyć, że rodzice Zosi otrzymają przyjemną wiadomość. Wszystko jedno jaką... Ty się o niej oczywiście dowiesz. Przrzeknij mi, drogie dziecko, że nie będziesz robić żadnych przypuszczeń i że me będziesz żadnych snuć domysłów. Najlepiej będzie, jeśli oświadczysz, że o niczym nie wiesz, co zresztą będzie prawdą.

— Skoro nie wiem, to nie powiem! — zaśmiała się Ewcia.

— Tak, ale ty wiesz z pewnością, ile jest w Warszawie much, więc tak długo będziesz szukać, aż znajdziesz. Proszę cię, nie czyn tego! Dobrze?

— Dobrze!

— Słowo?

— Po co słowo? Jak pana kocham!

— Znakomicie, wierna duszo! I już o tym nie mówmy.

Pożegnali się bardzo czule, jak gdyby pan Mudrowicz miał wieczorem odpłynąć na wieki do Ameryki, a ona do środkowej Afryki, i rozeszli się niezmiernie z siebie radzi, bo takich zaprzysięgłych przyjaciół nie było w tym czasie we wszechświecie ani w najbliższej okolicy.

Dopiero nazajutrz o liliowym zmierzchu zrozumiała Ewcia, czemu to piekielnie chytry pan Mudrowicz kazał jej składać przysięgę. Przed dom pani Zawidzkiej zajęchała dorożka, do której przyczepiony był koń tak mizeracki<sup>126</sup>, że zdawało się, iż to jego dorożka popycha, a nie on ją ciągnie. Mieszkańcy ze zdumienia „wyszli z siebie”, ujrawszy, że z dorożki wychodzą państwo Szymbartowie i wchodzą do willi. Oboje byli podnieceni i niespokojni.

— O Boże! — szepnęła Ewa. — Może to już po mnie?

— Skądże znowu! — odrzekł Jerzy. — Po ciebie przyszliby z koszem albo z workiem.

— Chyba ciotka przyjechała albo przyszła depesza od ojca — mówiła zatruwiona Ewa.

Pani Zawidzka powitała uprzejmie niespodzianych gości, którzy z bliska sprawiali wrażenie z lekka obłąkanych, bo pan Szymbart nie mógł wydobyć głosu, a pani Szym-

Cierpienie, Kondycja ludzka

Tajemnica, Przysięga

<sup>126</sup>mizeracki — wymizerowany. [przypis edytorski]

bartowa padła na najbliższy fotel i zaczęła płakać bez najmniejszej uwertury, bez przygotowania, bez zapowiedzi, bez ostrzeżenia, bez wprowadzenia słuchaczy w nastrój.

— Co się pani stało? — zawołała z niepokojem pani Zawidzka. — Czy jakieś nieszczęście?

— Nie, nie! — rzekł pan Szymbart z pośpiechem, schwytawszy oddech. — Przeciwnie!

— W takim razie czemu pani płacze?

— Ze szczęścia! — krzyknął pan Szymbart.

— W tym domu zaczynają się dzieć cuda — szepnął Jerzy do Ewci. — Oho! Pan Szymbart daje oznaki życia.

Pan Szymbart wydobyl z kieszeni portfel, a z portfela karteczkę, którą podał drżącą ręką pani Zawidzkiej.

— Niech pani czyta! — rzekł zdławionym głosem.

Pani Zawidzka odczytała cicho, że sanatorium w Otwocku potwierdza odbiór należności za czas jedenastu miesięcy od panny Zofii Szymbartówny.

— To doskonale! — rzekła pani Zawidzka z miłym uśmiechem. — Dlaczego mi pan to pokazuje?

W odpowiedzi pani Szymbartowa zapłakała o oktawę niżej, a pan Szymbart podniósł obie ręce ku niebiosom. Potem jedną z nich wymierzył w stronę Ewci i rzekł:

— Ona obiecała, że stanie na głowie! Słyszysz pani?

— Co takiego? — zdumiała się pani Zawidzka — Dlaczego Ewa miała stawać na głowie?

— Nadzwyczajne! — zaśmiał się Jerzy.

Ewa zbladła i patrzyła na wszystkich ze strachem.

— Ewcia — wyjaśniał zdyszonym głosem pan Szymbart — wiedziała, że my nie możemy opłacić sanatorium. I wtedy powiedziała, że stanie na głowie, a pieniądze muszą się znaleźć. Teraz się znalazły, a nikt z nas nie wie, kto je dał.

— Ach tak! — zdziwiła się pani Zawidzka. — A skądże ten kwit?

— Dostaliśmy go przed godziną pocztą. O czymś podobnym nie mogliśmy marzyć... Dlatego moja żona tak płacze... A ja chyba oszaleję ze szczęścia...

— Teraz rozumiem — rzekła pani Zawidzka. — Państwo chcą się dowiedzieć od Ewci, kto jest tym dobroczyńcą?

— Tak, tak! — krzyknął pan Szymbart.

Wszyscy spojrzeli na Ewę, która usiadła czym prędzej, jakby ją siły opuściły.

— Ewuniu złota — mówiła serdecznie pani Zawidzka — kto dał te pieniądze?

— Ja nie wiem o niczym! — odpowiedziała Ewa gwałtownie.

Pani Szymbartowa przestała płakać z nadmiernego zdumienia, pan Szymbart zaś zbliżył się do Ewci i mówił błagalnie:

— Dziewczyno złota! My musimy wiedzieć... Przecież my musimy kiedyś zwrócić te pieniądze...

— Ja nie wiem o niczym! — powtórzyła Ewa, już bliska łez, i spojrzała na Jurka, wzywając go wzrokiem na ratunek.

— Moi państwo — mówił Jerzy. — Skoro Ewa twierdzi, że o niczym nie wie, niepotrzebnie ją dręczycie. Sama tych pieniędzy nie dała, bo tyle ma majątku co święty turecki. Mogę przysiąc, bo mnie osobiście winna jest osiemdziesiąt groszy.

— Właśnie! — zawołała Ewa.

— Obiecała wprawdzie, że stanie na głowie — mówił dalej wesóło — ale dotąd jeszcze za to nie płacą, bo gdyby tak było, cała ludzkość, ze mną na czele, stałaby do góry nogami. Moim zdaniem znalazł się ktoś zacny, kto nie chce, by o nim wiedziano, a pan Szymbart postąpi najrozsądniej, jeśli go nie będzie szukał.

— Ale ja muszę... — chciał wtrącić pan Szymbart.

— Oddać? Mój Boże! Cóż łatwiejszego? Gdy pan wygra wielki los albo otrzyma spadek po nieznannej ciotce, zwróci pan te pieniądze w ten sposób, że pan opłaci sanatorium za jakąś inną Zosię czy Marysię. Powiedz, matko jedynego syna, czy mówię rozumnie?

— Jedyne mój syn mówi wyjątkowo rozumnie. Niech kochana pani nie płacze. Niech się pani raczej ucieszy, że są jeszcze na świecie dobrzy ludzie... O tak, tak... Niech się pani uśmiechnie raz jeszcze.

Dar, Szczęście, Pieniądz,  
Tajemnica

Pan Szymbart nie dał się jednak przekonać.

— Ale ona powiedziała, że pieniądze się znajdują! — mówił zamyślony. — Nie przestanę twierdzić, że to Ewunia sprawiła...

— Proszę pana... Ja naprawdę nie wiem o niczym...

— Nie łzyj! — szepnęła jej Jerzy; głośno zaś rzekł: — Panie Szymbart! Niech pan da na mszę za nieznanego dobroczyńcę, a Ewci niech pan nie dręczy. Napiją się państwo herbaty?

— Moja żona twierdzi, że herbata... — jęknął pan Szymbart.

— Ja już niczego nie twierdę — odjęknęła pani Szymbartowa. — O, proszę pani! Jaka ja jestem szczęśliwa.

Po odejściu tych dwojga szczęśliwych Jerzy rzekł:

— Czy mama zauważyła, że od pewnego czasu wszyscy, którzy przychodzą do tego domu, przybывая z oznajmieniem, iż są szczęśliwi? Najpierw my oboje uniknęliśmy ciosu, potem robił dziwne miny pan Mudrowicz, potem tańczył tu Rogalik, a przed chwilą z wielkiego szczęścia płakała pani Szymbartowa, pan Szymbart zaś łapał się za głowę. Śmieszne historie! Istnieją na tym padole łez tacy ludzie, którzy roznoszą tyfus, sami o tym nie wiedząc, bo im nie szkodzi, ale istnieją i tacy, za którymi biegnie szczęście. Mam wrażenie, że ta oto niewyrośnięta osoba posiada tę właściwość. Ewelino! Czy nie mogłabyś sprawić, aby i mnie osobiście spotkało coś wspaniałego?

— To da się zrobić! — rzekła.

— Choćbyś miała stanąć na głowie? Nie czyn tego, księżniczko chińska, bo wreszcie skończysz w cyrku.

Skoro jednak pani Zawidzka odeszła, Jerzy zmrużył lewe oko i rzekł cicho:

— Ewuniu, powiedz prawdę: pan Mudrowicz?

— Zupełnie nie rozumiem, o co pytasz — odrzekła Ewa zapłoniona.

— Nie chcesz gadać, to nie gadaj. Są tajemnice, których się nie zdradza.

— Właśnie to samo chciałam ci powiedzieć. Są tajemnice, których dżentelmen nie wyjawia nawet na mękach. Dlatego publiczne ogłoszenie przed całym światem, że jestem ci winna osiemdziesiąt groszy, nie przynosi ci zaszczytu. Trudno jednak żądać od malarza...

— Nie kręć, Ewelizardo, nie kręć! — zaśmiał się Jerzy.

Nie ukrywał jednak swojego podziwu dla tego brzdąca, który w godzinę potem odbył długą, telefoniczną rozmowę z panem Mudrowiczem — rozmowę wielce tajemniczą, prowadzoną bardzo ściszym głosem, pełną jednak zdławionych okrzyków radości i stłumionego śmiechu, zakończoną zapewnieniami wieczystej miłości. Pan Mudrowicz sprawił niespodziankę nie tylko Szymbartom, lecz i Ewie. Radość jej była tak niebotyczna i nadludzka, że przez całą resztę dnia nie chodziła sposobem powszechnie przez ludzkość na codzienny użytek przyjętym, lecz podskakiwała i podrygiwała krokiem tanecznym, ulubionym wśród wróbli. Nosiło ją z kąta w kąt, wreszcie wieczorem poniosło do ogrodu. Wnet z drugiej strony, jakby wezwana tajemnym wołaniem, zjawiała się panna Barbara. Ponieważ sprawą zbyt pospolitą dla umysłów uskrzydłonych byłoby spotkanie na udeptanej ziemi przy jednej lub drugiej willi, wygramoliły się na mur graniczny i usiadły wśród dzikiego wina. Księżyc srebrzył się w swojej pełnej chwale, a przezysta rosa szklila się jak brylanty na różach. Gdzieś w oddali wielkie miasto brzęczało i szumiało, w tym zakątku jednak było cicho i srebrzyście. Dziewczeta, przytulone do siebie, rozmawiały szeptem; ponieważ nie widziały się od rana, więc treści do niezmiernie poważnej rozmowy nazbierało się na jakieś trzy dni, a jeszcze nie wszystko zostałoby dokładnie omówione. Dowiedziała się przeto Barbara, co uczyniła i o czym myślała Ewa, dowiedziała się Ewa, co czyniła i o czym marzyła Barbara, gdy zaś zakończono uczciwy handel bezcennym towarem, wymieniono kilka uścisków i okazałą liczbę westchnień. Należy bowiem zauważyć, na podstawie głębokich doświadczeń, że dusze szczęśliwe podobne są do owego worka, w którym wedle wyobrażeń Greków zamknięte były wiatry<sup>127</sup>, które czasem wydostają się na świat i więcej swobodnie.

Szczęśliwa duszyczka Ewy tę niezwykłą posiadała właściwość, że zaczynała być nie-szczęśliwa, skoro nie mogła podzielić się własnym szczęściem. Przedziwne dlatego przędła

<sup>127</sup>worek, w którym wedle wyobrażeń Greków zamknięte były wiatry — odniesienie do Eola, w greckiej mitologii władcy wiatrów, które trzymał zamknięte w worku. [przypis edytorski]

pomysły, zawsze bujne i cokolwiek niespodziane. Dziewczyna wpatrzyła się w księżyc — mądry, bo zawsze samotny, uśmiechnięty, bo w tej zimnej samotności pełen cierpienia — i myślała nad czymś bardzo głęboko.

— Basieńko — szepnęła. — Jakby to było cudownie na świecie, gdyby wszyscy ludzie byli dobrzy...

— O tak!

— A jakby to było cudownie, gdyby się wszyscy kochali!

— O tak!

— Wtedy nie byłoby ani złych, ani nieszczęśliwych, ani smutnych... Bogaty podzieliłby się z biednym, a szczęśliwy podzieliłby serce i połowę oddałby nieszczęśliwemu.

Basia westchnęła głęboko, lecz smutnie, jak gdyby chciała rzec, że tylko w srebrnej, przyjaznej poświacie księżycy mogą się snuć takie marzenia. Pomyślała, że w tej chwili, pełnej słodyczy i tkliwości, krople rosy na róży są dziwnie podobne do łez.

Ponieważ księżycowa filozofia Ewuni wyczerpała się doszczętnie, znowu wysłała myśli pracowite jak pszczoły na srebrny świat po nowe miody mądrości — że jednak nie powracały zbyt długo, rzekła cicho:

— Wiesz, Basiu, co powinnaś zrobić?

— Co, Ewuniu?

— Powinnaś namówić ojca, żeby złożył wizytę pani Zawidzkiej.

— Wizytę? — rzekła Basia przeciągle. — Pod jakim pozorem?

— Nie potrzeba żadnego pozoru. Sąsiedzi prawie zawsze odwiedzają sąsiadów.

— Tak, na wsi...

— Przecież to tak jak na wsi. A właściwie to Jurek był już u ciebie z wizytą.

— Nie bardzo.

— Ale twój ojciec powinien przyjść... Z tobą oczywiście...

Basia najwyraźniej drgnęła.

— Pani Zawidzka — mówiła Ewunia — będzie bardzo rada. Pojęcia nie masz, jaka to kochana osoba, a przy tym prawie zawsze sama. Mnie wciąż nosi, a Jurek nie wyłazi ze swojej pieczary, tylko wciąż maluje i maluje. Przyjdźcie do nas, Basieńko, koniecznie przyjdźcie! Potem pani Zawidzka odwiedzi twoją matkę i pogadają sobie kobieciny. Nie myślisz, że to byłoby świetnie?

— Być może — odrzekła Basia, zamyślona. — A jeżeli ojczulek nie zechce?

— Mojemu Hieronimowi nie potrzeba by długo gadać. Wzięłabym go pod rękę i nawet by nie wiedział, dokąd idzie. Później wprawdzie też by nie wiedział, gdzie był i u kogo, ale już by było po wszystkim. Myślę, że z twoim nie będzie o wiele trudniej. Ojcowie powinni słuchać swoich córek, jeżeli na świecie ma być jaki taki porządek. Zrobisz to, Basieńko?

— Spróbuję...

— Tylko spróbuj! Najlepiej będzie pojutrze około piątej...

— Pojutrze... Około piątej... — powtórzyła Basia bardzo cicho, lecz dobitnie, jak gdyby chciała sobie te słowa zapisać w pamięci ostrym, księżycowym promieniem.

Musiła to uczynić bardzo starannie, gdyż we czwartek, około piątej, Ewa, zdradzająca od czasu obiadu wyraźny niepokój, zawołała, patrząc w okno:

— Pan Zawilowski idzie do nas! — Potem dodała szybko: — Pewnie z wizytą, bo czarno odziany...

Jerzy, czytający gazetę, porwał się z krzesła.

— Ja tu nie jestem potrzebny, proszę mamy... Nie cierpię wizyt!

Chciał już czmychnąć, kiedy Ewa oznajmiła:

— Ach, i Basia idzie też! Proszę pani, niech Jurek nie ucieka, bo nie wypada...

— Co to znaczy „nie wypada”? Zresztą mogę zostać, bo mi się tak podoba.

Wszedł pan Zawilowski w uroczystym obleczeniu, potężny i wspaniały. Wąsy miał starannie ułożone, a brwi tak bujne, że gdyby mu wąsów zabrakło, mógłby je zastąpić brwiami. Basia odziana była w śliczną sukienkę, tak barwną, że powinny za nią gromadą latać pszczoły. Ponieważ w tym czasie na rodzinnej ziemi dojrzewały właśnie pomidory, nie dziwota przeto, że i na jej twarzy zjawily się z niewiadomej przyczyny rumieńce o złocistej, głębokiej czerwieni.

Sąsiad, Spotkanie, Obyczaje

Gdy ceremonia pierwszego, uroczystego powitania została wyczerpana, pan Zawilowski zasiadł w fotelu z wprawą wielokrotnego prezesa wielu komitetów, nabral tchu i „zagał posiedzenie”, objaśniewszy, że wedle odwiecznego zwyczaju sąsiad dopiero co osiadły winien jest złożyć hołd i uszanowanie sąsiadom zasiedziałym. Ciągnąc tę wyborną perorę<sup>128</sup>, wpatrywał się pilnie w twarz pani Zawidzkiej, która też nieznacznie krążyła spojrzeniem dokoła jego twarzy, ozdobionej parą wąsów. Nagle pan Zawilowski uderzył dłonią w kolano i zawołał uradowany:

— Ej pani dobrodziejko, czy my się przypadkiem nie znamy?

— I mnie się coś tak zdaje — odrzekła z uśmiechem pani Zawidzka.

— Coś tak przed trzydziestu laty w kutnowskim...

— Tak, tak!

— Panna Gronowska z domu, w której kochały się cztery powiaty...

— Gronowska z domu, ale czy cztery powiaty...

— Powiedziałem i nie cofnę! — uradował się pan Zawilowski z całego serca.

Radość podzielili wszyscy obecni, a Jerzy pomyślał: „Teraz powinien powiedzieć: „Góra z górą się nie zejdzie, a...””.

— Góra z górą się nie zejdzie, a człowiek z człowiekiem zawsze! — zawołał pan Zawilowski. — A wie pani, że gdyby mi ktoś jeszcze jedną cukrownię podarował, mniej by mnie to uradowało?

Pani Zawidzka, tak wspaniale oceniona, najwyraźniej była ogarnięta wzruszeniem. Z żywą przyjemnością zaczęła słuchać rozwichrzonej opowieści o dawnych czasach, o ludziach i zdarzeniach. Pan Zawilowski, dosiadłszy rączego bachmata wspomnień, cwałował rażno poprzez lata dawno osiwiacie i wywoływał duchy zmarłych, na potężne jego wezwanie budzących się niechętnie z wieczystego snu. Troje młodych przysłuchiwało się temu z należytyym szacunkiem, skoro jednak w pokoju zaczęło być tłoczno od rozmaitych babek i ciotek, skromnych dziewic i siarczystych kawalerów, tańczących mazura, Ewcia mrugnęła znacząco w stronę Jerzego, który jednak nie zauważył tajemnego znaku, albowiem wpatrzony był chyłkiem w Basię. Ewa postanowiła przeto wystąpić na rachunek własny i rzekła do pani Zawidzkiej:

— Proszę pani! Basia chciałaby zobaczyć pracownię Jurka... Czy możemy wyjść?

— Ależ oczywiście! — odpowiedziała pani Zawidzka i mimo woli spojrzawszy na Basię, pomyślała, że dawno nie widziała piękniejszej i bardziej uroczej dziewczyny. — My tu sobie jeszcze pogadamy... Idźcie, dzieci!

Basi na myśl nawet nie przyszła wyprawa do malarskiej pracowni, a Jurek spojrzął na Ewę ze zdumionym podziwem. Podniósł się niezgrabnie i wskazując Basi kierunek, rzekł niepewnie:

— Służę pani...

— Chodź, Basieńko — mówiła cicho Ewa. — Pan Jerzy nie wszystkich zaprasza do swojej pracowni. Dawno jednak marzył o tym, żeby tobie pokazać obrazy. Prawda, Jureczku, że marzyłeś o tym?

Żaden baran od stworzenia tego gatunku nie spojrzął bardziej wylupiastookim wzrokiem na zuchwałego człowieka. Wobec nagłego otepienia jedyne w tym gronie mężczyzny przewodnictwo swoim zwyczajem objęła Ewa i po krótkiej chwili urządziła scenę wedle wzoru zapamiętanego od owego dnia, w którym zasnęła na pace po mydle. Na tym samym chwiejnym tronie usadowiła Basię, nieco załężnioną, Jerzemu zaś rozkazała:

— Do roboty! Pokazuj obrazy, ale tylko dobre. Mnie mogłeś ocyganić, ale z Basią tak łatwo ci nie pójdzie.

— Ewuniu! — szepnęła Basia ze słabym wyrzutem.

— Wiem, że gadam głupstwa — zaśmiała się Ewa — ale jest mi dzisiaj strasznie wesoło. Gdzie wam podać herbatę: tutaj czy zejdziecie do senatorów?

— Ja myślę... — zaczęła Basia.

— Że tutaj — dokończyła szybko Ewa. — Jurek też zawsze pije ją w pracowni, bo zapewne ma tu gdzieś schowany koniak.

Jerzy chciał krzyknąć wielkim głosem, że nigdy tu nie pijał herbaty ani koniaku, gdyż w tym zakątku z płynów przechowuje tylko terpentynę do mycia pędzli, ale nie

<sup>128</sup>perora — przemowa. [przypis edytorski]

miał już komu o tym powiedzieć, bo Ewa zbiegła po schodach, głośno tupiąc. Z kolei chciała krzyknąć z radosnego zdumienia pani Zawidzka, bowiem od dłuższej już chwili myślała nad tym, co by podać tym miłym gościom, którzy jej tyle sprawili radości. Wprawdzie rozmaite uwędzone hrabiny wydały prawo, że gościa, co się zjawiał w domu po raz pierwszy, nie należy karmić niczym ani poić, prócz uprzejmego bredzenia o teatrze, w którym się nie było, i o książkach, których się nie czytało, pani Zawidzka jednak nie była hrabiną. Przybycie Zawilowskich było niespodziane i w domu, prócz resztek z obiadu, nie było niczego smakowitego. Najmilszym zaś gościom nie należy na podwieczorek podawać siekanych kotletów z młodą kapustą. Pani Zawidzka uśmiechnęła się przeto radośnie, ujrawszy, że do pokoju wkracza pochód, przypominający powrót wywiadowców izraelskich z żyznej ziemi Chanaan<sup>129</sup>, niosących winne grona wielkości obrotnej żydowskiej głowy. Na czele szła Ewa, dźwigając tacę zastawioną ciastkami i owocami, za nią zaś z ostrożnością kroczyła Honorcia z herbatą. Pan Zawilowski oznajmił, że się pani Zawidzka niepotrzebna rujnuje, lecz wielce był rad, że będzie miał sposobność do gorących wspomnień o jeszcze jednym wspólnym znajomym z kutnowskiego, co potrafił wypić jednym tchem butelkę wina — a wyborną tę sztukę pokazywał tak często, że razu jednego nie on dokończył butelkę, lecz butelka dokończyła jego, wskutek czego odbył się pogrzeb bardzo tłumny i — ponad wszelkie spodziewanie — dość wesoły.

Taki sam pochód podążył do pracowni, okazało się jednak nieco później, że wciąż rozmawiający, dostojni ludzie na dole zjedli trzykrotnie więcej niż milczący młodzi na górze. Na to jednak zwróciła uwagę jedynie Ewcia, którą po odejściu gości pani Zawidzka uściskała gorąco, mówiąc:

— Strasznie, strasznie było miło! Ale skąd tobie, Ewuniu, przyszło do głowy przygotowanie ciastek i owoców? Jestem ci za to niesłychanie wdzięczna! Czy wiedziałaś o tej wizycie?

— Coś mi Basia o tym mówiła — odpowiedziała Ewcia niewinnie. — Prawda, proszę pani, jaka to rozkoszna panienka?

— Bardzo, bardzo miła...

— I mądra! — rzekł Jerzy dobitnie. — Pojęcia mama nie ma, jakie ona doskonale uwagi robiła o moich obrazach.

„Wzięło cię, robaczku!”, pomyślała Ewa, a głośno powiedziała:

— Jurek! Tutaj palić nie wolno...

— Ach! — mruknął Jerzy. — Przyszedłem z tą fajką z pracowni i zapomniałem zgasić...

— Paliłeś fajkę przy Basi? — zapytała Ewa z ponurą zgrozą.

— Dlaczego nie miałem palić? Sama mnie o to prosiła.

„A, to dlatego taka mądra...”, pomyślała Ewa.

Gdy została z nim sama, rzekła:

— Bardzo się cieszę, że się pani Zawidzkiej tak goście podobali. A tobie, Jureczku?

— Owszem... Podobali się...

— Pan Zawilowski to wyborny typ.

— Aha... Wyborny...

— Ale czy zauważyłeś na twarzy Basi...

— Niczego nie zauważyłem, bo się jej nie przyglądałem!

— To dobrze, bo coś się biedactwu zrobiło nad lewym okiem. Jakiś guz czy coś?

— Jaki guz?! — krzyknął Jerzy. — Nie bądź złośliwa. Zła jesteś, że ona taka ładna. Może nieprawda? Czoło ma bez najmniejszej skazy, gdzieś ty ujrzała jakiś guz?

— Może mi się tak tylko wydawało, ale skąd ty o tym wiesz, skoro się jej nie przyglądałeś? — rzekła Ewa szybko i jeszcze szybciej wybiegła, albowiem ujrzała w jego oczach śmierć nagłą i niespodziewaną.

Podobnemu śledztwu została później poddana panna Barbara, która uścisnęła Ewę goręcej niż zwykle, czemu brakło filozoficznego uzasadnienia.

— Ach, jak u was jest miło, mój Boże — mówiła z zapalem, sponad którego unosiła się para jak nad gorącą wodą.

<sup>129</sup> Chanaan a. Kanaan — starożytna kraina na wschodnim wybrzeżu Morza Śródziemnego, często wspomniana w Biblii. [przypis edytorski]

— U nas zawsze jest miło. Pani Zawidzka jest najlepszą kobietą na świecie. Szkoda tylko, że Jerzy czuł się jakoś nieswojo. Nie zauważyłaś, że był dziwnie blady?

— Nie zauważyłam — odrzekła Basia szybko. — Oglądałam z takim zainteresowaniem obrazy, że nawet nań nie spojrzałam.

— To dobrze, bo coś mu się zrobiło z prawej strony ust. Jakaś zmarszczka czy coś takiego...

— Jaka zmarszczka? Co ty opowiadasz, Ewuniu! Nie widziałam żadnej zmarszczki... Zresztą pan Jerzy ma przepiękne usta...

— Ach tak? Muszę się lepiej przyjrzeć... A obrazy?

— O Boże! — zawołała Basia, podnosząc obie ręce ku niebiosom. — Pan Jerzy to genialny malarz!

— Czemu mówisz o nim „pan Jerzy”?

— A jakże mam mówić? — zapytała Basia ze strachem.

— Po prostu „Jerzy”, a jeszcze lepiej „Jurek”. On mówi o tobie „Basia”.

— On... Mówi... „Basia”?

— Trzymaj się, bo zlecisz z muru! — zawołała Ewa. — Co ci się stało?

— Nic... Nic...

A ma pożegnanie uściskała Ewę jeszcze goręcej niż przy powitaniu, chociaż też nie było po temu filozoficznej racji.

Ewa rozmyślała głęboko, albowiem potężna jej głowa nie mogła trwać w bezczynności. Wynikiem tej zadumy było niespodziane pytanie, skierowane do Jerzego.

— Jureczku, powiedz mi, jak powinien być odziany mężczyzna do ślubu?

— A czy ja wiem? Jeden wdziewa frak, drugi czarny, pogrzebowy strój. Po co ci ta wiadomość?

— A w czym ty będziesz brał ślub?

— W kaftanie bezpieczeństwa! — wrzasnął Jerzy. — I w żółtych butach!

— Dobrze, ale czemu tak krzyczysz w obecności damy z najlepszego towarzystwa? Dlatego o to pytam, bo zauważyłam, że w twoim fraku mole założyły sobie jadalnię, klub i prywatne lotnisko. Gdybyś więc nagle potrzebował fraka...

Jerzy chwycił własną głowę w obie ręce, jak gdyby ją chciał zerwać z karku i cisnąć nią w straszliwą damę z najlepszego towarzystwa.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY, W KTÓRYM „DWA SERCA ZŁĄCZONE NA WIEKI”, A EWA SKACZE Z OKNA PO RAZ DRUGI, ALE ZAPEWNE NIE OSTATNI

Ewcia dostała list od ciotki Halickiej spod Makowa, adresowany do willi Zawidzkich. Jak to się mogło stać? Skąd ciotka wiedziała cokolwiek o Zawidzkich? List został rozerwany drżącymi rękami, a z koperty wypadła tajemnica — ciotka wiedziała o wszystkim. Oto pani Szymbartowa, odmieniona na duchu, jak gdyby go leczyła okładami z posiekanego śledzia, chciała mu ulżyć wyznaniem grzechów i napisała do pani Halickiej szeroko i długo — i o tym, jak zatrula Ewci promienisty żywot, i o tym, jak Ewcia dała drapaka, i o tym, jak serdecznie Ewcia zaopiekowała się Zosią. Ciotka przyjęła to wszystko do wzburzonej wiadomości i oznajmiła Ewci w liście, w którym wykrzykniki rosły jak nad Wisłą topole, że rada jest z tego, co się stało.

Ewci spadł kamień z serca i potoczył się z hukiem w przepaść. Ciężyło jej to nadmierne, że jej szczęśliwe dni u Zawidzkich omotane są pajęczyną kłamstwa. Odmieniona pani Szymbartowa uczyniła jej wspaniałą przysługę, biorąc winę za szaleństwa Ewci uczciwie na siebie. Było to z jej strony bohaterstwo. W niebie, gdzie — jak wiadomo — większa jest radość z jednego nawróconego grzesznika niżli z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, musiały dnia tego anioły tańczyć z radości. I Ewie chciało się tańczyć. Napisała do ciotki list tak wspaniały, że powinien być wyryty w miedzi. Była to właściwie powieść. „Oto jest romans życia niesklamany w niczem”<sup>130</sup>, jak rzekł Słowacki. Poczciwa

<sup>130</sup> *Oto jest romans życia niesklamany w niczem* — fragment utworu *Godzina myśli* Juliusza Słowackiego (1809–1849). [przypis edytorski]

ciotka będzie go zapewne czytała przez trzy dni, siedząc nad brzegiem strumienia, który jej obfite łzy poniesie do morza.

Pani Zawidzka też była bardzo uradowana, że pani Szymbartowa piorunem swojego listu oczyściła powietrze. Tylko Jerzy był nie bardzo zadowolony.

— Źle się stało! — rzekł pośepnie. — Gdyby wszystko niespodzianie wyszło na jaw, może złoiliby ci skórę, a tak może ci się upiec. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

Ewa nie miała jednak czasu na kłótnie z tym buszmenem, który nie miał zielonego pojęcia o delikatnych i subtelnych sprawach kobiecych. Odbывała tajne narady z Basią, co było połączone z koniecznością wyłączenia na mur graniczny. Ewie przyszło jednak do głowy, że Bogiem a prawdą mur ten jest zgoła nikomu niepotrzebny, że jest przykrą zawadą i powinien być zburzony. Wprawdzie droga przez dwie furtki nie była daleka, lecz mur graniczny między dwoma zaprzyjaźnionymi domami był złym symbolem. Przyjaźń obydwóch domów stawała się coraz głębsza. Po wizycie pana Zawilowskiego odwiedziła sąsiadów pani Zawidzka z adiutantem Jerzym i tak sobie przypadły do serca z biedną panią Zawilowską, że od pewnego czasu nie było dnia, aby jeden dom nie przysłał do drugiego serdecznego poselstwa. Po co zatem ten mur? Ewa odbyła naradę z Basią. Nazajutrz Basia przyczepiła się do ojca i laziła za nim jak cień, bardzo zresztą gadatliwy i wymowny. Tłumaczyła mu pracowicie konieczność zburzenia muru, co — jak wie o tym od Ewy — jest również marzeniem pani Zawidzkiej. W tym samym czasie Ewa oznajmiła pani Zawidzkiej, że zburzenie mizernego a tak zbędnego muru będzie — jak o tym wie Basia — z entuzjazmem przyjęte przez pana Zawilowskiego.

— Nie mam nic przeciwko temu! — zgodziła się pani Zawidzka.

— Skoro pani Zawidzka się godzi, ja nie mam nic przeciw temu! — rzekł pan Zawilowski.

Ewca pomyślała, że — w celu uniknięcia wydatków — obdarzony potężnym basem pan Zawilowski powinien powtórzyć jerychońską sztukę<sup>131</sup> i z braku mosiężnej trąby zważyć mur jednym wspaniałym okrzykiem. Trudno było jednak prosić go o tak przedziwny wysiłek i dlatego wezwano jakiegoś burzymurka, który za nieznacznym wynagrodzeniem rozebrał część ogrodzenia. Przez nową bramę przebiegł pierwszy Rolmops i napadł zniebacznie kurczętą w ogrodzie Zawilowskich, które cudem uszły z życiem przed szczekającą śmiercią. Opełnany kundel wpadł wobec tego niepowodzenia do kuchni, skąd smakowite wiały zapachy, i śmiertelnie przeraził kucharkę, która na widok kosmatego czorta „buchnęła, zawrzała i zgasła” jak kopcąca lampa. Działo się to wszystko bardzo wcześnie rano, burzymurek bowiem zjawił się do pracy o świcie. Oba domy, posłyszawszy narzekania drobiu, rozpaczliwy krzyk istoty ludzkiej, bojowy szczek kundla i okrzyki podziwu murarza, porwały się ze snu. Uroczysty akt otwarcia granicy odbył się wobec tego „przy tłumnym współdziale” obywateli. Jeden obywatel jednakże był przeraźliwie zdumiony — Jerzy, który nie wiedział o niczym. Ujrzawszy zwalone cegły, pomyślał w pierwszej chwili, że spokojną polską ziemię nawiedziło trzęsienie ziemi i że wszyscy uciekają w niedbale odzianym popłochu. Śmiertelna trwoga musiała niektórym pomieszać zmysły, ujrzał bowiem przez okno, jak Basia ugania się po ogrodzie za kurczętami, a Ewa, chwyciwszy za kark swego piekielnego kundla, niesie go do domu Zawidzkich. Obie dziewoje miały miny wprawdzie cokolwiek niepewne, lecz równocześnie roześmiane, nieszczęście przeto nie musiało być zbyt wielkie — tym bardziej, że bas pana Zawilowskiego zahuczał na chwilę, lecz wkrótce ucichł jak oddalony grzmot.

Skromnie odziany malarz wybiegł do ogrodu.

— Ewciu, co się tu dzieje, u Boga Ojca!

— Pomóż Basi złapać kurczętą! — krzyknęła Ewa. — Basiu! Jerzy biegnie na pomoc!

— Panie Jerzy, prędko! — wołała Basia.

Malarz przelazł przez wyrwę w murze, niebotycznie zdumiony.

— Przecież to dopiero szósta...

— Wszystko jedno! Niech pan łapie te kuraki, bo ja muszę cucić kucharkę.

<sup>131</sup>jerychońska sztuka — odniesienie do biblijnych trąb, których dźwięk spowodował przeraźliwe krzyki ludzi, doprowadzając tym samym do zburzenia murów Jerycha. [przypis edytorski]

Wobec tego Jerzy począł łowić kurze potomstwo, które zdradzało wyraźne objawy obłąkania i pierzchało na widok wielkoluda, słusznie przekonane, że schwytawszy je, będzie polykał na surowo i z pierzem.

W tej chwili wyszła z domu obudzona pani Zawidzka i patrzyła jak urzeczona — jej rodzony syn uganiał po cudzym ogrodzie za kurczętami, zrozumiałwszy zaś, że przemocą nie poradzi, począł je wabić chytrze rozlicznymi głosami, udając, że im sypie ziarno.

— Jerzy, co ty wyprawiasz? — zawołała zdumiona.

— Basia kazała mi je schwytać... — odrzekł Jerzy, zdyszany. — Niech mi mama powie, jak się wabi takie tałatajstwo?

Pani Zawidzka nie śmiała się serdeczniej od lat dziesięciu. Dnia tego jednakże zdziwiła się po raz drugi, kiedy jej pan Zawilowski oznajmił, że jej pomysł zburzenia muru bardzo mu przypadł do serca. Właśnie ona chciała to samo powiedzieć panu Zawilowskiemu, który też byłby zdziwiony, gdyby się dowiedział, że pomysł pochodził od niego. Jasne było przeto, że pomysł ten zrodziło jednocześnie szczęśliwe natchnienie. Jerzy jednak pilnie przyglądał się Ewci i kręcił głową.

— Czy nie myślisz przypadkiem o podziemnym przejściu na wypadek deszczu?

— Co ma być, będzie — odrzekła Ewa.

Podziemne przejście było zbędne, gdyż na wypadek deszczu wystarczał parasol — oczywiście dla osób dostojnych, młodzież bowiem nie zwracała uwagi na przeszkody tak mizerne. Przejście w murze okazało się najbardziej uczęszczanym traktem w Europie. Pannice wydeptały wkrótce bitą ścieżkę, a osoby dostojne chodziły nią bardzo często. Najbardziej nieśmiałym wędrowcem był natomiast długonogi. Wesoły Jerzy posmutniał. Zamykał się na długie godziny w pracowni i często słycać było, jak gada sam ze sobą. Jest to rozrywka dość monotonna i zdradza niepokój ducha. W towarzystwie matki i rozgadanej Ewy Jerzy zapadał w zamyślane milczenie. Było ono objawem mniej zatrwającym niż nagły brak apetytu. Pani Zawidzka spoglądała z niepokojem na syna, dla którego za dobrych czasów potężny indyk był ptaszkiem niewielkich rozmiarów.

— Ewuniu, nie wiesz, co jest Jurkowi? — pytała zatroskana.

— A co ma być, proszę pani?

— Od pewnego czasu jest jakiś nieswój... Nie rozmawia, nie je...

— Drobnostka! — odrzekła Ewa. — Wzięło go!

— Co to znaczy? Co go „wzięło”?

— To znaczy, że Jurek ma jakieś zmartwienie.

— Zmartwienie? Ale jakie?

— Ja myślę, że coś mu się zdaje, ale jeszcze nie jest pewny. I nie ma dość odwagi, aby się przekonać.

— Nic nie rozumiem!

— Bo to się nie da tak od razu wytłumaczyć... Jeżeli pani pozwoli, to ja go zbadam i wszystko pani powiem w swoim czasie.

— A czy ty coś wiesz?

— Ja? Skądże znowu! Od pewnego czasu Jurek w ogóle ze mną nie gada. Ale to przejdzie!

Minęły dwa tygodnie, ale jakoś nie przeszło. Ewcia zajęta była niesłychanie „życiem towarzyskim”, wyjazdami z panem Mudrowiczem do Otwocka, odwiedzinami u Szymbartów. Zdawało się, że nie zwraca żadnej uwagi na to, że w oknie naprzeciwko tkwi Basia jak pelargonia i — widać — przygląda się harcom wróbli.

— Niemądre dzieciaki! — rzekła Ewcia sama do siebie z odrobiną gniewu w głosie i machnęła ręką z wyraźnym lekceważeniem. — Mogą tak stać w oknach do skończenia świata, a żadnemu nie przyjdzie do głowy... Ech! Wszystko ja i zawsze ja...

Na ten temat odbyła naradę z panem Mudrowiczem, przed którym nie miała tajemnic.

— Jestem pewna — mówiła — że Jerzy kocha się w Basi, a ona w nim. Może oni jeszcze sami o tym nie wiedzą, ale ja wiem!

— A skądże ty możesz wiedzieć, pędraku? — śmiał się pan Mudrowicz.

— Jak to „skąd”? Czy pan myśli, że ja nie wiem, jak się objawia zakochanie? Ja sama kochałam się w życiu już dwa razy i dwa razy śmiertelnie. I dwa razy zostałam haniebnie zdradzona! — dodała ponuro.

— O, biedna maleńka!

Przemiana

Miłość, Zdrada, Przyjaźń,  
Fałsz

— Bynajmniej. Przekonałam się, co to jest męska stałość i co jest warta fałszywa przyjaźń. Moje dwie najlepsze przyjaciółki zbałamuciły tych, za którymi byłabym poszła na koniec świata. Jeden z nich tak cudownie udawał radio, że można było skonać ze śmiechu... A drugi pisał wiersze... Ale nie mówmy o tym, bo mi się chce płakać. Chciałam panu to tylko powiedzieć, że wiem dobrze, co to jest wielka i śmiertelna miłość. I wiem, że ani Jerzy nie zdradzi Basi, ani Basia Jerzego, bo to cudownie uczciwe serca; ale z tego chyba nic nie będzie i to mnie okropnie martwi.

— A dlaczego nic nie będzie?

— Bo Jerzy jest tylko w gębie mocny, a naprawdę jest bardzo nieśmiały; ona też. Zresztą Jerzego martwi co innego jeszcze. Ja to doskonale czuję. Widzi pan, pan Zawilowski jest bardzo bogaty, a Jerzy jest malarzem i nie ma nic. I dlatego Jerzy, choćby miał cierpieć nie wiem jak, nigdy się nie odważy na nic, bo jest piekielnie ambitny...

— Piekielnie głupi! — rozgniewał się niespodzianie pan Mudrowicz. — I ty też, jeśli myślisz tak samo.

— O, proszę pana!

— Głupi jest! Nie wiem, jak bardzo bogaty jest pan Zawilowski, o tym jednak wiem z pewnością, że Zawidzki jest od niego stokroć bogatszy. Rozumiesz?

— Nic nie rozumiem.

— Boś ciele! Słuchaj dziewczyno... Ten pan Zawilowski ma fabrykę czy coś takiego?

— Trzy fabryki i majątek ziemski...

— Aha! Fabryki mogą spłonąć, mogą się rozwalić, licho wie zresztą, co się może stać z tym wszystkim, co posiada pan Zawilowski. Znam bogatszych od niego, co w krótkim czasie nie mieli grosza. A kto może zabrać ten ogromny, ten wspaniały majątek, który posiada Zawidzki?

— Jaki majątek? — zdumiała się Ewcia. — Pięć złotych?

— Talent, talent! — zakrzyknął pan Mudrowicz. — Olbrzymi, wspaniały talent.

— Ach! — szepnęła Ewcia.

— Zawidzki jest znakomitym artystą, a zostanie wielkim. Ten chłopak jest już głośny, a będzie szeroko sławny. Pan Zawilowski za cały swój majątek nie zdołałby kupić ani części tego, co posiada Zawidzki. Talentu nie można kupić za całe złoto świata. Rozumiesz?

— Tak, teraz rozumiem — szepnęła Ewa w zamyśleniu. — Pan jest bardzo mądry!

— Nie ja jestem mądry, tylko inni są głupszy ode mnie! — rzekł pan Mudrowicz. — Majątek... Majątek — sierdził się w dalszym ciągu. — Ja też mam majątek i co mi z tego? Tyle mi z niego przyszło, że żyłem jak szczur w norze... Nie pożywiłem nawet bezdomnego psa... Nie wiedziałem, że na świecie świeci jeszcze słońce... A ten twój malarz rozsypuje je garściami, upiększa świat, wyzłaca szarość... Biedny malarz! Aha! A ten drugi malarz, ten Rogalik...

— Co, co?

— Siedzi u mnie na poddaszu i przez cały dzień śpiewa. Maluje i śpiewa... Radość chodzi za tym golcem i on jest szczęśliwy... Tak kiedyś był z jakiejś wielkiej radości, że posłałem Pawła, aby go uciszył, a Paweł się zbuntował i nie chciał iść. „Niech sobie, biedaczyna, pośpiewa!”, powiada mi ta kreatura.

— Paweł tak powiedział?

— Tak. Zdaje się, że jest z Rogalikiem w ogromnej przyjaźni i zanoszą mu połowę swojego jedzenia. Nie przysięgnę, ale mi się zdawało, że się onegdaj obaj zaśmiewali jak obłąkani.

— Nie może być!

— Może być. Zdaje się, że są zdziwieni, iż ja jeszcze nie śpiewam — rzekł pan Mudrowicz z odrobiną goryczy.

Ewcia bardzo była zamyślona po tej rozmowie. Przez kilka dni następnych przyglądała się Jerzemu, który pracował niezmiernie nad wielkim obrazem. Chciała do niego zagadać, lecz nie miała odwagi. Nie był to już ów Jerzy, który stawał na głowie, śmiał się do całego świata i najbliższej jego okolicy, i buczał, i pokrzykiwał. Zaczął tak wyglądać, jakby nie spał od wielu nocy. Wprawdzie na widok Ewy uśmiechał się mile, nie był to jednak zawieszisty uśmiech „olejny”, lecz „akwrela” uśmiechu — delikatna, subtelna i ledwie widoczna. Żal ścisnął serce Ewy.

Pozycja społeczna

Bogactwo, Sztuka, Artysta

Miłość niespełniona,  
Przemiana

— Jureczku — rzekła wreszcie z wielkim strachem — zdziwi cię to, co ci powiem... Niedawno rozmawiałam o tobie z panem Mudrowiczem.

— Bardzo mi miło — odrzekł Jerzy z błym uśmiechem, lecz spojrział na nią ciekawie.

— Pan Mudrowicz powiedział... Pan Mudrowicz powiedział, że ty jesteś jednym z najbogatszych ludzi...

— Co takiego? Czy przypadkiem mój przyjaciel Rogalik nie nauczył pić pana Mudrowicza?

— Twój przyjaciel Rogalik — rzekła Ewa podniesionym głosem — ani sam nie pije, ani nikogo nie uczy pić. Pan Mudrowicz, mówiąc, że jesteś jednym z najbogatszych ludzi, miał na myśli twój talent.

— Ach tak?

— Tak. Pan Mudrowicz jest mądry i mówił, że teraz już jesteś znakomity, a niedługo będziesz sławny, i że ani talentu, ani sławy za żadne pieniądze się nie kupi. Takiego bogactwa nikt ci nie odbierze i więcej jest ono warte... Więcej warte nawet niż trzy fabryki. To tylko chciałam ci powiedzieć..

Jerzy popatrzył na nią jasnym, przeciągłym spojrzeniem.

— Kochane z ciebie dziewczynisko! — powiedział wreszcie cicho i odszedł.

„Zdaje się, że jednak zrozumiał”, pomyślała Ewa. „Wszystko mu trzeba wkładać łopatą do głowy... Ale muszę zajrzeć do Basi!”

Basia była u matki, natomiast pan Zawilowski, zawsze rad z przybycia Ewy, cieszył się dzisiaj niezwykle gorąco. Zaprowadził ją do swego gabinetu, starannie zamknął drzwi i położywszy palec na ustach na znak, że zostaną omówione sprawy niezwykle ważne i tajemnicze, rzekł:

— Panno Ewo, doskonale się złożyło, że pani przyszła, bo ja właśnie wybierałem się do was... Chciałem panią o coś zapytać, ale niech to zostanie między nami...

— Oczywiście!

Pan Zawilowski pomazał swój bas oliwą szeptu, aby słowa nie skrzypiały, i mówił:

— Panno Ewo! Z Basią coś się dzieje, a ja nie wiem co.

— A co się dzieje, proszę pana?

— Nie wiem... Nie wiem... Pani wie, ile w Basi jest radości, a teraz poznać jej nie można... Smutna, wzdycha i gada przez sen.

— Gada przez sen? Oj, to niedobrze. A co gada?

— Tego nie wiem. To jednak nie jest najgorsze — mówił ojciec o swej Basi, cały zapłakany — to nie jest najgorsze... Niech pani sobie jednak wyobrazi, co się działo wczoraj! Powiadam: „Co ci jest, Basieńko?”. Ona najpierw na to nic, potem patrzy, patrzy, wreszcie wybuchnęła płaczem i zawołała: „O, jaka ja jestem nieszczęśliwa!”. I uciekła, słyszy pani? Basia jest nieszczęśliwa! Ona! Czemu Basia ma być nieszczęśliwa?

— Z wielkiego szczęścia — odrzekła Ewa z powagą.

— Z czego?

— Z wielkiego szczęścia — powtórzyła.

Pan Zawilowski spojrział ma nią spod ogromnych brwi wybałuszonym wzrokiem śmiertelnie zdumionego karpia.

— Nie rozumiem! — jęknął i rozłożył ręce. — To dla mnie za mądre.

Ewa uśmiechnęła się ślicznie.

— My, kobiety — mówiła pouczającym tonem — używamy bardzo dziwnych sposobów w wyrażaniu uczuć. Żaden mężczyzna tego nie pojmie. Czy pan nie wie, że kobieta nieszczęśliwa płacze, a kobieta szczęśliwa też płacze, tylko obficie?

— Przyznam się, że po raz pierwszy...

— Proszę pana... Był pan oczywiście na niejednym ślubie? Zapewne pan był? Czy pańskim zdaniem panna młoda jest szczęśliwa?

— Chyba tak...

— Jest bardzo szczęśliwa! A co robi? Płacze! Mama płacze, babcia płacze, ciotki płaczą i ona płacze.

— Może być. Co to jednak ma wspólnego z Basią? Przecież Basia nie myśli o ślubie!

— Ja nie jestem tego tak bardzo pewna — rzekła Ewa tajemniczo. — Czy pani Zawilowska czuje się dobrze?

Miłość niespełniona,  
Przemiana, Łzy, Kobieta

Ślub

— Dzięki Bogu, coraz lepiej.  
 — A pan jest zdrow?  
 — Jak byk! To znaczy... Przepraszam za wyrażenie...  
 — Nic nie szkodzi. Z tej strony przeto nie pochodzą zmartwienia Basi. Ponieważ nie zdarzyło się żadne nieszczęście, które byłoby słuszną przyczyną płaczu, a ona jednak płacze, czyni to przeto z jedyne go rozsądnego powodu: ze szczęścia.  
 — Z jakiego szczęścia? Panno Ewo! Nie słyszałem, żeby ją spotkało jakieś szczęście. Co się pani roi?  
 — Mnie nic, ale zapewne Basi się roi. Proszę pana... Pozwoli pan, że zapytam pana jeszcze o jedno?  
 — Bardzo proszę!  
 — Jak pan myśli: kiedy młoda panna jest najszczęśliwsza?  
 — Czy ja wiem? Nie byłem nigdy młodą panną...  
 — Ja panu powiem: kiedy się zakocha! Ale nie tak, byle jak, na patatajkę<sup>132</sup>, ale na śmierć. Kiedy ja się zakochałam po raz pierwszy, płakałam tak, że trzy ręczniki były mokre. Drugi raz przeszło nieco łżej, ale też płakałam.  
 — Nie może być! — zawołał nagle rozweselony pan Zawilowski. — I przeszło?  
 — Przeszło — odpowiedziała Ewa posępnie. — Ale chyba znowu wróci — dodała szeptem.  
 — Pani myśli, że Basia...  
 — Myślę, że Basia jest zakochana na umór! Słyszy pan: na umór!  
 — Basia?  
 — Basia.  
 — Na umór?  
 — Tak mi się zdaje...  
 — Ale w kim, dziewczyno, w kim?  
 — Pewnie w jakimś mężczyźnie, bo to już taki nieznośny zwyczaj... Proszę pana... Zdaje się, że Basia nadchodzi! Czy to prawda, że pojutrze są jej urodziny?  
 — Ależ tak! — przypomniał sobie pan Zawilowski.  
 — Doskonale... Przyjdziemy wszyscy o piątej. Wtedy panu powiem coś więcej.  
 — Dobrze!  
 Panna Barbara powitała Ewcię serdecznie, lecz jakby z roztargnieniem. W orzechowych jej oczach nie było rozigranych, złotych błysków; smutek osnuł śliczną jej twarz lekką mgiełką. Zaciągnęła Ewcię do swego pokoju, w którym barwną plamą gorzał obrazek Jerzego.  
 — Co się u was dzieje? — spytała Basia. — Nie widziałam cię od dwóch dni.  
 — Nic nadzwyczajnego — odrzekła Ewa, przyglądając się pilnie pułapowi. — Tylko Jerzy jest jakiś chory...  
 — Pan Jerzy chory? Nie może być! Wczoraj wieczorem chodził po ogrodzie prawie do północy.  
 — Ach tak? Widać na tym polega jego choroba, że chodzi po ogrodzie przy księżycu. A skąd ty o tym wiesz, że on taki lunatyk? — spytała Ewa niewinnie.  
 Zdawałoby się, że odpowiedzią na takie pytanie powinno być: „Widziałam przypadkiem...” albo „Nasza Marysia widziała” lub coś podobnego na ten temat. Najbystrzejszy jednak filozof, mądry jak diabeł, nie mógłby przewidzieć odpowiedzi Basi, która nagle zakryła twarz rękami i szeptała gorąco:  
 — O Boże! Chciałabym umrzeć, chciałabym umrzeć...  
 Znawcy rzeczy twierdzą uparcie, że na dziesięć potężnie zakochanych panien trzy chcą pójść do klasztoru, dwie do filmu, a pięć przejawia niezłomną chęć śmierci. Wprawdzie owych pięć, wzywających śmierci, podniosłoby ogromny wrzask na widok myszy i wzywałoby ratunku — nie zmniejsza to jednakże grozy sytuacji. Basia w tej chwili istotnie żaloszny przedstawiała widok.  
 „Basię wzięło jeszcze mocniej niż Jurka!”, pomyślała Ewa z gorącym współczuciem. „Taka mądra, taka dobra, taka zrównoważona... I co z tego? Na miłość nie ma i nigdy nie będzie lekarstwa... Och, jak straszny jest nasz los!”

<sup>132</sup>patatajka — byle jaka robota. [przypis edytorski]

Zaczęła pocieszać Basię, gładząc ją po głowie, po twarzy i po rękach i szepcząc słowa pełne słodyczy. Nie dała jej jednak do poznania, jaki to „robak łęgnie się w tym bujnym kwiecie”<sup>133</sup>. Pomyślała równocześnie, że nie może pozwolić na to, aby się uczciwe i niezaradne serce tak gryzło i męczyło.

Przez dzień następny była Ewa rozgorączkowana i opryskliwa. Znienacka napadła na Jerzego:

— Czemu wciąż tkwisz w tej zatraconej pracowni! Mógłbyś odwiedzić Basię!

— A bo co? — z widocznym przerażeniem zapytał Jerzy.

Ewcię ogarnęła pasja, znana w psychologii pod nazwą „pasji szewskiej”.

— Powiedz mi, po co ja właściwie włożyłam tyle trudu w rozwalanie muru?

— Ach, więc to jednak był twój pomysł?

— A czyj? Tobie przez sto lat nie przyszłoby to do głowy. Pomysł był mój, bo myślałam... Ech! Wszystko mi jedno... Róbcie sobie, co chcecie!

Jerzy nie widział nigdy jeszcze swej przyjaciółki w takim gniewnym uniesieniu, w którym walny udział wziął jej zadarty nos. Nie rozumiał dobrze, co znaczy owo groźne „Róbcie sobie, co chcecie!”, więc się zaczął nad tym głęboko zastanawiać. Lecz Ewa przerwała rozmyślania gromkim rozkazem dziennym:

— Jutro są urodziny Basi. Zbiórka o piątej po południu! — rzekła i odeszła jak zagniewany duch.

Pani Zawidzka, zawiadomiona o uroczystości w sposób łagodny i uroczy, wydobyła z tajemnego schowka naszyjnik z czeskich kamieni, który jakaś prababka nosiła na łabędziej i wstydlivej szyi. Lubiła Basię serdecznie; przypadła jej do serca dziewczyna prosta, jasna i czysta jak lza. Przeczuwała coś mądrym sercem i coś widziała mądrymi oczami, lecz nigdy nie powiedziała o tym słowa. Od chwili, kiedy to Ewa oznajmiła, że Jurka „coś wzięło”, zaczęła patrzeć pilniej, udając jednak, że nic nie widzi. Czasem tylko uśmiechała się najśladszym uśmiechem na świecie — uśmiechem matki.

Matka, Syn

Nazajutrz Ewa jak chorąży poprowadziła pochód przez otwór w murze, głośnymi oznajmując się okrzykami. Przed samymi drzwiami domu Zawilowskich szepnęła do Jurka:

Święto

— Wyglądasz, jakbyś miał żółtaczkę... Głowa do góry, dryblasie!

Chociaż dzień był niezmiernie zwyczajny i taki powszedni jak chleb, ni stąd, ni zowąd zrobiło się święto — tym większe, że pani Zawilowska w czarnych okularach wyszła ze swojej ciemnicy. Pan Zawilowski grzmiał zawieszonym basem, Ewa trajkotała jak młynek do kawy, śmiała się pani Zawidzka. Jerzy coś bąknął ni w pięć, ni w dziewięć, a Basia odpowiadała bez słów — kolorami twarzy, która raz bladła, raz czerwieniła się, i strwożonymi spojrzeniami.

„Oczy Basi”, pomyślała Ewa, „podobne były do laskowych orzechów. Teraz przypominają raczej włoskie”.

Po pewnym czasie szepnęła do pana Zawilowskiego, chytrze zawiódłszy go w kąt koło pieca:

— Widzi pan?

— Widzę. Więc to Jerzy?

— A pan myślał, że chiński cesarz? — zaśmiała się Ewa.

— Muszę zwrócić uwagę żonie — usiłował szepnąć pan Zawilowski.

— Po co? Niech pan będzie pewny, że Basia wypowiedziała się przed matką najmniej dziesięć razy.

— Więc oni się kochają?

— O Boże, jacy mężczyźni są naiwni! — jęknęła Ewa. — A czy to pana martwi?

— Przenigdy! — rzekł pan Zawilowski gwałtownie. — Uwielbiam panią Zawidzką... To cudowna kobieta... A skoro matka taka, to pewnie...

— Jerzy jest nadzwyczajny, a niedługo będzie sławny na całą Polskę! — mówiła Ewa z mocą. — O rany! A ten skąd się tu wziął?

Pytanie było zgoła przeraźliwe, albowiem pośród gości zjawił się umorusany, zabło-

Pies

<sup>133</sup>robak łęgnie się w tym bujnym kwiecie — fragment pochodzi z utworu *Maria*, autorstwa Antoniego Malczewskiego (1793–1826). [przypis edytorski]

cony i skudłaczony Rolmops w słusznym przekonaniu, że uczciwi Polacy mają zwyczaj jeść obficie podczas każdej uroczystości i że nie odtrąca z pogardą biednego kundla.

Z przewidzianej krótkiej uroczystości zrobiła się długa uroczystość z przyjęciem wieczornym, podczas którego okazało się, że Jerzy nienadaremnie łowił niedawno kurczaki. Być może, że wspomnienie tego polowania, pełnego trudu, lecz niepołączonego ze zbytnim niebezpieczeństwem, ożywiło w nim zamierającego ducha, albowiem nabrał werwy i począł błyszczeć jak za najlepszych czasów. Ewa, czujna jak bóbr, ciągłymi pytaniami podtrzymywała jego ferwor. Jerzy zaczął opowiadać o tym wszystkim radosnym i cudownie jasnym, co się wydarza w malarskim żywocie; o włóczęgach i wędrówkach w pogoni za słońcem i tęczę; o zgryzotach i klęskach, o uniesieniach i wzlotach tych najwspanialszych obłąkańców, co się zapredali sztuce całą duszą. W pokoju było niemal mrocznie i blade-złociście, albowiem ze względu na wzrok pani Zawilowskiej nie zapalono lamp elektrycznych, lecz świece, które przedły złotą poświatę i malowały nią ludzkie zasłuchane twarze. Pani Zawidzka słuchała ze szczęśliwym uśmiechem; pan Zawilowski, jak gdyby mu opowiadano bajkę o żelaznym wilku; pani Zawilowska w głębokim, ciemnym skupieniu, lecz jakby łakomie. A Basia — cała zamieniona w słuch. W spojrzeniu jej była bezgraniczna tkliwość i taka miękka rzewność, że jeszcze chwila, a zdawało się, że wielkie, przezyste łzy zjawiają się w tych oczach.

Wieczór ten był dziwny i niezwykle.

Nazajutrz jednak Ewa spostrzegła z przerażeniem, że Jerzy jest chyba naprawdę chory. Nie malował, lecz laził z kąta w kąt, jakby szukał zgubionego parasola. Czasem kopnął niewinne krzesło, które mu stanęło na drodze. Tej nocy nie zmrużył chyba oka, tak bowiem wyglądał, jakby się sam własnymi farbami pomalował na szaro. Człowiek, który stale przypominał niedzielę, w tej chwili był Środą Popielcową.

„Oj, źle!”, pomyślała Ewa. Potem rzekła:

— Jureczku, ślicznie było wczoraj, prawda?

Jerzy spojrzął na nią, jakby zobaczył zieloną owcę albo cielę z trzema głowami.

— Co ci się stało, Jureczku złoty?

— Nic mi się nie stało — odrzekł Jerzy. — Głupi jestem i tyle!

— Dlaczego się oczerniasz? A dlaczego niby masz być głupi?

— Dlaczego? Bo jestem mizerny malarzyna. Bo jestem marny oleodrukarz<sup>134</sup>. Rozumiesz? Bo jestem wartogłów<sup>135</sup>, nicpoń, niezdara, pustak, słowem: fujara. Głupi jestem, bo mi się przywidziało... A co tobie zresztą do tego?

Ostatnie słowa wrzasnął w tonacji przeraźliwie wysokiej i wyszedł.

— To gorzej, niż myślałam — mówiła Ewa sama do siebie. — Jedną ten człowiek powiedział o sobie prawdę, tę mianowicie, że jest fujara. Źle, źle, bardzo źle! Zakochał się jak wariat, a teraz nie wie, co ma począć. Nie ma co, fujara! Biedna Basia...

Tak ją to wszystko zmartwiło, że zaczęła chodzić po pokoju jak Jerzy przed chwilą i w nagłej rozpaczycy też kopnęła niewinne krzesło.

„Trzeba pomóc tej małpie zielonej, bo on sam nic nie zrobi!”, pomyślała z serdecznym rozczuleniem.

Wobec tego postanowienia ona z kolei spędziła noc prawie bezsenną. Poranne słońce ujrzało na jej obliczu niezwykle powagę.

— Ewo! — rzekła sobie. — Na wielkie ważysz się rzeczy. Pchasz palce między drzwi! Zastanów się, bo może być źle... Gdyby cię potem Jerzy zabił, nie mogłabyś mu nie przyznać słuszności... Ale trudno! Nie mogę patrzeć, jak pchły gryzą Rolmopsa, tym bardziej nie będę spokojnie patrzyła na to, jak zgryzoty trawią Jurka... Niech się dzieje, co chce! Ludzie mnie może zatłuką, ale Pan Bóg mi przebaczy!

Przemknęła chytrze przez ogród i przez kuchnię weszła do willi Zawilowskich. Dowiedziała się od kucharki, że pani Zawilowska śpi, Basia wyszła do kościoła, a pan Zawilowski stawia pasjansa.

— Oho! Panna Ewa — zawołał uradowany właściciel trzech fabryk. — A czemuż to taka markotna?

— Bo ja w bardzo ważnej sprawie, proszę pana... W śmiertelnie ważnej sprawie!

<sup>134</sup>oleodrukarz — twórca oleodruków, reprodukcji naśladowujących obrazy olejne. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>wartogłów (daw.) — osoba lekkomyślna, nierównoważona. [przypis edytorski]

Basem gęstym jak bita śmietana pan Zawilowski wyraził nadzieję, że chyba nikt nie zachorował.

— Powiem panu wszystko... Wszystko! Pan już wie, że oni się kochają?

— Moja żona bardzo się z tego cieszy, ja też oczywiście.

— To doskonale. Oświadczam panu uroczyście: pan Jerzy Zawidzki chce prosić o rękę panny Barbary Zawilowskiej.

Zdumiał się pan Zawilowski.

— Rozumiem, ale dlaczego Ewcia mi o tym mówi?

— Dlatego, że Jerzy nigdy się nie oświadczy!

— Na miły Bóg! Jakże to? Kocha Basię, Basia kocha jego i on się nie oświadczy?

— Sam się nie oświadczy. Ożeni się choćby jutro, ale nie oświadczy się nigdy!

Pan Zawilowski chwycił się rękami za głowę, aby mu się nie rozpadła.

— Dlaczego?

— Bo się boi. Boi się, słyszy pan? Ubrdał sobie, że nie jest Basi godny. Sam mi dziś o tym powiedział... Boi się, że go pan nie zechce, że to i owo... Taki cudak!

— Ależ ja najchętniej... Mówiliśmy z żoną...

— To świetnie, ale on się boi. Tak cierpi, proszę pana, że się serce kraje, że patrzeć na to nie można, a sam nie przyjdzie... I Basia taka sama. I ona cierpi, a słowa nie powie.

— Ależ to nie ma sensu!

— Ja też wiem, że to nie ma sensu, dlatego ja przyszedłam prosić o rękę Basi dla Jurka. A on przyjdzie potem, jeżeli...

— Jeżeli co?

— Jeżeli pan go wezwie.

— Tak przecież nie można! Dziewczyno, pomyśl tylko...

— O, ja myślałam przez całą noc! Mój najdroższy panie! Niech pan zrobi tak: niech go pan poprosi niby tak sobie, na pogawędkę, i niech mu pan doda ducha. Pan jest mądrzejszy ode mnie i będzie pan wiedział, jak się gada z takim, co się kocha, a boi się to wyznać. Niech pan o tym pomyśli, że uczyni pan dwoje ludzi tak szczęśliwymi, tak szczęśliwymi...

— Dziewczyno, czemu płaczesz?

— A pan też ma mokre oczy... Ja już sama nie wiem, co począć! Ale jeżeli pana nie obchodzi los rodzonej córki...

— Kto to powiedział? — zdumiał się pan Zawilowski. — Dobrze! Skoro on taki mało odważny, niech przyjdzie... Ha! — przypomniał sobie. — Przecież on musi zapytać Basię.

— Po co? On zapytał Basię siedemdziesiąt siedem razy, a Basia tyleż razy mu odpowiedziała, że żyć bez niego nie może.

— Kiedy? Przecież on ani słowa...

— A któż twierdzi, że oni rozmawiają słowami? Proszę pana, Jurek dzisiaj dziesięć razy kopnął krzesło. To chyba wyraźnie powiedziane!

Pan Zawilowski nie mógł zrozumieć tego związku, lecz Ewa nie pozwoliła mu na rozważania.

— Więc sprawa jest załatwiona... Dziękuję panu w imieniu Jerzego. Pani Zawidzka będzie w siódmym niebie. Jurek będzie u pana jeszcze dzisiaj wieczorem... Niech pan przygotuje wodę, bo Baśka zemdleje... Do widzenia!

Panu Zawilowskiemu zdawało się, że dom zaczął chodzić, jak gdyby miał nogi, a Ewa miała wrażenie, że świat cały zaczął się kręcić. Wróciła znużona i wyczerpana. Po obiedzie zapukała cicho do pracowni i rzekła:

— Jureczku, żebyś nie zapomnieli... Spotkałam pana Zawilowskiego... I prosił przeze mnie, abyś się zobaczył z nim dzisiaj wieczorem.

— Co się stało? — zapytał Jerzy słabym głosem.

— A czy ja wiem? Prosił, żebyś koniecznie przyszedł...

Zeszła powoli ze schodów, bardzo zamyślona.

Gdy się zaczęło zmierzchać, poczuła gwałtowne bicie serca — Jerzy szedł przez ogród ku willi Zawilowskich.

„Za chwilę zacznie się awantura...”, pomyślała.

Napisała karteczkę:

Swaty, Zaręczyny, Strach

„Byliście dla mnie strasznie dobrzy. Ale uciekam, bo narobiłam bigosu i Jerzy mnie zabije! Serdecznie panią przepraszam!!!”

List

Położyła liścik na widocznym miejscu, gwizdnęła na Rolmopsa i chciała wyjść. W drzwiach stała kucharka. Ewcia wyjrzała przez otwarte okno, chwyciła kundla pod pachę i wyskoczyła.

— Takie to już moje przekleństwo! — powiedziała, biegnąc ulicą — Zawsze przez okno... Byleby tylko Jurek nie wyskoczył przez okno od pana Zawilowskiego.

Testament

Po godzinie wpadła do pana Mudrowicza. Nie wiedziała, że mu przeszkodziła w ważnej pracy — pan Mudrowicz układał właśnie dokument, w którym zapisywał cały swój majątek na ratowanie dzieci zagrożonych gruźlicą. Na dole omal nie wyróciła Pawła, któremu na dobitkę Rolmops zaplątał się między nogi, i wbiegła zdyszana do pokoju.

— Wszelki duch! — zawołał radośnie pan Mudrowicz. — A tobie co się stało?

Swaty, Podstęp, Zaręczyny

— Ożeniłam Jerzego i uciekłam! — szepnęła Ewa z rozpaczą.

— A dlaczego uciekłaś?

— Bo skąd ja wiem, czy on się chciał żenić?!

Pan Mudrowicz nie mógł pojąć tych zawilności, więc ją zaczął łagodnie wypytywać. Ewcia oznajmiła mu, że nie mogła patrzeć na mękę dwóch serc, z których kapły krwawe łzy, więc użyła chytrego sposobu, aby je rzucić we wzajemne objęcia.

— Dobrze zrobiłaś, więc czemu się martwisz? — śmiał się pan Mudrowicz.

— Może dobrze, ale nikt mnie o to nie prosił. A jeżeli z tego będzie tragedia?

— Tragedia będzie, bo pani Zawidzka nie wie, co się z tobą stało. Siedź tu spokojnie, a ja zatelefonuję.

— O Boże! Co to będzie?

Nic nie było, bo telefon Zawidzkich nie odpowiadał.

— Pewnie myślą, że to ja dzwonię i dlatego nie podchodzą do telefonu! Dobrze mi tak!

Pan Mudrowicz chodził po pokoju, zatroskany.

— Chyba tam pojedziemy, co? — zapytał.

— Nie, nie! Jerzy mnie zatłucze na śmierć!

— Jeśli to uczyni, to ja jego zatłukę, ale mniejsza o to. Nie można jednak niepokoić pani Zawidzkiej. Która to godzina? Dziesiąta... O której zwałaś?

— Około siódmej...

— Zbieraj się, jedziemy! Co to?

— Dzwonek — szepnęła Ewa. — Już po mnie!

W przedpokoju ozwały się liczne, niecierpliwie głosy. Zdaje się, że Paweł zapadła piersią bronił komuś przystępu, lecz najeźdźca był nieustępliwy.

— Jerzy! — zdławionym głosem krzyknęła Ewa, nasłuchując. — I pani Zawidzka... O Boże!

Drzwi otwarły się gwałtownie i stanął w nich Jerzy — blady, z rozwianym włosom. Na widok Ewy oczy mu się rozjaśniły z bezmiernej radości. Za nim stała pani Zawidzka, na której twarzy widać było strach.

Pan Mudrowicz, nie wiedząc, co zamyśla długonogi i mocny dryblas, zasłonił Ewę, lecz Jerzy usunął go i zawył dzikim głosem:

— Ewuniu! Złota Ewuniu! Jesteś! Szukaliśmy cię u Szymbartów... A ty tu... Ewuniu! Dziewczyno najdroższa!

Ewa spojrzała na niego wzrokiem, w którym było dwie piąte strachu i trzy piąte obłąkanej radości.

— Wszystko w porządku? — zawołała.

— W porządku! — wrzasnął Jerzy i chwyciwszy ją w objęcia, zaczął całować.

— Przestań! — krzyknęła Ewa. — Przestań, małpizjonie!

A że on nie chciał przestać, dodała:

— Przestań, bo powiem Basi!

Wtedy dopiero — jak gdyby w niego piorun trzasnął — wypuścił ją z objęć tak gwałtownie, że usiadła na ziemi.

16 VIII 1940 r. Warszawa

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/makuszyński-szalenstwa-panny-ewy/>

Tekst opracowany na podstawie: Kornel Makuszyński, Szalenstwa panny Ewy, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1986.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (wolnelektury.pl). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Wolne Lektury.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Elżbieta Sekuła, Monika Kępska, Natalia Goździak.

ISBN 978-83-288-7872-3

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.